

ARTO PAASILINNA

Wyjący młynarz

Z języka fińskiego przełożyła Bożena Kojro

The original title „Ulvova Myllari”

CZEŚĆ PIERWSZA

Wariat i jego młyn

I

Zaraz po wojnie zjawił się we wsi wysoki człowiek. Powiedział, że przybywa z Południa i nazywa się Gunnar Huttunen. Nie rozpytywał w Urzędzie Kanalizacji o prace przy kopaniu rowów, jak robili to zazwyczaj przybysze z południowych stron, tylko kupił stary młyn w Suuskoski nad brzegiem Kemijoki. Ludzie uważali, że to żaden interes, bo młyn nie był używany od lat trzydziestych i bardzo podupadł.

Huttunen zapłacił i zamieszkał w młyńskiej izbie. Gospodarze ze wsi, a zwłaszcza członkowie Spółdzielni Młynarskiej w Suuskoski śmiali się do rozpuku z tej transakcji. Mówili, że - jak widać - wariaci nadal chodzą po tym świecie, chociaż sporo ich zginęło na wojnie.

Pierwszego lata Huttunen wyremontował hebel, znajdujący się w młynie. Zamieścił ogłoszenie w gazecie *Pohjolan Sanomat*, że przyjmuje drewno do produkcji gontów. I od tej pory dachy stodół we wsi pokrywano gontami zrobionymi właśnie w Suuskoski. Były siedem razy tańsze niż fabryczna papa. Zresztą tę nie zawsze można było dostać, bo Niemcy spalili całą Laponię i odtąd brakowało materiałów budowlanych. Zanim jakiś gospodarz wziął sobie jedyną pozostałą rolkę papy na wóz, musiał czasem dać w sklepie wiejskim aż sześć kilo masła. Trzeba przyznać, że właściciel sklepu Tervola znał się świetnie na wartości towarów.

Gunnar Huttunen miał około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu, ciemne, sztywne włosy i kanciastą głowę, pociągłą twarz o wystających kościach policzkowych, dużą brodę, długi nos i oczy głęboko osadzone pod wysokim czołem. Chociaż uszy miał duże, to jednak nie odstawały od czaszki, tylko przylegały do niej ściśle. Widocznie w niemowlęctwie Gunnar był dobrze pilnowany podczas snu. Dziecko bowiem nie powinno się samo przewracać w kołysce z boku na bok, jeśli ma choć trochę za duże uszy. Matka musi kilka razy sama odwrócić śpiące niemowlę, bo jeśli tego nie zrobi, to jego uszy będą z całą pewnością odstające.

Gunnar Huttunen był szczupłym i zgrabnym mężczyzną. Idąc, stawiał kroki znacznie większe niż inni. Jego ślady na pokrytej śniegiem ziemi wyglądały jak pozostawione przez biegnącego człowieka o przeciętnym wzroście. Zaraz z początkiem zimy wystrugał sobie narty tak długie, że sięgały strzechy domu normalnej wysokości. Jadąc na nich, zostawiał w zaspach ścieżkę, która zwykle była szeroka i prosta. Ślady kijka od nart wskazywały od razu, że

przejeżdżał tędy Huttunen.

Ludzie nie bardzo mogli się rozeznąć, skąd Gunnar pochodzi. Niektórzy twierdzili, że mieszkał w Ilmajoki, inni - że przybył na daleką Północ do Perapohja z okręgu Satakunta, albo z Laitili lub Kiikoinen. Raz ktoś zapytał młynarza, czemu przeprowadził się właśnie na Północ, a ten odparł, że na Południu spalił mu się młyn, w którym była żona. Ubezpieczalnia nie wypłaciła mu odszkodowania za żadną ze strat.

- Młyn i żona spalili się jednocześnie - wyjaśnił Gunnar i spojrzał na pytającego dziwnie lodowatym wzrokiem.

Podobno wyciągnął kości żony z osmolonych ruin młyna, przeniósł je na poświęconą ziemię, a potem sprzedał działkę z budzącymi grozę szczątkami budynku, a także prawo własności do części potoku, i wyniósł się z okolicy. Na szczęście tu, na północnych terenach kraju, znalazł się porządny młyn i chociaż nie był jeszcze sprawny, to samo przycinanie i heblowanie gontów wystarczyło na utrzymanie samotnego mężczyzny.

Pracownik kancelarii parafialnej ujawnił jednak fakt, że zgodnie z zapisami w księgach kościelnych Gunnar Huttunen jest kawalerem. Jak więc mogła mu się spalić żona? Ludzie zastanawiali się nad tym długo. Nie udało im się jednak dowiedzieć niczego na temat przeszłości młynarza i w końcu zapomnieli o całej sprawie. Doszli do wniosku, że dawniej na Południu baby nieraz ginęły w pożarach, czasem nawet je podpalano, a mimo to nigdy ich nie brakowało.

W życiu Gunnara Huttunena zdarzały się od czasu do czasu dłuższe okresy przygnębienia. Miał zwyczaj przerywać wtedy pracę i wpatrywać się daleko przed siebie w roztertaniu. Jego ciemne oczy pod wystającym czołem błyszczały w takich chwilach boleśnie. Spojrzenie miał ostre i surowe, a zarazem pełne smutku. Kiedy patrzył na rozmówcę, przenikał go wzrokiem i budził w nim niepokój. Pogawędka z przygnębnym Huttunenem powodowała, że człowiek zaraz tracił humor i stawał się jakiś nieswój.

Na szczęście młynarz nie zawsze był ponury. Często ogarniała go wielka wesołość, tak zupełnie bez powodu. Żartował wtedy, śmiał się i cieszył. Zdarzało się, że szalał i podskakiwał na długich nogach bez opamiętania, strzelał z palców, wymachiwał rękami, wyginał szyję, gadał i kręcił się niecierpliwie. Opowiadał świetne, ale bezsensowne historie. Żartował sobie śmiało z ludzi albo poklepywał gospodarzy po plecach i wychwalał ich bez powodu. Niekiedy śmiał się im prosto w twarz, puszczał do nich oko i klaskał w dłonie.

W takich dobrych dla Huttunena dniach okoliczna młodzież zbierała się zazwyczaj wokół młyna w Suuskoski, by podziwiać popisy szalejącego młynarza. Jak za dawnych czasów, wszyscy zasiadali w izbie, prześcigali się w dowcipach i zaśmiewali się. Czuli się

wręcz szczęśliwi, siedząc tak w miłym i przyjemnym półmroku i wdychając intensywne zapachy starego młyna. Czasami Gunnar - zwano go też Kunnarim - rozpałał na podwórku porządne ognisko. Wrzucano tam suche gonty i pieczono w płomieniach sieje złowione w Kemijoki.

Młynarz miał niezwykle zdolności do naśladowania różnych zwierząt żyjących w lesie i wymyślania zagadek. Wprawiał wtedy w ruch całe ciało, a młodzież z sąsiedztwa rywalizowała ze sobą o to, kto pierwszy odgadnie, jakie stworzenie udaje właśnie Gunnar. Czasami zmieniał się w zająca, czasami w leminga lub niedźwiedzia. Niekiedy unosił długie ramiona zupełnie jak sowa w nocy, innym razem wył jak wilk, wznoszący pysk do nieba i skarżący się tak przejmująco, że młodzi tulili się do siebie w przestkach.

Często Huttunen przedrzeźniał mieszkańców wsi, a widzowie natychmiast odgadali, o kogo chodzi. Kiedy młynarz udawał niską i okrągłą postać, co wymagało od niego dużego wysiłku, od razu wiadomo było, że chodzi o jego sąsiada, grubego Vittavaarę.

Te letnie wieczory i noce były czymś szczególnym. Ludzie czekali na nie często tygodniami, bo Huttunen od czasu do czasu pogrążał się w cichym przygnębieniu. W takich chwilach żaden mieszkaniec wsi nie miał odwagi pojawić się w młynie bez konkretnego powodu. Sprawy załatwiano szybko, nie mówiąc za wiele, ponieważ samopoczucie młynarza odstraszało gości.

Z czasem okresy przygnębienia Gunnara zaczęły się przedłużać. Zachowywał się wtedy opryskliwie. Zdarzało się, że krzyczał na innych, bo nerwy miał napięte jak postronki. Niekiedy był tak posępny i zły, że nie chciał oddawać gospodarzom zamówionych przez nich gontów i burczał gniewnie:

- Nie dam. Nie są jeszcze gotowe.

Ludzie przychodzący do młyna musieli odchodzić z pustymi rękami, chociaż przy moście znajdował się stos porządnie ułożonych, dopiero co oheblowanych gontów.

Kiedy natomiast następował okres radości, Huttunen stawał się bardziej wesoły, niż bywał przedtem. Robił przedstawienia, niczym utalentowany cyrkowiec. Język miał cięty jak lśniące ostrze hebla, gestykulował płynnie i zręcznie, jego ruchy były zaskakujące i pełne fantazji. Wtedy ludzie wpatrywali się w niego oczarowani. Jednak nawet podczas największego uniesienia zdarzało się młynarzowi zastygnąć nagle w miejscu i wydać przejmujący krzyk, a potem popędzić wzdłuż spróchniałej rynny wodnej za młyn, najdalej od oczu ludzkich, za rzekę do lasu. Torował sobie wówczas drogę na oślep, a tratowana trzcina chrzęściła i szumiała. Gdy zmęczony i zadyszany powracał po godzinie lub półtorej do młyna, młodzi wymykali się do domu, mówiąc z lękiem, że na młynarza znowu przyszedł zły czas.

W końcu Huttunena zaczęto uważać za wariata.

Sąsiedzi opowiadali we wsi, że niekiedy wył nocami, jakby był jakimś leśnym drapieżnikiem. Słyszeli to zwłaszcza zimą, w bezchmurne i bardzo mroźne noce. Kunnari wył wtedy od wieczora aż do północy. Wiatr niósł jego pełne bólu jęki daleko do wsi, a wtedy psy odpowiadały mu ujadaniem. Podczas takich nocy mieszkańcy wiosek położonych na brzegu rzeki nie spali.

- Szalenię z tego biedaka Kunnarię - twierdzili. - Nawet psiska doprowadza do szału swoim nocnym skowytę.

- Ktoś powinien pójść i powiedzieć mu, żeby nie wył, przecież to dorosły człowiek. Nie wypada, żeby wył jak jakiś wilk.

Nikt jednak nie odważył się rozmówić z Huttunenem. Sąsiedzi mieli nadzieję, że może zmądrzeje i sam przestanie.

- No, z czasem można się właściwie przyzwyczaić do jego skowytu - mówili ci, którym brakowało gontów. - To wariat, ale robi dobre gonty, no i nie jest drogi.

- Obiecał, że wyszukuje młyn. Lepiej go nie denerwować, bo się jeszcze wyprowadzi na Południe - powiadali ci, którzy planowali siać zboże na urwisku przy brzegu Kemijoki.

2

Pewnej wiosny, kiedy właśnie ruszały lody, woda w Myllyjoki wezbrała tak bardzo, że Gunnar Huttunen o mało nie stracił swojego młyna. Ogromna fala naciskała na górę tamy w rynnie wodnej z tak wielką siłą, że zrobiła w niej wyrwę szeroką na dwa metry. Grube tafle lodu wdarły się do środka, podziurawiły zbutwiałe dno na długości piętnastu metrów i zniszczyły koło wodne poruszające hebel do gontów. Zwałyby cały młyn, gdyby Huttunen nie przybył na ratunek. Podbiegł on do wjazdu hebla i otworzył go. Dzięki temu większa część wody powodziowej spłynęła przez klapę zniszczonego koła obok młyna do dolnego biegu rzeki. Cały czas jednak przez przerwana tamę wlewała się do rynny woda, niosąca grube kawałki lodu, które zbierały się przy ścianie młyna. Stary, drewniany budynek aż trzeszczał pod ich naporem. Huttunen bał się, że ciężkie kamienie do mielenia zboża przebiją strop i spadną na turbinę, niszcząc ją.

W tej sytuacji Huttunenowi nie pozostało nic innego, jak wskoczyć na rower i popędzić kilka kilometrów do sklepu.

Zadyszany i spocony krzyknął do kupca Tervoli, który właśnie ważył kaszę:

- Sprzedaj mi zaraz parę ładunków do karczowania lasu! W sklepie znajdowało się kilka kobiet robiących zakupy.

Na widok spoconego młynarza domagającego się dynamitu przestraszyły się bardzo.

Stojący przy wadze kupiec Tervola zażądał od Huttunena, żeby okazał zezwolenie na zakup i posiadanie materiałów wybuchowych. Kiedy jednak Gunnar wrzasnął, że kra lodowa zmiążdży młyn w Suuskoski, jak się jej nie wysadzi w powietrze, kupiec sprzedał mu pośpiesznie ładunki, zwitek lontu i garść zapalników. Wszystko to zapakował do pudła, które młynarz przywiązał do багаżnika i natychmiast pojechał z powrotem. Woda podnosiła się stale, a lód uderzał w chwiejące się, drewniane ściany młyna.

Kupiec zamknął zaraz sklep i pośpieszył z kobietami do Suuskoski popatrzeć, jak Huttunen sobie poradzi. Przed wyjściem zdążył jeszcze zadzwonić do kościoła i powiedzieć, że warto pojechać szybko nad rzekę, żeby zobaczyć walący się młyn. W Suuskoski rozległ się właśnie odgłos pierwszego wybuchu.

Kiedy ludzie ze sklepu i kościoła przyjechali na miejsce i, stojąc na zboczu wzgórza, przyglądali się powodzi, dał się słyszeć drugi wybuch. Rozdrobniony lód i kawałki drewna poleciały w powietrze. Dzieciom zabroniono się zbliżać. Kilku gospodarzy, którzy właśnie nadjechali, krzyknęło do Huttunena, pytając, jak mu pomóc.

Ale młynarz pracował bez przerwy i tak się spieszył, że nawet nie miałby czasu pokierować pomocnikami. Pobiegł do tamy wzdłuż koryta rzeki z piłą i siekierą w rękach. Przeskoczył na brzeg przez bale zapory i kry lodu. Brodząc w wodzie po pas, dotarł na suche miejsce. Popatrzył uważnie na potężne świerki, jakby przymierzał się do karczowania.

- Kunnari uwija się tak, że nie zdąży nawet zawyć - powiedział brzuchaty Vittavaara.

- Nie ma też czasu na pokazywanie łosi ani niedźwiedzi, chociaż jest tu niezła widownia - powiedział ktoś, a inni się roześmiali. Ale policjant Portimo, starszy, spokojny człowiek, nakazał tłumowi się uciszyć.

- Nie naigrywać się z innych ludzi.

Huttunen wybrał wysoki świerk, rosnący przy brzegu rzeki. Kilkoma mocnymi uderzeniami zrobił w pniu głębokie nacięcie równoległe do ziemi. Potem pochylił się i zaczął piłować drzewo na pół. Gapie, stojący po drugiej stronie, pytali siebie nawzajem, dlaczego młynarz zabrał się nagle do karczowania lasu. Czyż ratowanie młyna nie jest najważniejsze w tej tragicznej sytuacji? Pewien parobek, nazwiskiem Launola, który przybiegł z kościoła, rzucił:

- Całkiem zapomniał o młynie! Zachciało mu się teraz być drwalem!

Znajdujący się po drugiej stronie rzeki Huttunen usłyszał to i zagotowało się w nim. Żyły na skroniach mu nabrzmiały, już chciał się podnieść i odgryźć ostro chłopakowi, ale zrezygnował i dalej piłował drzewo zawzięcie.

Ogromny świerk zaczął się chwiać. Huttunen wyciągnął piłę z wgłębienia i wyprostował plecy, a potem uderzył ostrzem siekiery w drzewo z taką siłą, że olbrzym się przechylił, wpadł z szumem do wezbranej rzeki, gniotąc po drodze bryły lodu zgromadzone przy tamie. Wśród mieszkańców wioski nastąpiło poruszenie. Dopiero teraz zrozumieli, dlaczego Gunnar zabrał się do wycinania lasu. Drzewo przesunęło się powoli w górę i zatrzymało się, tworząc przeszkodę dla płynącej kry. Woda powodziowa, wolna już od tafli lodu, przepływała swobodnie pod pniem i między gałęziami, omijając koło wodne poruszające hebel do gontów. Groźna sytuacja została opanowana jednym uderzeniem.

Gunnar Huttunen otarł pot z twarzy, wszedł przez mostek do młyna, a potem przeszedł na tę stronę rzeki, gdzie stali przyglądający się ludzie. Parobkowi Launoli rzucił cicho przez zęby:

- Taki ze mnie drwal.

Zakłopotani widzowie kręcili się w miejscu. Mężczyźni ubolewali, że nie zdążyli przyjść młynarzowi z pomocą. Chwalili Kunnariego, że on to dopiero miał głowę, żeby wpaść na taki pomysł i zwalić świerk do rzeki.

Chociaż dramatyczny pokaz się skończył, mieszkańcy wioski nie zabierali się do odejścia - wprost przeciwnie, dołączali do nich jeszcze ci, którzy zbyt późno wyszli z kościoła. Ostatnia zjawiała się otyła gospodyni Siponenowa. Zadyszana wypytywała, co się takiego ciekawego wydarzyło.

Huttunen przygotował z materiałów wybuchowych jeszcze jeden ładunek i zapytał donośnie:

- Przedstawienie skończyło się za szybko, co? W takim razie proszę bardzo, oto ciąg dalszy, żebyście nie mówili, że tak dużo ludzi stało tu na darmo!

Młynarz zaczął naśladować żurawia. Stał chwiejnie jedną nogą na brzegu rynny, a potem klekocząc jak ptak, wyciągał długą szyję i udawał, że szuka żab w wodzie.

Zmieszani ludzie odchodzili chyłkiem ze wzgórza, na którym stał młyn. Niektórzy uspokojali Huttunena, ktoś krzyknął, że jest wariatem. Zanim jeszcze zdążyli się rozejść, Gunnar zapalił lont, który zaczął się tlić, sycząc złowieszczo. Mieszkańcy wsi wzięli nogi za pas. Chociaż odwrót był szybki, tylko niektórzy zdążyli przebiec kilka kroków, zanim Huttunen rzucił do wody dynamit. Ładunek natychmiast eksplodował, grzmotnął mocno i wyrzucił na strome brzegi rzeki wodę i okruchy lodu. Ludzie przemokli do szczytu. Piszcząc, uciekali znad rzeki na wyżej położony teren i zatrzymali się dopiero na drodze, gdzie rozgniewani zaczęli złorzeczyć.

Gdy tylko powódź się skończyła, Gunnar Huttunen przystąpił do naprawiania szkód w młynie. Zamówił w tartaku trzy furmańki tarcicy: belek, desek i płyt. Nabył u kupca Tervoli dwa pudła gwoździ: cienkich i krótkich oraz czterocalówek. Wynajął we wsi trzech wolnych parobków, żeby wbili pale w przerwana tamę. Po kilku dniach znowu mógł regulować siłę wody w Myllyjoki za pomocą otwierającej się kłapy. Dał parobkom pieniądze na drogę i rozpoczął naprawę rynny wodnej. Wymienił całkowicie część znajdującą się między tamą a kołem wodnym poruszającym hebel. Zużył na to półtorej furmanki pięciocalowych desek.

Huttunen pracował w piękne, letnie dni. Powietrze było lekkie, wiał wiatr, młynarz miał dobry humor. Był zręcznym człowiekiem, lubił pracę cieśli. Roboty budowlane sprawiały mu tak wielką przyjemność, że niechętnie szedł spać. Rano zjawiał się przy rynnie już o czwartej albo piątej, przycinał deski i belki, dopóki się całkiem nie rozjaśniło. Tylko od czasu do czasu zachodził do izby i robił sobie kawę, a potem znowu zabierał się do pracy. W ciągu dnia, kiedy było najgoręcej, kładł się w domu na godzinkę albo dwie, często zasypiał i budził się po południu ożywiony i gotów do działania. Do późnego wieczoru słychać było w młynie w Suuskoski odgłosy uderzeń siekiery i młotka.

Ludzie we wsi mówili, że Kunnari jest wariatem podwójnie: po pierwsze - ma kłopoty z własnym rozumem, a po drugie - oszalał na punkcie pracy.

Po dziesięciu dniach rynna była gotowa i uszczelniona. Spływała nią woda z Myllykoski przez tamę, jak należy, do miejsca, gdzie powstawała moc wprawiająca w ruch młyn i hebel do gontów. Huttunen zabrał się do naprawy koła wodnego. Musiał wymienić wszystkie łopatki, bo zupełnie przegniły. Oś - uznał młynarz - była jeszcze w całkiem dobrym stanie. Jak się przy tym wymieni dodatkowo obręcz i łożysko, to wszystko będzie dobrze.

H

Huttunen rozebrał się do gaci i wszedł do rzeki, żeby umieścić naprawione koło wodne na osi. W tej samej chwili nieopodal miejsca, gdzie pracował, pojawił się uroczy gość.

Na mostek prowadzący do młyna weszła kobieta, licząca około trzydziestu lat, krągła istotka z różowymi policzkami. Ubrana była w kwiecistą sukienkę, a jej głowę zakrywała jaskrawa chusta. Wyglądała pięknie i zdrowo, a głos miała delikatny jak młodziutka dziewczyna. Młynarz nie usłyszał, kiedy go zawołała, bo szum potoku zagłuszał jej słowa:

- Panie Huttunen! Panie Huttunen!

Przyglądała się prawie nagiemu mężczyźnie stojącemu w nurcie rzeki, a on, szczupły i umięśniony, walczył z zimną wodą, próbując wszelkimi siłami wcisnąć koło wodne na miejsce. Oś w żaden sposób nie chciała wsunąć się w otwór, bo woda napierała zbyt mocno. Wyężywszy się jednak, mężczyzna nałożył je i puścił, by krążyło swobodnie. Woda

natychmiast uderzyła w łopatki koła, które zaczęło się obracać, najpierw powoli, później coraz szybciej. Huttunen odsunął się na pewną odległość i ocenił swoje dzieło:

- No, i chodzisz, cholero.

Kiedy bieg wody został ponownie okielznany, młynarz usłyszał w końcu dźwięczny głos osoby nawołującej.

Odwrócił się tam, skąd dobiegało wołanie. Na moście stała śliczna kobieta. Ściągnęła z głowy chustkę i powiewała nią zachęcająco. Włosy miała skręcone w naturalne, jasne loki. Wyglądała po prostu pięknie tego wiosennego, słonecznego dnia. Huttunen, stojąc w rzece, patrzył na nią z dołu. Zauważył, że ma solidne uda i umięśnione łydki. Spod powiewającej na wietrze sukienki widać było też bieliznę, pończochy ze szwem i podwiązki. Kobieta albo nie zdawała sobie z tego sprawy, albo wcale jej to nie zawstydzало. Huttunen wydostał się z potoku na brzeg, chwycił ubranie leżące na mostku i włożył je szybko. Kobieta zeszła nad rzekę, odwróciła się i podała mu rękę.

- Nazywam się Sanelma Kayramó. Jestem instruktorką kółka ogrodniczego.

- Miło mi - wykrztusił Huttunen.

- Jestem tu nowa. Odwiedzam wszystkie domy, nawet te, w których nie ma dzieci. Dotychczas byłam już w sześćdziesięciu gospodarstwach. Został mi jeszcze kawał drogi do objechania.

Instruktorka kółka ogrodniczego? Czego ona szuka w młynie?

Sanelma Kayramó wyjaśniła:

- Pana sąsiadka, żona Vittavaary powiedziała, że mieszka pan tu sam, no więc postanowiłam zajrzeć. Samotny człowiek też może przecież hodować warzywa.

Zaczęła ze swadą opowiadać o swoim pomysle. Mówiła, że uprawa warzyw jest najkorzystniejszym rozwiązaniem dla mieszkańców wsi. Warzywa to znakomity dodatek do jedzenia, zawierają witaminy i minerały. Nawet kawałek pola wielkości pół ara daje tak duży plon warzyw zielonych i okopowych - oczywiście, jeśli się je odpowiednio uprawia - że dla małej rodziny wystarczy zdrowego jedzenia na całą zimę. Trzeba tylko się zdecydować i przystąpić energicznie do roboty. Naprawdę się opłaca!

- No więc, może zaplanujemy, panie Huttunen, jakieś ładne poletko warzywne? Zielenina jest dzisiaj bardzo modna i to żaden wstyd dla mężczyzny, że ją hoduje i zajada się nią.

Młynarz jednak zaprotestował. Powiedział, że jest samotnym człowiekiem i wystarczy mu, jeśli od czasu do czasu w razie potrzeby kupi u sąsiadów worek brukwi albo rzepy.

- O tym nie ma mowy! Zaraz przystępujemy do działania. Na początek dam panu trochę

nasion. Chodźmy znaleźć odpowiednie miejsce na poletko uprawne. Kto raz hodował warzywa, nigdy tego później nie żałował.

Huttunen próbował jeszcze z innej beczki:

- Ale właściwie to ja jestem... no, trochę wariat! Nie słyszała panna o tym na plebanii?

Instruktorza machnęła lekceważąco chustą na wzmiankę o wariactwie Huttunena, jakby przez całe życie miała do czynienia z umysłowo chorymi. Zdecydowanym ruchem chwyciła młynarza za rękę i poprowadziła na stromy brzeg rzeki, gdzie nakreśliła w powietrzu wyimaginowane granice przyszłego warzywnika. Młynarz śledził wzrokiem jej ruchy. Ogródek wydawał mu się trochę za duży, więc pokręcił głową. Instruktorza zmniejszyła nieco jego powierzchnię, co przypieczętowało sprawę. Urwała cztery gałązki brzozy i wetknęła w każdy róg ogródka.

- Dla tak okazałego mężczyzny to wcale nie jest dużo do obrobienia - powiedziała i wyciągnęła aktówkę z bagażnika roweru. Usiadła na trawie, wydobyła plik papierów i rozłożyła przed sobą. Wiatr rozwiewał kartki, które Huttunen zbierał z pochyłej łąki i podawał kobiecie. Nagle poczuł się cudownie, ogarnęło go uczucie szczęścia. Kiedy wręczał papiery instruktorce, ona, dziękując mu, zaśmiała się prześlicznie. Młynarz wpadł w tak dobry humor, że aż chciało mu się zawyć ze słodkiej radości. I o mało co byłby to zrobił, ale się powstrzymał. Lepiej wobec takiej kobiety zachowywać się normalnie, w każdym razie na początku znajomości.

Instruktorza wciągnęła młynarza Gunnara Huttunena na listę członków kółka ogrodniczego. Narysowała plan warzywnika, wpisała nazwy roślin, które należy w nim uprawiać: buraki, marchew, brukiew, groch, cebulę i zioła. Próbowała namówić młynarza nawet na wczesną kapustę, ale wykreśliła ją, bo na plebanii nie mieli sadzonek.

- W pierwszym roku zadowolimy się chyba zwykłymi odmianami. Jak nabierzemy doświadczenia, to możemy *rozszerzyć* wachlarz uprawianych roślin - postanowiła instruktorza. Podała Huttunenowi kilka torebek z nasionami i powiedziała, że odbierze zapłatę następnym razem.

- Najpierw musimy przecież się przekonać, czy w ogóle wzejdą... Ale jestem pewna, że wkrótce zobaczy pan, panie Huttunen, cud nowego życia i wzrostu.

Huttunen powątpiewał, czy uda mu się osiągnąć sukces w uprawie ogródka. Nigdy wcześniej nie zajmował się czymś podobnym.

Instruktorza była zdania, że nie ma to żadnego znaczenia. Rozpoczęła wykład na temat prawidłowej pielęgnacji roślin, udzieliła dokładnych rad, jak trzeba obrabiać i nawozić ziemię, w jakiej odległości robić rzędkie dla poszczególnych gatunków, jak gęsto siać i jak głęboko

wcisnąć nasiona w glebę, żeby wszystko poszło dobrze. Dość szybko Huttunenowi zaczęło się wydawać, że uprawianie ogródka warzywnego jest najprzyjemniejszym zajęciem na świecie, że bardzo mu ta praca odpowiada, bo przecież w młynie nie ma aż tyle roboty, żeby starczyło na całe lato. Obiecał zaraz przystąpić do pracy i poszedł natychmiast do komórki po szpadel i motykę.

Dziewczyna przyglądała się, jak dorodny mężczyzna uderzał motyką w ziemię. Ostrzem narzędzia wyrwał dużą bryłę, a następnie rozdrobnił ją w świeżo powstałym zagłębieniu. Instruktorka schyliła się i wzięła nieco ziemi do ręki. Roztarta ją palcami, powąchała i uznała, że nigdzie nie ma lepszej gleby pod warzywa. Ponieważ na jej ręce pozostały brudne ślady, Huttunen popędził do młyna, przyniósł ocynkowane wiadro, wlał do rzeki i nabrał wody, żeby mogła opłukać dłonie.

- Ojej, nie trzeba było - kobieta zaczerwieniła się, zanurzając ręce w wiadrze. - Zamoczył pan sobie spodnie aż po kolana. Jak się panu odwdzięczę...

- Co mi tam spodnie - pomyślał sobie szczęśliwy Huttunen. - Najważniejsze, że jest zadowolona.

Zaczął uderzać motyką w ziemię z takim zapałem, że zrobił bruzdy jak po zaoraniu wołami.

Instruktorka zebrała papiery, włożyła do aktówki, chwyciła rower, wyciągnęła rękę na pożegnanie.

- W razie jakichś kłopotów niech się pan ze mną skontaktuje. Mieszkam u Siponena, na górze. Niech się pan nie wstydzi, mogłam o czymś zapomnieć, rozmawiając z panem pierwszy raz.

Potem zawiązała jaskrawą chustkę, tak żeby osłaniała jej włosy, umocowała aktówkę na ramie kierownicy i wskoczyła na siodełko. Jej szeroka pupa zakrywała całkowicie siedzenie roweru, a lekka sukienka powiewała na wietrze, kiedy instruktorka pedałowiała po zboczu wzgórza, na którym stał młyn.

Znalazłszy się w lesie, zatrzymała się, odwróciła w kierunku młyna i wyszeptała w zamyśleniu:

- Dobry Stwórco...

Po odjeździe kobiety podekscytowany Huttunen nie wiedział, co ma właściwie robić. Kopanie poletka nie wydawało mu się już tak pilne jak przed chwilą. Rozdygotany wszedł do młyna, oparł się o kamienie do mielenia kaszy, zatarł ręce, przymknął oczy i próbował przypomnieć sobie sylwetkę Sanelmy. Nagle się zerwał, wybiegł z młyna, wskoczył do potoku pod rynną i zanurzył się po szyję w zimnej wodzie. Po wyjściu na brzeg trząsł się trochę, ale

znowu był spokojny. Wszedł do młyna, popatrzył przez małe okno na drogę i zajęczał cicho, ale nie był już tak, jak niegdyś zimą.

Jeszcze tego samego wieczoru Huttunen obrobił ziemię w ogródku i z nastaniem nocy przywiózł furmankę gnoju. Rozrzucił nawóz grabiami po powierzchni ziemi, wymieszał i wysiał nasiona, które dostał od instruktorki. Nad ranem podlał ogródek i dopiero potem poszedł spać.

Szczęśliwy kładł się do łóżka. Miał własną działkę rolną, co oznaczało, że urocza instruktorka przyjedzie do niego znowu, prędzej czy później.

4

Następnego dnia Huttunen dalej naprawiał szkody spowodowane przez powódź. Zlikwidował dziury powstałe w drewnianej rynnie między młynem a heblem do gontów. Miejscami wystarczyło wstawić tylko jedną albo dwie nowe deski. Przybił też kilka belek w dolnej części rynny, bo stare były w większości przegniłe. Jak stanął na brzegu i trochę podskoczył, to rynna zaraz zaczynała się chwiać i przeciekać, przez co zmniejszała się ilość przepływającej wody i tym samym - siła obrotowa koła wodnego.

Po pięciu dniach Huttunen zabrał się do testowania młyna. Zamknął klapę prowadzącą do koła wodnego poruszającego hebel, aby cała woda płynąca do rynny kierowała się do turbiny, która zaczęła się obracać, najpierw powoli, a potem coraz szybciej. Stwierdziwszy, że turbina pracuje równomiernie i że wystarczająca ilość wody spada na jej łopatki, przeszedł z komory na most i wszedł do młyna. Nasmarował wazeliną wszystkie większe osie i łożyska. W małe otwory nalał oleju maszynowego z naczynia o długim dzióbku. Kiedy naoliwił wszystkie części ruchome, wziął patyk wystrugany z osiki i nałożył nim żywicy na koło turbiny. Przyciskał drewnienko do obracającego się walca na tyle mocno, żeby żywica dotarła do każdego zakamarka urządzenia. Posmarował także koła zainstalowane na osiach podtrzymujących górne kamienie młyńskie. Następnie przerzucił szeroki pas transmisyjny wokół walców. Nałożył go za pierwszym razem tak dokładnie, że nie spadał już z koła, lecz zaczął podrygiwać w tajct obrotów osi turbiny i wprawił w ruch ciężki kamień górny, który ocierał się o nieruchomy kamień dolny. Gdyby Huttunen wsypał teraz kilka garści ziarna do otworu kamienia górnego, to wkrótce mógłby powąchać gotową, zmieloną mąkę.

Młyn pracował. Kamienie tarły z wielką siłą, pas transmisyjny furczał, osie stukały, obracając się w luźnych łożyskach. Budynek młyna drżał, a na dole szumiała przepływająca przez koło woda Myllykoski.

Huttunen przełożył pas z kamienia mielącego mąkę na koło kamienia do robienia kaszy, wypróbował go i stwierdził, że młyn działa równie dobrze, wytwarzając kaszę.

Oparł się o brzeg pustego kosza na ziarno, zamknął oczy i przysłuchiwał się znajomym dźwiękom. Na jego twarzy malował się spokój. Nie odczuwał zwykłego podniecenia ani przygnębienia. Pozwolił, żeby młyn pracował przez dłuższy czas na jałowych obrotach, zanim wypuścił wodę z rynny przez turbinę. Koło wodne poruszało się coraz wolniej, aż w końcu się zatrzymało. W młynie zapanowała cisza, słychać było jedynie lekki szum wody od strony rzeki płynącej pod budynkiem.

Następnego dnia Huttunen poszedł do sklepu, żeby powiedzieć ludziom, że przyjmie ziarno, jeśli ktoś chciałby zemleć zeszłoroczne zboże paszowe.

Kupiec Tervola zerknął kątem oka na młynarza.

- Musiałem zapisać te ładunki wybuchowe na własne nazwisko, bo policja pytała, czy masz pozwolenie. Na drugi raz nie sprzedam ci ich tak sobie, bo jesteś strasznym dziwakiem.

Huttunen przeszedł się po sklepie, jakby nie słyszał właściciela. Wyjął z kosza butelkę piwa i zapalił papierosa. Akurat był to ostatni papieros, więc na pustym opakowaniu napisał, że młyn w Suuskoski znowu działa i można przywozić ziarno do zmielenia. Wyrwał z drzwi stary gwóźdź i przybił ogłoszenie.

- Musiałeś wrzucić, nieszczęsny człowieku, dynamit do rzeki, na oczach wszystkich ludzi?

Kupiec nakładał właśnie do torebki mieszankę suszonych owoców dla żony nauczyciela. Huttunen włożył pustą butelkę po piwie do kosza i rzucił na ladę kilka monet. Kupiec zerkał na wskazówkę wagi i dalej narzekał:

- W gminie mówią, że właściwie to trzeba by cię zamknąć i poddać leczeniu.

Huttunen odwrócił się nagle do niego, popatrzył mu prosto w oczy i zapytał:

- Powiedz mi, Terrola, czemu to marchewka jeszcze nie wzeszła? Podlewam codziennie pole, ziemia jest czarna, a roślin ani widu ani słyhu.

Kupiec odburknął, że nie marchewka jest tu najważniejsza.

- Nasza córka chodzi już drugi rok do twojego młyna. Czy to wypada, żeby dzieci latały po nocach słuchać wariata?

Huttunen położył pięść na wadze i nacisnąwszy szalkę, powiedział:

- Dokładnie dziesięć kilo. Dołóż no ciężarków.

Sam położył kilka odważników na wagę i znowu nacisnął szalkę pięścią, aż wskazówka wychyliła się do samego końca.

- Teraz moja pięść waży już piętnaście kilo.

Kupiec próbował zrzucić rękę Huttunena z wagi. Torebka z mieszanką suszonych owoców przewróciła się i na podłogę spadły kawałki jabłek. Zona nauczyciela odsunęła się od

lady. Huttunen pochwycił wagę i wyszedł z nią na dwór. Wychodząc, zerwał zębami ogłoszenie o mieleniu ziarna. Kiedy znalazł się na podwórku, włożył wagę do wiadra w studni i opuścił je ostrożnie na samo dno. Kupiec Tervola wyszedł ze sklepu. Stojąc na schodach, krzyczał, że to ostatni numer Huttunena.

- Takiego trzeba odstawić do wariatkowa w te pędy! Od tej pory sklep jest dla ciebie zamknięty, Huttunen!

Młynarz poszedł w kierunku kościoła. Po drodze rozmyślał o tym, co się właściwie wydarzyło. Był smutny, ale poweselał, kiedy przypomniał sobie wagę w studni. Studnia też jest pewnego rodzaju wagą, a woda pełni rolę odważników.

Zatrzymał się przy bramie cmentarza i na jeden z gwoździ po starych ogłoszeniach nadział kawałek kartonu, który trzymał w zębach. Było tam napisane:

„Młyn w Suuskoski znowu się kręci. Huttunen?”

Przeszedł z cmentarza do miejscowej kawiarni. Wypił butelkę piwa, a ponieważ znajdowało się tam wielu ludzi z różnych części wioski, powiedział:

- Przekażcie dalej, że jeśli ktoś ma jeszcze ziarno, niech je przywiezie do Suuskoski.

Wypił do końca piwo i wyszedł. Na progu rzucił jeszcze:

- Ale opryskanego mi nie przywozić. Nie zmielę też zboża paszowego. Nie chcę zanieczyścić młyna.

Huttunen zwolnił kroku przy domu Siponena. Popatrzył w górne okna, żeby sprawdzić, czy instruktorka jest u siebie. Poszukał wzrokiem jej niebieskiego roweru. Nigdzie go nie było. Pewnie objeżdża gospodarstwa... Udziela dzieciom rad, jak uprawiać ogródek warzywny, podaje gospodyniom przepisy na potrawy z zieleniny. Huttunen poczuł zazdrość, kiedy wyobraził sobie, jak dziewczyna uczy leniwych smarkaczy przerzedzania zbyt gęsto rosnącej marchewki albo radzi tłustym gospodyniom, jak trzeba przyrządzać sałatę.

Przypomniał sobie własne pole i czarną ziemię. Instruktorka nie miała czasu, żeby przyjść do niego. A mogła przecież tylko zatrzymać się na chwilę, żeby popatrzeć, jak spulchnił dokładnie ziemię, rozrzucił nawóz i wysiał nasiona. Wszystko zgodnie z instrukcją.

Czy naigrywała się z niego, zmuszając dorosłego mężczyznę do dziecinnie prostej roboty? Dostyc już się z niego śmieją we wsi, z szalonego drąga! Czy ona musi postępować tak samo? Myśl o tym wydała mu się okropna, nie do zniesienia, przygnębiająca. Gunnar odwrócił się tyłem do domu Siponena. Obrażony pobiegł do Suuskoski.

Z naprzeciwka nadjechała na rowerze żona nauczyciela. Wracała właśnie ze sklepu. Kiedy zobaczyła biegnącego w jej kierunku młynarza, zatrzymała się i przepuściła go na drogę prowadzącą przez las.

Huttunen dotarł do rzeki, popatrzył na ogródek - ciemny i bez życia. Podlał ziemię, która wydała mu się porzucona. Instruktorka ją porzuciła. Huttunen poczuł się także porzucony. Smutny wszedł do izby na piętrze młyna, zrzucił gumowce z nóg i bez kolacji położył się na łóżku. Wzdychał ciężko przez kilka godzin. Wreszcie zapadł w niespokojny, dziwny i ciężki sen.

5

Obudził się rano. Spojrzał na zegarek kieszonkowy w metalowej kopercie - pokazywał czwartą.

Zegarek był wspaniały. Huttunen kupił go, kiedy podpisano pokój tymczasowy, od pewnego gołego jak święty turecki niemieckiego sierżanta w Riihimaki. Niemiec przysięgał, że zegarek jest odporny zarówno na wodę, jak i na upływ czasu. Z biegiem lat okazało się to prawdą. Pewnego razu Gunnar założył się z chłopakami, że czasomierz nie przepuszcza wody. Włożył go do ust, a zegarek nadal był sprawny. Nie przestał chodzić nawet wtedy, kiedy Huttunen, trzymając go w ustach, poszedł do sauny, siedział tam półtorej godziny i w tym czasie dwa razy wskoczył do jeziora. Zanurkował, zszedł na samo dno i leżał bez ruchu, nasłuchując, czy zegarek chodzi. Pod wodą panowało większe ciśnienie niż w saunie, ale tykanie słychać było dobrze. Dochodziło wyraźnie spod obudowy. Już po wszystkim czasomierz wyciągnięto z ust Huttunena, wytarto do sucha i stwierdzono, że nadal chodzi tak, jakby znajdował się po prostu w kieszeni. Nie zauważono w nim żadnej usterki. Teraz pokazywał czwartą.

Wyciągnąwszy zegarek, Huttunen pomyślał o instruktorce. Przypomnił sobie, jak kobieta mówiła, że jeśli będą jakieś trudności z uprawą ogródka, to bez skrupułów ma przyjść do niej po radę.

A może rzeczywiście pójdzie porozmawiać o uprawianiu warzyw? Uznał, że jest to dobry powód do złożenia jej wizyty, bo przecież nasiona są w ziemi już sześć dni, a wciąż nie ma naj - mniejszego śladu przyszłego urodzaju. Można by zapytać instruktorkę, czy nasiona nie były przypadkiem za stare. W takim razie mógłby poprosić ją o nowe, lepsze. Doszedł do wniosku, że ma do niej wystarczająco dużo prawdziwych, prawie oficjalnych spraw. Nikt nie powinien się dziwić, jeśli złoży jej wizytę właśnie teraz.

Huttunen wypił pół chochli zimnej wody i pojechał na rowerze do domu Siponena.

Wieś wyglądała dziwnie, jak opustoszała. Na pastwiskach nie widać było bydła, żaden z mieszkańców nie pracował w polu. Jedyne ptaki śpiewały, obudzone letnim wschodem słońca, a zaspane psy obszczekiwały leniwie Huttunena, kiedy ten mijał okoliczne domy. Z kominów nie unosił się dym. Ludzie jeszcze spali.

Pies Siponena zaczął szczekać ostrzegawczo, kiedy młynarz wjechał na podwórko. Drzwi zewnętrznych nie zamknięto na haczyk, więc Huttunen wszedł do izby. Zasłony były zaciągnięte, a domownicy pogrążeni we śnie.

- Dzień dobry.

Pierwszy obudził się parobek Launola. Zdziwiony i zaspany odpowiedział na pozdrowienie, leżąc na ławie za murkiem. Z alkowy wyszedł do sieni ziewający gospodarz, niski, starszy, krótkowzroczny mężczyzna, wyglądem przypominający słonia. Podeszedł do Huttunena, zadarł głowę, a kiedy rozpoznał gościa, poprosił, żeby usiadł. W ślad za mężem do izby wtoczyła się gospodyni, niska i potwornie gruba kobieta, tak otyła, że nie mogła nawet wcisnąć nóg w gumowce. Z tego powodu trzeba było zawsze rozcinać niemal do połowy cholewki butów, w których chodziła do stajni. Siponenowa przywitała się i zapytała młynarza:

- Co się takiego znów stało w młynie, że Kunnari łązi po nocy?

Huttunen usiadł przy stole, zapalił papierosa, poczęstował też Siponena, który naciągał spodnie.

- A nic takiego. Dziękuję za troskę. Pomyślałem sobie, że zajdę do was, bo nie byłem tu już dawno.

Gospodarz usiadł naprzeciwko Huttunena. Palił papierosa przez firkę i milczał. Patrzył młynarzowi z bliska w oczy. Launola poszedł na dwór za potrzebą, a kiedy wrócił i nikt od niego niczego nie chciał, położył się znowu na ławie i zaczął chrapać.

- Czy konsultantka jest w domu? - zapytał w końcu Huttunen.

- Pewnie śpi na strychu - powiedział gospodarz i pokazał schody prowadzące do jej pokoju.

Huttunen zgasił papierosa i poszedł na górę. Gospodarze popatrzyli na siebie. Zdumieni nie ruszali się z miejsca. Ze schodów usłyszeli ciężkie kroki, a później głuchy stukot, kiedy Huttunen uderzył głową o sufit. Zaraz potem rozległo się pukanie, głos kobiecy i zamykanie drzwi. Siponenowa wgramoliła się na schody, żeby podsłuchać, o czym mówią na górze, ale nie mogła rozróżnić słów. Siponen wysyczał jej do ucha:

- Właż wyżej, żebyś lepiej słyszała, ale cicho, bo schody skrzypią. No idź, idźże już i powiedz mi, co słyszysz. Tylko cicho, bo schody trzeszczą! Cholera jasna, że też dostała mi się taka gruba baba! Cały dom się pod nią chwieje.

Zaspana i zmieszana instruktorka przyjęła Huttunena w nocnej koszuli. Młynarz stał zgarbiony w pokoju z ukośnym sufitem, w jednej ręce trzymał czapkę, a drugą wyciągnął do dziewczyny, żeby się przywitać.

- Dzień dobry, pani konsultantko... Przepraszam, że ja tak przychodzę o tej porze, ale

pomyślałem sobie, że na pewno teraz będzie pani w domu. Słyszałem, że od rana do wieczora jeździ pani po wsi i udziela ludziom porad.

- Oczywiście, że o tej porze jestem w domu. Która to godzina? Jeszcze nie ma piątej.

- Chyba pani nie obudziłem? - przestraszył się młynarz.

- Nic nie szkodzi, panie Huttunen. Proszę bardzo, niech pan usiądzie, żeby nie musiał się pan tak pochylać. Ten pokój jest niski. Wyższe i większe kosztują drożej.

- Ależ ten pokój jest bardzo ładny. W moim młynie nie ma nawet zasłon. To znaczy nie ma zasłon w pokoju... bo w samym młynie nie są potrzebne.

Huttunen usiadł na małym taborecie koło kuchenki. Chciał zapalić, ale zrezygnował. W mieszkaniu kobiety nie wydawało mu się to właściwe. Konsultantka siedziała na skraju łóżka, odgarniała z czoła kręcone włosy, zmierzwiłone podczas snu. Lekko zaspana wyglądała uroczo. Duże piersi rozsadzały koszulę nocną. W jej rozpięciu widoczny był wyraźny przedziałek. Huttunen nie mógł się powstrzymać od zerkania w tamtą stronę.

- Codziennie czekam, że panienka zajdzie do młyna. No, bo ja od razu wyszykowałem ogródek warzywny, tak jak się umówiliśmy. Mogłaby pani przyjść i go zobaczyć.

Sanelma Kayramó zaśmiała się nerwowo.

- Miałam zamiar zajść w przyszłym tygodniu.

- Czas biegnie tak powoli! A w ogóle to rośliny wcale nie wschodzą.

Instruktorza odpowiedziała szybko, że nasiona nie mogły jeszcze zakiełkować, bo zostały wysiane dopiero kilka dni temu. Huttunen nie powinien być taki niecierpliwy. Może wracać spokojnie do młyna. Warzywa na pewno zaczną rosnać we właściwym czasie.

- No, to chyba powinienem już iść - powiedział zaszepiony młynarz, chociaż wcale nie miał ochoty nigdzie wychodzić.

- Przyjadę i obejrzę poletko zaraz w przyszłym tygodniu - obiecała instruktorka. - To nieodpowiedni czas na składanie wizyt, a ja tylko wynajmuję pokój. Siponenowa jest bardzo wymagająca, chociaż taka gruba.

Huttunen próbował jeszcze przeciągać:

- Mógłbym posiedzieć tu z pół godzinki?

- Panie Huttunen, niech pan postara się zrozumieć.

- Przyszedłem, bo panienka powiedziała, że mogę wpaść, jak tylko będą jakieś kłopoty.

Instruktorza była zażenowana. Chętnie pozwoliłaby młynarzowi posiedzieć sobie koło kuchenki - bo to taki przystojny, choć dziwny człowiek - no, ale przecież nie wypada. Sanelma Kayramó pomyślała, że to śmieszne, lecz nie boi się wcale tego niezwykłego mężczyzny, o którym wielu mówi, że jest umyślowo chory. Jakimś sposobem musi go jednak wyprawić w

drogę.

Nie można przeciągać tej wizyty. Co sobie pomyślą na dole, jak Gunnar posiedzi tu jeszcze dłużej!

- Spotkamy się”kiedy będę w pracy... choćby w sklepie albo w kawiarni, przy okazji, może w lesie albo gdzie indziej... ale nie tutaj, nie teraz.

- Chyba już muszę iść.

Huttunen westchnął ciężko, nałożył czapkę na głowę i rzucił instruktorce pożegnalne spojrzenie. Sanelma Kayramó była pewna, że biedak zakochał się w niej, bo zbierając się do wyjścia, miał bardzo smutną minę.

- Zegnam, panie Huttunen. Spotkamy się wkrótce w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Żal młynarza trochę się zmniejszył. Chwycił mocno klamkę i uklonił się grzecznie. Potem popchnął energicznie drzwi, które uderzyły w coś ciężkiego i miękkiego. Ze schodów doszedł przejmujący wrzask i wielki łoskot. To była Siponenowa, która wdrapała się na górę i podsłuchiwała rozmowę instruktorki z młynarzem. Wychodząc, Huttunen z całej siły uderzył kobietę drzwiami i zrzucił ze stromych schodów. Na szczęście gospodyni, gruba jak beczka, stoczyła się miękko w dół do przedpokoju, gdzie złapał ją mąż. Z jej ucha ciekła krew. Kobieta darła się tak, że aż drżała szklana weranda.

Parobek Launola przybiegł z izby. Huttunen zszedł na dół, za nim podążała instruktorka. Siponenowa leżała na podłodze i jęczała. Siponen popatrzył gniewnie na młynarza i zagrzemiał:

- Diabli nadali! Przychodzi taki po nocy do domu spokojnych ludzi i morduje kobietę!

- Przecież gospodyni jeszcze żyje! Zanieśmy ją pod pierzynę - odezwał się parobek.

Siponenowa została przeniesiona do alkowy i położona na łóżku. Już po wszystkim Huttunen wyszedł. Wskoczył na rower i ruszył szybko z podwórka. Gospodarz wybiegł na werandę i krzyknął w ślad za młynarzem:

- Jak kobietę sparaliżuje, to będziesz musiał, Kunnari, zapłacić mi za jej utrzymanie! Jak trzeba, to do sądu pójdziemy!

Pies Siponena obszcze kiwał to zdarzenia aż do rana.

6

Huttunen wpatrywał się w puste poletko cały tydzień i nie śmiał pokazać się we wsi. Jego przygnębienie i samotność skończyły się nagle, bo do młyna zajechała, kręcąc wesoło pedałami roweru, instruktorka. Pozdrowiła Huttunena miło i od razu przystąpiła do rozmowy o warzywniku. Kiełki sałaty pojawiły się już na powierzchni ziemi. Konsultantka przekonywała,

że niedługo pokaże się też marchewka. Przyjęła od Huttunena pieniądze za nasiona, które dała mu podczas poprzedniej wizyty, i udzieliła wskazówek, jak przeredzać roślinki i spulchniać ziemię.

- Najważniejsza jest staranność - przekonywała młynarza. Szczęśliwy Huttunen zrobił kawę i podał razem z obwarzankami.

Kiedy omówili wszystkie kwestie związane z ogródkiem, Sanelma Kayramó poruszyła sprawę wizyty młynarza w jej mieszkaniu.

- Właściwie przyszedłam porozmawiać o tym, co się zdarzyło wtedy nad ranem.

- Drugi raz już nie przyjdę do pani - obiecał zawstydzony Huttunen.

Sanelma uznała, że pierwszy raz to też było za dużo. Powiedziała, że Siponenowa ciągle leży w łóżku i nie chce wstać. Nie bierze się nawet do pracy w oborze. Siponen wezwał gminnego lekarza, żeby obejrzał jego żonę.

- Doktor Ervinen obadał ją, przewracając na wszystkie strony. Właściwie pomagali mu w tym ludzie, bo gospodyni jest strasznie gruba. Kazał jej umyć ucho i wsadził do niego zwinięty paperek. Chyba coś jest z nią nie tak od czasu uderzenia kławką. Doktor pokrzykiwał kobiecie do ucha, twierdząc, że powinna słyszeć i chyba udaje głuchą. Poświecił Siponenowej mocną lampką kieszonkową w oczy całkiem z bliska i jednocześnie wrzasnął nagle do bolącego ucha. Powiedział, że źrenica jej drgnęła, więc kobieta słyszy. Jednak gospodarz nie chciał uwierzyć. Potem wszyscy krzyczeliśmy chorej do ucha i patrzyliśmy jej w oko, ale ona zachowywała się tak, jakby nic do niej nie docierało. Siponen zapowiedział, że utrata słuchu jego baby drogo będzie kosztowała Kunnariego.

Huttunen popatrzył błagalnie na instruktorkę. Miał nadzieję, że złe wiadomości już się wyczerpały. Ale dziewczyna ciągnęła:

- Doktor Ervinen był zdania, że gospodyni powinna wstać z łóżka i zabrać się do pracy. Ale ona twierdzi, że nie może ruszać kończynami, i dalej leży. Postanowiła być sparaliżowana. Oznajmiła też, że do końca życia nie wstanie już z łóżka. Tak zdecydowała i Ervinen nie miał nic do gadania. Wychodząc, doktor powiedział, że jeśli o niego chodzi, bo niech leży nawet do dnia Sądu Ostatecznego. Siponen zagroził, że wezwie lepszego lekarza, który potwierdzi na piśmie, że kobieta jest sparaliżowana. Powiedział też, że jeszcze wyciągnie za to pieniądze od Kunnariego.

- A więc tak się sprawy mają - pomyślał niepokieszony Huttunen. Wszyscy w okolicy wiedzieli, że Siponenowa jest i najgrubszą, i najbardziej leniwą babą we wsi. Teraz ma świetny powód, żeby się wylegiwać. Launola, cwany parobek, poświadczy w tej sprawie oczywiście wszystko, czego zażądata od niego gospodarze.

Instruktorza wyjaśniła, że mówi to Huttunenowi, bo wie, że jest on niewinny, a po drugie dlatego, że go lubi. Zaproponowała, żeby oboje, ona i Huttunen, przeszli na ty.

- Ale będziemy mówić do siebie „ty”, rozmawiając tylko w cztery oczy, kiedy inni nie będą nas słyszeć.

Młynarzowi sprawiło to ogromną radość, a ucieszona Sanelma powiedziała do niego:

- Gunnarze!

Huttunen nalał jeszcze kawy. Dziewczyna podjęła więc nowy temat, jeszcze bardziej delikatny.

- Gunnarze... czy mogłabym cię zapytać o coś bardzo osobistego? O pewną bolesną sprawę, o której tak dużo się mówi we wsi?

- Pytaj, o co chcesz, ja się nie obrażę.

Instruktorce trudno było zacząć. Napiła się kawy, rozkruszyła obwarzanek, wyjrzała przez okno, chciała porozmawiać o uprawie ogródka, ale w końcu postanowiła przejść do sedna sprawy.

- Wielu we wsi twierdzi, że ty nie jesteś całkiem zwyczajny...

Huttunen przytakiwał zażenowany: - Tak, wiem... Nazywają mnie wariatem.

- No, właśnie. Kiedy byłam wczoraj na kawie u żony nauczyciela, powiedzieli mi tam, że jesteś psychicznie chory... Możesz być podobno niebezpieczny, i to jeszcze jak! Żona nauczyciela opowiadała, że wyniosłeś nagle ze sklepu wagę i wrzuciłeś do studni. Ale to chyba nieprawda, przecież nikt tak nie robi.

Huttunen musiał przyznać, że owszem, umieścił wagę Terroli w studni.

- Można ją stamtąd wyciągnąć, trzeba tylko pokręcić korbą i zwinąć sznur.

- Mówi się też o ładunkach wybuchowych. No i to wycie! Czy to prawda, że wyjeżdżasz zimą?

Huttunen był zawstydzony. Musiał przyznać się też do wycia.

- No, czasem troszkę się zaskowyczy... Ale przecież to nic złego.

- A poza tym udajesz podobno różne zwierzęta... i naśmiewasz się z mieszkańców wsi: z Siponena, Vittavaary, nauczyciela i kupca. To też prawda?

Huttunen wyjaśnił, że czasami ogarnia go taki nastrój, że musi zrobić coś niezwykłego.

- Zupełnie jakby mi w głowie łomotało. Ale na ogół nie jestem niebezpieczny.

Instruktorza długo siedziała w milczeniu. Była smutna. Patrzyła ze współczuciem na siedzącego naprzeciw i popijającego kawę młynarza.

- Gdybym tylko mogła ci pomóc! - rzekła w końcu i wzięła go za rękę. - Uważam, że to straszne, gdy człowiek tak wyje w samotności.

Huttunen odchrząknął i poczerwieniał. Instruktorza podziękowała za kawę i zaczęła zbierać się do wyjścia. Młynarz się przestraszył.

- Chyba nie idziesz już? Nie jest ci tu dobrze?

- Jakby ludzie się dowiedzieli, że tu przesiaduję, to wzięliby mnie na języki. Muszę już iść.

- A jeżeli skończę z wyciem, to przyjdiesz jeszcze? - zapytał prosząco Huttunen i w pośpiechu zaczął tłumaczyć, że jak Sanelma nie ma odwagi odwiedzać go w młynie, to dlaczego nie mieliby się widywać gdzie indziej, choćby w lesie. Obiecał poszukać odpowiedniego miejsca, gdzie mogliby spotykać się od czasu do czasu i nikt by im nie przeszkadzał.

Instruktorza się wahała:

- To musi być pewne miejsce i nie za dalekie, żebym nie zabłądziła. Tutaj mogę przychodzić tylko dwa razy w miesiącu, jak do innych ogródków klubowych. Jeśli będę bywać częściej, to zaraz zaczną plotkować. Związek Kółek Rolniczych może stracić cierpliwość.

Huttunen objął konsultantkę. Kobieta się nie opierała. Młynarz szeptał jej do ucha, że wcale nie jest takim wariatem i że można się z nim dogadać. Wreszcie wymyślił odpowiednie miejsce na spotkania. Sanelma pójdzie drogą prowadzącą do kościoła i przecinającą mały potok, a potem wzdłuż niego około kilometra aż do północnego brzegu. Tam potok skręca ostro i później dzieli się na dwie odnogi, opływając wyspę gęsto porośniętą olszyną. Huttunen zapewnił, że nikt nigdy nie chodzi tam, na Leppasaari. Jest to piękne i bezpieczne miejsce, a na dodatek położone dość blisko.

- Przerzucę przez potok kilka bali, żebyś nie musiała wkładać gumiaków, jak będziesz szła na wyspę.

Instruktorza obiecała przyjść na Leppasaari w następną niedzielę pod warunkiem, że Huttunen nie będzie już odtąd przysparzał sobie kłopotów.

Młynarz pokornie przyrzekł zachowywać się jak człowiek.

- Będę siedział zupełnie cicho tu, w Suuskoski, i nie zawyję, choćby nie wiem jak mi się chciało.

Instruktorza zachęciła go do podlewania ogródka co wieczór, bo lato jest bardzo słoneczne i suche. Potem wyszła. Szczęśliwy Huttunen został w młynie, patrzył na jego szare ściany i zastanawiał się, czy nie pomalować budynku.

7

Huttunen przygotowywał czerwoną glinę w stulitrowym kotle na podwórku przed młynem. Mieszał zawiesinę, patrzył, czy ogień pali się równo. Był zadowolony, przepełniony

energiją, w nastroju oczekiwania. Pojutrze jest niedziela, a wtedy spotka się z instruktorką w Leppasaari.

Już wcześniej zbudował mostek z dwóch bali prowadzący przez potok na wyspę. Postawił w zaroślach altankę, a przed nią wykarczował mały placzyk udający podwórko. Podłogę wymościł sianem. Było tam chłodno, więc komary nie przeszkadzały. Kobiety denerwują się zwykle, kiedy gryzą je owady.

- Sanelma ucieszy się na pewno z tego, co zrobiłem - myślał szczęśliwy Huttunen.

Czerwona glina zabarwiła pięknie brązową mieszanekę z żytniej mąki i powstała ciemnoczerwona farba. Już wieczorem była gotowa do użycia, więc w niedzielę budynek młyna powinien wyglądać jak nowy. Nie kosztowało to dużo Huttunena. Musiał kupić tylko czerwonej gliny i witriolu, bo mąkę miał własną.

Tymczasem na podwórko wjechał ciągnięty przez konia wóz Vittavaary Korpulentny sąsiad siedział na pięciu workach zeszłorocznego ziarna, które przywiózł do zmielenia. Huttunen ucieszył się. Dorzucił drewna pod kocioł z farbą i pomógł Vittavaarze przywiązać konia.

- A więc postanowiłeś zostać malarzem - usłyszał młynarz od sąsiada, kiedy razem dźwigali worki.

- Przeczytałem na bramie cmentarza, że młyn znowu chodzi, to przywiozłem resztki jęczmienia... Trzeba przecież korzystać z młyna w swojej wsi, żeby cenna woda w rzece nie przelewała się na próżno, niepotrzebnie.

Huttunen uruchomił maszynę, rozwiązał pierwszy worek i wysypał zawartość do kosza. Młyn wypełnił się wkrótce zapachem świeżej mąki jęczmiennej. Mężczyźni wrócili na podwórko. Huttunen poczęstował gościa papierosem. Pomyślał sobie, że w gruncie rzeczy ten Vittavaara to całkiem niezły sąsiad. Zupełnie innego kalibru człowiek niż Siponen i jego żona, leniwa jak nie wiadomo co.

- Masz niezłego wałacha - stwierdził z uznaniem Huttunen, by okazać gościowi sympatię.

- Trochę narowisty rumak, ale tak ogólnie dobry.

Vittavaara chrząknął. Huttunen się domyślił, że poza zmieleniem zeszłorocznego jęczmienia sąsiad ma do niego jeszcze inną sprawę. Może przywozi pozdrowienia od Siponena? Albo od kupca Tervoli lub nauczyciela?

- Mówiąc tak między nami mężczyznami... między dobrymi sąsiadami, to chcę cię, Kunnari, ostrzec. W ogólności jesteś dobrym człowiekiem, niczego ci nie można zarzucić, ale masz jedną wadę. Mówiliśmy o tym na posiedzeniu Rady Społecznej. Jak wiesz, jestem jej

przewodniczącym.

Huttunen zgasił papierosa, wcisnął nogą niedopałek w ziemię. Co Vittavaara chce przez to powiedzieć? Postanowił zachować czujność.

- Jakby to określić... wielu mieszkańców gminy narzeka na ciebie. Powinieneś skończyć z tym wyciem i innymi wygłupami. Skarżą się nawet do Rady.

Huttunen popatrzył nieprzyjaźnie na sąsiada.

- Powiedz wprost, co ci doniesiono.

- No, przecież powiedziałem już. Musisz wreszcie skończyć z wyciem. Nie wypada, żeby dorosły człowiek skowytał na wyścigi z psami. Zeszłej zimy i teraz na wiosnę nie dałeś spokoju wsi przez wiele nocy. Zona nie spała przez to wiosną w ogóle. A i dzieciom źle idzie w szkole. Córka przeszła warunkowo. Całe lato przesiaduje w młynie, nie śpi, tylko słucha twoich głupich historii. I tak to jest.

Huttunen próbował się bronić:

- Tej wiosny wyłem mniej niż zwykle. Tylko kilka razy dałem porządny koncert.

- Napadasz na ludzi, wygłupiasz się, jesteś złośliwy. Nawet nauczyciel Tanhumaki też się skarżył. Udajesz nie wiadomo jakie stworzenia, i nie dość tego, wrzucasz jeszcze dynamit do rzeki.

- To tylko żarty.

Ale Vittavaara się rozkręcił. Z nabrzmiętymi żyłami na skroniach oskarżał Huttunena:

- Do diabła, jeszcze masz czelność zaprzeczać? Jakbym nie siedział przez tyle nocy na skraju łóżka i nie słuchał twoich wrzasków dochodzących z młyna! O, właśnie czegoś takiego, poznajesz?

Zdenerwowany Vittavaara zaczął wyć, wyciągnął rękę i skierował twarz ku niebu. Z gardła wydobył przeraźliwy krzyk, tak głośny, że nawet jego koń wpadł w popłoch.

- Właśnie w ten sposób straszysz całą wieś, szalony człowieku! A te Wszystkie twoje występy teatralne! Raz jesteś niedźwiedziem, raz łosiem, cholernym wężem albo żurawiem. No, popatrz teraz dla odmiany, jak ty wyglądasz. No, patrz uważnie! Czy tak zachowuje się człowiek?

Vittavaara zaczął się przechadzać wokół podwórka, kołysząc się na boki jak niedźwiedź, mrucał i machał rękami, potem opadł na czworaki i ryczał, aż koń zaczął się szarpać na uwięzi.

- To był niedźwiedź! Poznajesz? A teraz patrz! Coś takiego też pokazywałeś nieraz!

Vittavaara podskakiwał dokoła kotła z farbą, chrapał i parskał jak renifer, potrząsał łbem, od czasu do czasu kopął nogą ziemię i pochylał się nad trawą, jakby jadł porosty. Znudził

go renifer, więc zaczął udawać leminga: ściągnął usta, kucnął, prychnął gniewnie na Huttunena i przesmyknął pod wozem jak rozzłoszczony gryzoń.

Huttunen przyglądał się początkowo spokojnie, ale w końcu w nim zawrzało:

- Przestań natychmiast, idioto! Ale mi chłop, co nie umie porządnie udawać! Niech mnie diabli! Jak byłem niedźwiedziem, nigdy nie kulałem w taki sposób.

Vittavaara wstrzymał oddech i zmusił się do zachowania spokoju.

- Chciałem tylko powiedzieć, że jeśli nie będzie porządku, to Rada każe cię związać i odstawić do szpitala dla umysłowo chorych w Oulu. Rozmawialiśmy już o tym wstępnie z Ervinenem. Doktor uznał, że jesteś chory. Wariat maniakalno-depresyjny. Jednej nocy pobiteś nawet babę Siponena tak, że ogłuchła. No, przypominasz sobie? Kupcowi ukradłeś wagę i utopiłeś w studni. Tervola musiał przez kilka dni sprzedawać kaszę na oko i poniósł przez to duże straty.

Huttunen się wściekł. Jakim prawem ten bałwan przychodzi tu, do jego młyna, krzyczy na niego i grozi mu! Miał już walnąć mocno w nabrzmiąłą gębę Vittavaary, kiedy przypomniał sobie w ostatniej chwili ostrzeżenia Sanelmy Kayramó.

- Zabieraj natychmiast swoje zboże, co do ziarna! Takiemu cholernemu dziadowi nie zmielę ani odrobiny. I wyprowadź, psiakrew, tę szkapę z podwórka, bo inaczej ją zagonię do rzeki.

Vittavaara powiedział z lodowatym spokojem:

- Zmielesz to, co ci każe. Jest jeszcze prawo na tym świecie i ja cię go nauczę. Może na Południu tak się robi, ale tutaj to nie przejdzie. Wbij sobie do głowy, drugi raz nie powtórzę.

Huttunen wpadł do młyna, zatrzymał maszyny. Wysypał świeżą mąkę ze skrzyni na podłogę, przydeptał ją, przekręcił kosz kamienia górnego w dół. Potem zarzucił zawiązany worek na plecy, wybiegł z nim na mostek, wyszarpnął zza pasa nóż i przeciął tkaninę. Wysypał ziarno prosto do potoku, a w ślad za nim rzucił resztki płótna. Pozostałe worki wypełnione zbożem też wrzucił do wody.

Vittavaara odwiązał od barierki spienionego konia i skierował go na drogę. Znalazłszy się tam, wrzasnął do młynarza:

- To była twoja ostatnia sztuczka, Kunnari! Zniszczyłeś mi pięć worków pierwszorzędnego jęczmienia! To się na tym nie skończy!

Worki ze zbożem płynęły, kołysząc się na wodzie. Huttunen splunął w ślad za nimi. W młynie zaległa cisza, na podwórku dymił kocioł z farbą. Huttunen chwycił czerwoną jak ogień chochlę do czerpania farby i popędził w kierunku Vittavaary. Ten zaciął konia batem. Wałach pogalopował, aż zapiszczały opony na kołach wozu. Pełne gróźb krzyki Vittavaary zagłuszały

stukot kopyt końskich:

- Znajdzie się jeszcze paragraf na takiego szaleńca! Związać zbója, nasienie szatana!

Prąd rzeki uniósł zboże sąsiada. Zmęczony Huttunen wszedł do młyna. Zamiótł skrzydłem głuszca rozrzuconą po podłodze mąkę i wysypał przez okno do rzeki.

8

Policjant Portimo, starszy człowiek i starszy konstabl, jechał sobie bez pośpiechu do młyna w Suuskoski na starym rowerze ze sflaczałymi oponami. Zjechawszy ze zbocza, zauważył, że Huttunen zabrał się do malowania budynku. Jedna ze ścian była już gotowa. Przy drugiej, nad mostkiem stała drabina, a na niej młynarz z pędzlem w ręku, malujący czerwoną farbą szare deski.

Portimo pomyślał leniwie, że nie przyjechał na darmo, skoro Kunnari jest w domu. Oparł rower o niepomalowaną jeszcze, południową ścianę młyna.

- Postanowiłeś upiększyć dom! - krzyknął do Huttunena, który zszedł z drabiny, trzymając wiadro z farbą.

Wyciągnęli papierosy, młynarz podał ogień. Pomyślał, że to na pewno Vittavaara - niech go diabli - naskarżył na niego, że wrzucił ziarno do potoku. Zaciągnął się kilka razy dymem i zapytał policjanta:

- Jesteś tu w imieniu prawa?

- No, przecież bezrolny policjant nie będzie przywoził ziarna do młyna. Przyjechałem w sprawie Vittavaary.

Portimo wypalił papierosa do końca, wypytał szczegółowo o malowanie młyna, a potem przystąpił do wypełniania obowiązków. Wyciągnął z portfela kwit i podał Huttunenowi. Młynarz dowiedział się z niego, że winien jest Vittavaarze za pięć worków ziarna. Poszedł do izby po pióro i pieniądze, zapłacił i podpisał się na dokumencie. Cena nie wydawała mu się zbyt wygórowana, ale mimo to powiedział do Portimy:

- Ziarno było w większości stare, z kielkami. Popłynęło z prądem. Nie nadawało się nawet na paszę dla świń.

Policjant Portimo przeliczył pieniądze, włożył banknoty i kwit do portfela, po czym splunął znacząco do potoku.

- Ty, Kunnari, nie bądź taki ważny. Jak naczelnik usłyszał o tej aferze ze zbożem Vittavaary, to powiedział, że trzeba cię zamknąć. Uspokoilem go na tyle, że udało się doprowadzić do ugody. Weź pod uwagę, że Vittavaara przyszedł do ciebie w całkiem słusznej sprawie. No, bo czy nie po to, żeby porozmawiać o twoich wygłupach?

- On sam jest głupkiem.

- Powiedział naczelnikowi, że widział się z doktorem i ten obiecał wypisać ci wariackie papiery. Właściwie to nie trzeba nic więcej, jak tylko cię złapać i odstawić do wariatkowa w Oulu. Gdybym był na twoim miejscu, to postarałbym się ich trochę ugłaskać. No, i jeszcze sprawa z Siponenem. I podobno w sklepie zabrałeś wagę z lady i cisnąłeś do studni. Żona nauczyciela przysłała donieść o tym, a sam Tervola też dzwonił w tej sprawie. Mówił, że trzeba było całą wagę rozebrać na części i teraz nie jest już tak dokładna jak kiedyś. Klienci zupełnie jej nie dowierzają. Codziennie w sklepie dochodzi do kłótni o kilogramy i ceny.

- A masz osobny rachunek za wagę? Daj tu, zapłacę jeszcze za ten cholerny gruchot.

Policjant Portimo poszedł wzdłuż mostku nad rynnę wodną. Przy heblu do gontów zeskoczył na brzeg rzeki, ochlapując przy tym buty wodą. Przeszedł koło rynny i zatrzymał się przy tamie. Huttunen podążał za nim. Policjant spróbował poruszyć solidne bale tworzące podstawę tamy, ale trzymały się mocno.

- Naprawdę doprowadziłeś młyn do porządku. Wcześniej wcale nie wyglądał tak dobrze. No, poza okresem, kiedy był nowy - chwalił Portimo. - Pamiętam jeszcze czasy, gdy w Suuskoski właśnie go zbudowano. Był rok 1902. Miałem wtedy sześć lat. Zmielono tu dużo zboża. Podczas wojny młyn strasznie podupadł. Dobrze, że go naprawiłeś, bo nie trzeba teraz przywozić mąki ani gontów z dalekiego Kemi czy Liedakkali.

Huttunen opowiadał z zapałem, jak to planuje jeszcze odnowić koniec rynny wodnej. Ale to nie wszystko:

- Myślę sobie, żeby dobudować jeszcze tartak. Woda w potoku ma wystarczającą moc. Można by zainstalować podwójne koło wodne albo powiększyć na przykład koło poruszające hebel do gontów i przeciągnąć dalej pas transmisyjny. Trzeba by też zrobić nasyp, żeby pas był odpowiedniej długości. Jak jest zbyt długi i zleci, to może nawet zabić. Już niejeden pracownik stracił życie z tego powodu.

Policjant przyglądał się trochę powątpiewająco miejscu, gdzie miał stanąć przyszły tartak. Huttunen dodał:

- Nawiezie się tu sześćdziesiąt furmanek kamieni i żwiru i będzie pole na tartak. Tam wyżej jest miejsce na składzik, jakby nazbierało się dużo tarcicy.

- Aha, teraz rozumiem. Ale przecież nie możesz jednocześnie i ciąć drewna, i heblować gontów.

- Pewnie, że nie, jeśli pracuję na jedno koło. Jestem samotnym człowiekiem.

- No tak, oczywiście.

Policjant Portimo wyobraził sobie w tym miejscu nowy tartak. Popatrzył z aprobatą na Huttunena i stwierdził poważnie:

- Ponieważ masz takie plany i młyn jest teraz porządny, to zastanów się, może skończysz ze swoimi wariactwami. Radzę ci to jako przyjaciel. Jak zmuszą mnie, żebym cię zawiózł do Oulu, to młyn znowu podupadnie i nie wiadomo, kto zajmie twoje miejsce.

Huttunen przytakiwał policjantowi z powagą. Obaj zeszli z tamy na dół. Portimo zabrał rower. Na pożegnanie pomachał Huttunenowi ręką. Młynarz pomyślał, że jest to najlepszy człowiek we wsi, chociaż policjant.

Portimo przypomniał mu Sanelmę Kayramó. To już dwoje sympatycznych i wyrozumiałych ludzi. Jeśli nie będzie padać, to Huttunen spotka się jutro z konsultantką w Leppasaari. W radiu zapowiadali roz pogodzenia aż do wieczora, a na szczęście w fińskiej Skandynawii jest wysokie ciśnienie.

Huttunen powrócił do malowania młyna. Jeśli będzie pracował całą noc, to rano w Suuskoski pojawi się czerwony budynek. Podobno znane w Helsinkach kobiety jeżdżą po całym kraju i występują w kabarecie, który nazywa się Czerwony Młyn. Były już nawet w Kemi i Rovaniemi. Tańczą w tak krótkich spódniczkach, że widać im majtki i podwiązki.

Malowanie podczas jasnej i chłodnej nocy letniej sprawiało Huttunenowi przyjemność. Chociaż nie czuł już ręki ze zmęczenia, nie chciał mu się spać, bo myślał o dwóch rzeczach: nowo pomalowanym młynie i spotkaniu na wyspie. Skończył pracę, kiedy w niedzielny ranek weszło słońce i oświetliło północno-wschodnią ścianę. Odniósł drabinę i kilka wiader farby do drewni. Wykąpał się w rzece i obszedł dwa razy młyn, podziwiając jego piękno. Budynek wyglądał tak świeżo!

Huttunen był w dobrym humorze. Poszedł do izby, zjadł kawałek kielbasy *Suomi* i wypił kubek maślanki. Potem udał się do Leppasaari. Był wczesny ranek. Leżąc na liściach w chłodnej altance, zmęczony młynarz zasnął z uśmiechem szczęścia i oczekiwania na twarzy.

9

Obudził go szelest prześcieradła zawieszzonego u wejścia altanki. Z zewnątrz dobiegł nieśmiały szept kobiecy:

- Gunnarze, już jestem.

Zaspany Huttunen wystawił głowę na zewnątrz. Wciągnął zawstydzoną instruktorkę do przyjemnie pachnącego, białego domku. Dziewczyna była zdenerwowana i zmarznięta. Mówiła w pośpiechu, że chyba jednak nie powinna była tu przychodzić, że nie mogą się tu spotykać, że Siponenowa nadal leży w łóżku i nie ma zamiaru już nigdy wstać... - Która to godzina? No tak, mamy dzisiaj piękny dzień.

Młynarz i instruktorka kółka rolniczego siedzieli na posłaniu z gałęzi, patrzyli sobie w oczy i trzymali się za ręce. Huttunen miał ochotę przytulić dziewczynę, ale kiedy spróbował, to

się odsunęła.

- Nie po to tu przyszłam.

Młynarz zadowolili się głaskaniem jej kolan. Sanelma Kayramó pomyślała, że jest przecież teraz sam na sam z szalonym mężczyzną daleko w lesie, na odludnej wysepce. Jak miała odwagę podjąć takie ryzyko? Gunnar Huttunen może zrobić, co zechce, i nikt mu w tym nie przeszkodzi. Mógłby na przykład ją udusić, zgwałcić... Ciekawe, gdzie by ukrył ciało? Pewnie przywiązałby kamienie do jej stóp i wrzucił do potoku. Włosy unosiłyby się z prądem. Na szczęście nie zrobiła trwałej. A jeżeli Gunnar pokroi ją na kawałki i zakopie w różnych miejscach? Sanelma Kayramó wyobraziła sobie ślady od noża na szyi, brzuchu i udach. Wstrząsnęły ją dreszcze, ale nie aż tak bardzo, żeby musiała cofnąć dłoń spoczywającą w ręce młynarza. Wzruszony Huttunen patrzył w jej oczy.

- A ja pomalowałem w tym tygodniu młyn w Suuskoski. Pociągnąłem go na czerwono. Portimo był u mnie wczoraj i podobało mu się.

Instruktor drgnęła. Z jaką sprawą przyszedł policjant? Huttunen opowiedział o zbroju Vittavaary, za które właśnie zapłacił.

- Naczelnik ściągnął za kielkujące ziarna taką zapłatę, jakby to było zboże na chleb.

Instruktor zaczęła gorąco namawiać młynarza, żeby poszedł koniecznie do doktora Ervina. Czy nie rozumie, że jest chory?

- Kochany Gunnarze, twoja równowaga duchowa się chwieje. Błagam cię, idź pomówić z doktorem Ervinem.

- Ervini to zwykły, gminny lekarz. Co on tam wie o chorobach psychicznych! Sam jest wariatem - próbował przeciwstawić się Huttunen.

- Mógłbyś pójść i poprosić go przynajmniej o lekarstwo, bo nie umiesz zachować się jak człowiek. Teraz mają takie uspokajające tabletki, Ervini ci je na pewno przepisze. Jak nie masz pieniędzy, to ja ci pożyczę.

- Głupio mi iść do lekarza i opowiadać o swoich problemach - powiedział niechętnie Huttunen i wyciągnął rękę z dłoni instruktorki. Kobieta popatrzyła na niego ciepło, pogłaskała po włosach, przyłożyła dłoń do szerokiego i rozgorączkowanego czoła. Pomyślała, że gdyby teraz obcowała z młynarzem, to na pewno poczęliby dziecko. Zaszłaby w ciążę zaraz, za pierwszym razem. Nie była pewna swoich dni. I czy w ogóle kobieta może mieć kiedykolwiek tak naprawdę pewne dni? Jeśli się jest z tak dużym mężczyzną, to wystarczy jeden dotyk, żeby urodziło się dziecko, syn - to pewne. Bała się nawet o tym myśleć. Najpierw urośnie jej brzuch i już jesienią będzie miała trudności z jazdą na rowerze. W tym wypadku Związek Kółek Rolniczych nie da jej nawet zwolnienia z pracy. Na szczęście ojciec zginął już podczas wojny

zimowej, bo nie zniósłby czegoś takiego.

Instruktorka wyobraziła sobie dziecko, które mogłaby urodzić młynarzowi. Byłoby to duże niemowlę o gęstych włosach i sporym nosie. Już w chwili narodzin miałoby co najmniej metr wzrostu. Bałaby się karmić piersią szalonego noworodka poczętego przez wariata. Nie płakałby jak inne niemowlęta, tylko od razu zacząłby wyc - jak ojciec. A już na pewno by jęczał. Normalne ubranka dziecięce nie pasowałyby na tego malca i trzeba by było uszyć mu spodnie z rozporkiem, od razu, kiedy jeszcze będzie leżał w kołysce. Broda urosłaby chłopcu już po pięciu latach, a w szkole podczas porannej modlitwy słyhać by było jego wycie. Na lekcji biologii naśladowałby wszystkie zwierzęta świata i nauczyciel Tanhumaki musiałby wyrzucać go z klasy. Ona nie miałaby odwagi pójść na kawę do żony nauczyciela. Przez resztę dnia syn Huttunena włóczyłby się po wsi i zdzierał ze słupów ogłoszenia wyborcze. A co by wyprawiał wieczorem razem z ojcem! Aż strach pomyśleć.

- Nie. Ja już pójde. Nie powinnam tu była przychodzić. Kto wie, może ktoś mnie zobaczył?

Huttunen położył rękę na jej ramieniu. Kobieta nie wychodziła z altanki.

Młynarz miał w sobie coś uspokajającego i budzącego zaufanie, więc Sanelma Kayramó nie mogła się stamtąd ruszyć, zresztą wcale nie miała ochoty. Chciała zostać jeszcze w chłodnym, białym domku zrobionym z prześcieradeł na cały dzień i na noc. Pomyślała, że zazwyczaj wariaci budzą w niej grozę. Ale ten jej nie przerażał. Miał taką siłę przyciągania, że nie dało się tego w żaden sposób wytłumaczyć.

- Strasznie bym się czuła, gdyby cię złapali i zawieźli do Oulu.

- Nie jestem jeszcze aż takim wariatem.

Instruktorka milczała. Według niej Gunnar Huttunen był wystarczająco zwariowany, żeby się znaleźć w Oulu. Dużo słyszała na temat jego wariackich wyczynów. Gdyby mogli żyć tylko we dwoje, odizolować się od wszystkich! Instruktorka uważała, że szaleństwo Gunnara Huttunena ma swój styl, jest nawet zabawne, nie można go za nie winić. Co człowiek poradzi, że ma taką głowę! Mieszkańcy wsi tego nie rozumieją.

Sanelma Kayramó zaczęła sobie wyobrażać, jak biorą ślub. Gunnar poprowadziłby ją do ołtarza, do starego gminnego kościoła, bo nowy jest na to za duży i mało przytulny. Odpowiedni na wesele będzie z pewnością dzień imienin Michała. Nie zdążą przygotować ubrań weselnych przed *Juhannusem*, świętem lata, bo Gunnarowi trzeba zamówić ciemny garnitur - taki, który nadawałby się też później na pogrzeb. A więc wesele w imieniny Michała. Dziecko przyjdzie na świat wtedy, kiedy powinno, czyli przyszłej wiosny. Niemowlęta urodzone wiosną są wspaniałe, sok warzywny jest dla nich w lecie zdrowym uzupełnieniem

mleka. Teraz instruktorka wyobraziła sobie noworodka jako malutką, ślicznie zaróżowioną dziewczynkę.

Mieszkaliby we trójkę w czerwonym młynie. Wieczorem dziecko zasypiałoby przy szumie potoku i nigdy by nie płakało.

Gunnar usypiałby je w kołysce zrobionej przez siebie, pomalowanej emalią na błękitny kolor. Przeprowadzając się z poddasza Siponenów, Sanelma wzięłaby ze sobą zasłony i brzozę karelską. W izbie młyńskiej powiesi się kinkiety w kształcie kwiatów, a pod nimi postawi cztery wiklinowe fotele. No, co najmniej dwa. Radio będzie stało na parapecie, żeby widać je było na zewnątrz. Do alkowy trzeba koniecznie wstawić podwójne łóżko, a po obu jego stronach umieścić nocne stoliki. Na jednym z nich znajdzie się lusterko. Ona, jako młoda gospodyni, będzie zamiatać podłogę i trzepać dywany co tydzień. Trzepaczkę kupi u kupca Tervoli. Czasem wybiorą się do sklepu całą rodziną. Gunnar będzie pchał wózek dziecienny. Jeżeli zostanie, żeby napić się piwa i porozmawiać o sprawach związanych z młynem, to nic nie szkodzi. W drodze powrotnej może jej przeciwieź towarzyszyć żona nauczyciela.

Nie, wszystko to jest niemożliwe. Jeśli Sanelma szybko stąd nie wyjdzie, będzie miała dziecko: szalone niemowlę z szalonym mężczyzną.

Mimo to jakoś nie mogła się zdecydować. Została z młynarzem w pachnącej altance przez całą niedzielę, aż do wieczora. Oboje byli szczęśliwi, rozmawiali o tym i owym, trzymali się za ręce, a czasem Huttunen gładził jej policzki. Dopiero z nastaniem zimnego wieczoru młynarz odprowadził konsultantkę do drogi, którą odjechała z powrotem do domu Siponenów. Wtedy odwrócił się i powędrował w błogim nastroju do Suuskoski.

- Dobry Boże, jak ja kocham konsultantkę - pomyślał.

Czerwona poświata zachodzącego słońca sprawiła, że młyn lśnił przepięknie. Huttunen miał wielką ochotę zawyc porządnie przez ramię, ot tak, z miłości i szczęścia. Potem przypomniał sobie, że Sanelma Kayramó nalegała, żeby poszedł na rozmowę do doktora Ervinena. Napompował więc powietrza do tylnego koła roweru i pojechał. Była prawie jedenasta, ale młynarzowi nie chciało się wcale spać.

10

Endnen mieszkał w starym, drewnianym domu naprzeciwko cmentarza, przy końcu długiej alejki brzozowej. Pod tym samym dachem mieścił się gabinet i gospodarstwo tego samotnego człowieka. Huttunen zastukał do drzwi. Otworzył mu doktor, blisko pięćdziesięcioletni mężczyzna, szczupły, lecz silnej budowy. Ponieważ był wieczór, Endnen miał na sobie szlafrok, a na nogach kapcie.

- Dzień dobry, doktorze. Przyszedłem po poradę - zwrócił się do lekarza Huttunen.

Ervinen poprowadził pacjenta do środka domu. Młynarz obejrzał pokój, w którym wisiały obrazy ze scenami z polowań. Na kominku umieszczono wypchane zwierzęce głowy, na ścianach i podłogach - skóry dzikich zwierząt. W pomieszczeniu pachniało tytoniem do fajki. Był to surowy pokój kawalera, służący za salon, bibliotekę i jadalnię jednocześnie. Wyglądało na to, że od dłuższego czasu nikt tu nie sprzątał, ale Huttunen uważał, że jest przyjemnie.

Młynarz pogładził skórę łosia rozciągniętą przed fotelem i zapytał, czy doktor sam zastrzelił te wszystkie zwierzęta, których szczątki wyeksponowano tak licznie.

- Większość zabiłem sam, osobiście, ale są tu też trofea, które odziedziczyłem po nieżyjącym ojcu. Na przykład ten ryś. O, tam! A tu, na brzegu kominka - kuna. Teraz już ich nie uświadczy, stały się bardzo rzadkie. Tu na Północy poluję na ptaki. I oczywiście na lisy. W czasie polowania z sekretarzem gminy powaliłem kilka łosi.

Ervinen się rozkręcił. Zaczął opowiadać, jak to podczas wojny we wschodniej Karelii razem z komendantem batalionu odstrzelił prawie trzydzieści łosi. Pełnił wtedy obowiązki lekarza tej jednostki i dlatego mógł się poruszać swobodniej. Łowił też ryby, a połów był zwykle obfity.

- Raz w Anattijoki złapaliśmy z majorem Kaarakką szesnaście łososi!

Huttunen zauważył, że on sam też złowił ostatniej jesieni całkiem zadowalającą ilość pstrągów i lipieni.

- Czy doktor wie, że jest ich dość dużo w potokach, zwłaszcza w górnym biegu?

Ervinen chodził podekscytowany po pokoju. Rzadko miał okazję rozmawiać o polowaniu i wędkowaniu z człowiekiem, który choć trochę się na tym zna. A wszystko wskazywało na to, że młynarz wiedział o tych sprawach dość dużo. Ervinen stwierdził, że to cholerna szkoda, że u ujścia Kemijoki zbudowano zaporę Isohaara, bo utrudnia ona przepływ łososi. A byłoby tak przyjemnie wyławiać je z Kemijoki i piec w płomieniach ogniska! Ale kraj potrzebuje prądu i gdy trzeba wybierać między mniejszym złem a większą korzyścią, oczywiście zwycięża to drugie.

Ervinen wyciągnął z narożnego kredensu dwa małe kieliszki na wysokich nóżkach, do których nalał przezroczystego płynu. Podniósłszy kieliszek do ust, Huttunen odgadł, że jest to spirytus. Mocna ciecz paliła długie gardło wysokiego mężczyzny, spływała powoli w głąb żołądka i tam lekko falowała. Huttunen poczuł od razu do doktora dużą sympatię i szacunek. Miał wrażenie, że są kolegami. A Ervinen opowiadał dalej o polowaniu na zające i o psach gończych. Potem zaprezentował młynarzowi swoją broń myśliwską, która zajmowała całą ścianę. Był tam ciężki karabinek myśliwski, elegancki sztucer Sako, wzorowany na japońskim

karabinie wojskowym, miniaturowy karabin, czyli salonka, i jeszcze dwie dubeltówki.

- Ja mam tylko jednolufową rosyjską broń na śrut - rzekł skromnie Huttunen. - Jesienią chciałem kupić sobie strzelbę. Zimą byłem już u naczelnika policji zapytać o pozwolenie, ale mi nie dał. Powiedział, że powinien też zabrać mi śrutówkę. O *co* mu może chodzić? Zresztą chętniej wybieram się na ryby.

Ervinen odwiesił broń na ścianę. Potem opróżnił kieliszek i zapytał oficjalnym tonem:

- Co młynarzowi dolega?

- No, ludzie mówią, że jestem trochę taki jakby wariat... No, sam pan wie.

Ervinen usiadł na bujanym fotelu wyłożonym skórą niedźwiedzią i popatrzył badawczo na Huttunena. Potem pokiwał głową i powiedział przyjaznym tonem:

- Coś w tym musi być. Jestem wprawdzie tylko zwykłym lekarzem internistą, ale pewnie nie pomylę się za bardzo w diagnozie, jeśli powiem, że Huttunen jest neurastenikiem.

Młynarz poczuł się głupio. Trudno mu było rozmawiać o tych sprawach. Owszem, wiedział i przyznawał, że nie jest całkiem normalny. Zawsze miał *tę* świadomość. Ale, do diabła, co to właściwie kogo obchodzi? Neurastenik... Równie dobrze może być i neurastenikiem. No i co z tego?

- Czy są na to jakieś tabletki? Gdyby doktor przepisał mi ich słoiczek, to ludzie ze wsi daliby mi spokój.

Ervinen pomyślał, że ma tu przed sobą wzruszający przypadek: zwyczajny człowiek, który cierpi od urodzenia na chorobę nerwową, lekką, ale mimo to wyraźnie widoczną. Czy można go uleczyć? W żaden sposób. Taki mężczyzna powinien się ożenić i zapomnieć o całej sprawie. Ale jak wariat znajdzie sobie żonę? A poza tym kobiety boją się takich drągali.

- Jako lekarz chciałbym zapytać, czy to prawda, że ma pan zwyczaj wycić nocą, zwłaszcza zimową porą?

- Zawyło się tej zimy co nieco - przyznał zawstydzony Huttunen.

- Co młynarza tak przymusza do skowytu? Czy nachodzi pana nieustępliwa myśl, że nic już nie pozostaje, tylko wycie?

Huttunen opuściłby najchętniej dom lekarza, ale ponieważ Ervinen zapytał ponownie, to musiał odpowiedzieć:

- To... zaczyna się automatycznie... Najpierw przychodzi taka potrzeba. Ciśnienie rozrywa mi głowę tak, że muszę wrzasnąć bardzo głośno. Właściwie nie muszę, ale jak zostaję sam, to czasami zawyję sobie. I za każdym razem mi lżej. Już kilka skowytów pomaga.

Ervinen poruszył temat naśladowania przez Huttunena zwierząt i ludzi. Z czego to się bierze? Co młynarz chce wyrazić takim zachowaniem?

- Czasami czuję się po prostu wspaniale. Mam ochotę się bawić, ale często kończy się to płaczem. Przeważnie jednak jestem ponury i nie udaję zwierząt za często.

- A jak się jest ponurym, to ma się ochotę wyc? - zapytał ostro Ervinen.

- Tak, pomaga to na ponury nastrój.

- Czy mówi pan często do siebie?

- Jak mi jest wesoło, to dość często mówię o tym i owym - przyznał Huttunen.

Ervinen podszedł do narożnego kredensu, wyciągnął stamtąd fiolkę i wręczył Huttunenowi. Wyjaśnił mu, że w środku znajdują się pigułki, które należy wziąć wtedy, gdy ma się naprawdę ponure myśli, ale trzeba uważać, żeby nie zażyć za dużo. Jedna pigułka dziennie wystarczy.

- Wyprodukowali ten lek jeszcze w czasie wojny. Teraz już jest wycofany. Niech pan go weźmie tylko wtedy, kiedy będzie pan bardzo potrzebował. Pomoże na pewno. A więc tylko wtedy, kiedy strasznie chce się panu wyc.

Huttunen włożył fiolkę do kieszeni i zaczął się zbierać do wyjścia. Ale Ervinen oświadczył, że nie idzie jeszcze spać, że owszem, gość może napić się z nim jeszcze raz. Nalał młynarzowi spirytusu do kieliszka i sobie też dolał.

Popijali w milczeniu. Potem doktor zaczął znowu opowiadać o polowaniu. Wspominał, jak to przed wojną, wczesną wiosną wybrał się na polowanie do Turtoli. Miał ze sobą dwa karelskie psy na niedźwiedzie. Udało mu się powalić kilka sztuk. W owych czasach niedźwiedzie miały swoje legowiska właśnie w Turtoli. Ervinen wykupił sobie od jednego z właścicieli majątku ziemskiego pozwolenie na polowanie. Razem z gospodarzem pojechali najpierw konno wzdłuż drogi, mijając sterty ściętego drewna. Konia zostawili kilometr przed celem, a resztę drogi przebyli na nartach ciągniętych przez psy.

- Aż trudno uwierzyć, jak człowiek się zapala, kiedy po raz pierwszy rusza śladami niedźwiedzia. To o wiele ciekawsze niż wojna.

- Nietrudno zrozumieć - powiedział Huttunen i łyknął spirytusu. Ervinen dolał trunku, zanim przystąpił do dalszej części opowiadania.

- Miałem wspaniałe psy. Jak tylko wyczuły zapach niedźwiedzia, to natychmiast ruszyły w tamtym kierunku. Śnieg tylko bryzgał na boki, kiedy wpadły do środka, o tak!

Ervinen rzucił się na podłogę i na czworakach zaczął naśladować psy, które płoszą śpiącego w barłogu niedźwiedzia.

- No i potem, ten cholerny niedźwiedź wypadł na zewnątrz, bo przecież musiał wyjść. Psy rzuciły się, złapały go za zadek. O, w ten sposób!

Lekarz, warcząc wściekle, wgryzł się zębami w skórę niedźwiedzia rozłożoną na

krześle, aż spadła na podłogę. Potrząsał nią tak mocno, że usta miał pełne sierści.

- Nie mogłem strzelać, bo bym trafił w psy!

Podniecony Ervinen wypluł sierść, napełnił alkoholem oba kieliszki i kontynuował przedstawienie. Raz udawał psy, a raz rozwścieczonego niedźwiedzia. Tak się wczuł w sytuację, że aż się spocił. W końcu udało mu się zastrzelić zwierzę. Odciął mu symbolicznie cały jeźor i rzucił psom na pożarcie. Zrobił przy tym tak gwałtowny ruch ręką, że ze stołu spadła popielniczka, czego zresztą myśliwy nie zauważył. Wbił nóż w gardło niedźwiedzia i upuścił królowi lasu krwi na zamarzła ziemię. Pochylił się nad padłą zwierzyną i zaczął pić gorącą krew zabitego drapieżnika, ale ponieważ nie było jej w rzeczywistości, więc w zamian wlał do gardła kieliszek spirytusu. W końcu podniósł się z podłogi, wyprostował i z poczerwieniałą twarzą usiadł na bujanym fotelu.

Pokaz ten zrobił na młynarzu tak wielkie wrażenie, że nie mógł usiedzieć spokojnie, tylko porwał się z fotela i zaczął naśladować żurawia.

- Zeszłego lata widziałem żurawia na bagnach w Posio. Człapał właśnie tak, o! A tak chwycił dziobem żaby! O, tak je wrzucał do gardła!

Huttunen pokazał, jak żuraw wyłapywał żaby z bagna, jak wrzucał je do środka długiej szyi, jak podnosił nogi i klekotał wysokim tonem.

Lekarz patrzył na młynarza w osłupieniu. Nie pojmował, co się stało pacjentowi. Czy naśmiewał się on jego kosztem, czy też jest na tyle szalony, że nagle zaczyna pokazywać żurawia, którego nawet nie zastrzelił? Jękliwe nawoływania ptaka w wykonaniu Huttunena drażniły lekarza. Doszedł do wniosku, że głupi młynarz stroi sobie z niego żarty na swój własny, nienormalny sposób. Wstał więc z fotela i surowo odezwał się do pacjenta:

- Skończ już z tym, dobry człowieku. Nie będę tolerował w swoim domu takiego cyrku.

Huttunen przerwał klekotanie. Ochłonął. Spokojnym głosem zaczął zapewniać lekarza, że w żadnym wypadku nie chciał go urazić. Pokazywał tylko, jak leśne zwierzęta zachowują się w swoim naturalnym środowisku.

- Przecież doktor sam udawał niedźwiedzia. Świetnie to panu wyszło!

Ervinen się obraził. Ależ on tylko po prostu ożywił wydarzenia, które rozegrały się podczas polowania na niedźwiedzia, i nie znaczy to, że trzeba go zaraz naśladować, złośliwie i nietaktownie. Nikt nie ma prawa wygłupiać się w jego domu.

- Proszę wyjść!

Huttunen się zdumiał. Czyżby doktor obraził się z tak błahego powodu? Dziwne, jak bardzo ludzie są nerwowi. Młynarz próbował przeproszać, ale Ervinen nie miał ochoty rozmawiać już na ten temat. Chłodno pokazał Gunnarowi drzwi, nie przyjął zapłaty za

lekarstwo i zabrał kieliszek ze spirytusem opróżniony do połowy.

Huttunen wypadł na podwórko. Szumiało mu w uszach, był przestraszony i zawstydzony. Biegł do ścieżki prowadzącej przez zagajnik brzozowy, nie pamiętając nawet, że zostawił rower. Lekarz wyszedł na werandę i patrzył, jak pacjent oddala się pędem w kierunku cmentarza.

- Diabli nadali! „Wariaci robią sobie ze mnie żarty. Ten człowiek nie ma pojęcia o polowaniu. Głupek zawsze będzie głupkiem.

II

Huttunen przystanął pod cmentarzem. Był przygnębiony, bolał go brzuch. W żołądku czuł spirytus Ervinena, a w głowie jego gniew. Dlaczego doktor się tak rozzłościł? Najpierw go upił, a potem się obraził. Dziwny człowiek - pomyślał Huttunen.

Miał ochotę zawyć i wyrzucić z siebie ból, ale brakowało mu odwagi.

Nagle przypomniał sobie lek, który dostał od Eranena. Wyciągnął z kieszeni fiolkę, odkorkował ją i wysypał garść drobnych, żółtych pigułek. Ile miał ich wziąć? Czy tak niewielkie kuleczki podziałają jak trzeba?

Wrzucił pół garści lekarstwa do ust, pogryzł i od razu połknął.

- Uch, niech to diabli!

Pigułki doktora były tak gorzkie, że młynarz musiał pobiec do cmentarnej studni i napompować wody, żeby je popić. Oparł się o kamienny nagrobek jakiegoś Raasakkiego, który w swoim czasie wyzionął ducha. Czekał, aż lek zacznie działać.

Wkrótce głowa młynarza stała się ciężka. Mocne lekarstwo na nerwy rozpuściło się we krwi, która żwawo krążyła pod wpływem wypitego spirytusu. Huttunen poczuł, że mu niedobrze. Serce łomotało szybko i boleśnie. W głowie rozpętała się prawdziwa burza ponurych myśli. Czoło miał rozpalone, język suchy. Chciał zabrać się natychmiast do jakiejś roboty. Dokoła widział niedokończone pomniki nagrobne. Były to tanie, niestarannie oszlifowane głazy, w dodatku rozmieszczone byle jak, na chybił trafił. Dobrze by było je poprzesuwać i uporządkować. Stare drzewa na cmentarzu też rosły, gdzie popadnie. Najlepiej byłoby je wyciąć i posadzić nowe, już w odpowiednich miejscach. Stary kościółek z pomalowanymi na czerwono ścianami rozbawił Huttunena, a nowy, żółty kościół z bali wywołał salwę śmiechu.

Po chwili młynarz śmiał się na całe gardło, śmiał się ze wszystkiego, co go otaczało: z nagrobków, drzew, kościołów, a nawet z ogrodzenia cmentarnego.

Rozsadzający Huttunena wewnętrzny przymus zrobienia czegokolwiek spowodował, że opuścił on cmentarz. Przypomniał sobie, że zostawił u Ervinena rower oparty o ścianę.

Pobiegł więc w tamtą stronę. Biegł tak szybko, że aż łzy napłynęły mu do oczu, a czapka spadła z głowy. Zatrzymał się dopiero na wyźwirowanym podwórku, pozostawiając w ziemi głębokie ślady, a potem skręcił za dom po rower, który oczywiście stał na swoim miejscu!

Ervinen siedział przy kominku i delektował się spirytusem. Rozmyślał nad przypadkiem młynarza. Trochę żałował, że stracił panowanie nad sobą z powodu takiego prostego człowieka z ludu. A może Huttunen chciał dobrze, kiedy tak się wygłupiał? Może biedaczek ma naprawdę niesmaczne, wręcz idiotyczne poczucie humoru, objawiające się w sposób niemożliwy do zniesienia? Lekarz nie powinien się nigdy unosić wobec pacjenta. Jakże łatwe jest życie weterynarza! W podobnym wypadku może on po prostu postawić diagnozę, że zwierzę jest wściekłe albo otępiałe, i nakazać je uśpić. A to kończy sprawę. Gospodarz zabije ową krowę albo konia, co znaczy, że weterynarz nigdy nie będzie miał już żadnych problemów z tym przedstawicielem świata fauny.

Osoviały Ervinen przymknął na chwilę oczy, ale otworzył je natychmiast z przestachu, bo przez ścianę doszedł go głuchy hałas. Od razu rozpoznał głos Huttunena. Pochwyił strzelbę wiszącą na ścianie, zawiązał pasek szlafroka i wypadł na dwór, aż o mało nie spadły mu kaptcie z nóg.

Zza domu nadchodził, chwiejąc się, Huttunen i trzymał pod pachą rower. Młynarz był zupełnie wytrącony z równowagi: oczy miał nieruchome, z ust toczył pianę. Szedł sztywno, z trudem trzymając się na nogach.

- Wziąłeś lekarstwo, głupcze? - krzyknął Ervinen do Huttunena, który wcale go nie widział ani nie słyszał. - Idź spać natychmiast, diabelski pomocie!

Młynarz odepchnął od siebie uzbrojonego lekarza. Wsiadł na rower. Ervinen uchwycił się obiema rękami tylnej ramy, strzelba upadła na zigmie. Huttunen rozpędzał się już, więc niewiele ważący lekarz nie mógł go zatrzymać. Biegł za rowerem jeszcze kilkadziesiąt metrów, ale kiedy pogubił kaptcie, musiał zrezygnować z pościgu, bo na bosaka nie da się przecież dogonić silnego rowerzysty, zwłaszcza na pokrytym żwirem podwórku. Ervinen usłyszał jeszcze wrzask młynarza w brzozywym zagajniku. Nie zrozumiał jednak, o co mu chodziło.

Huttunen jechał przez wieś, pedałując z całej siły, krzyczał i robił wiele hałasu. Zaglądał prawie do wszystkich domów po kolei, budził mieszkańców, witał się z nimi, próbował wdawać się w rozmowę, śpiewał, wył, trząsał drzwiami, kopał w ściany. Szalejącego młynarza słyszeć było w całej wsi. Psy szczekały jak oszalałe, kobiety wzdychały, a pastor żegnał się raz po raz.

Zadzwoniono do naczelnika policji Jaatili, by ktoś przyjechał z urzędu i uspokoił młynarza. Właśnie kiedy Jaatila rozmawiał przez telefon w tej sprawie, na jego podwórze

zajechał Huttunen. Wbiegł po schodach i kopnął w drzwi. Naczelnik wyszedł powitać gościa.

Młynarz poprosił o wodę, bo nadal miał sucho w ustach. Ale Jaatila nie zamierzał wcale podawać mu wody, tylko wszedł do izby po służbową pałkę i przeciągnął nią mocno młynarza, aż nieborak zatoczył się przez podwórze, przewracając oczami. Huttunen pojechał dalej, trzymając się za głowę.

Naczelnik zadzwonił do policjanta Portimo, który już wiedział, co się dzieje:

- Telefon dzwoni bez przerwy od pół godziny. Mówią, że Huttunen ma znowu atak.

- Zakuj go w kajdanki i odstaw do aresztu. To bezprawie trwa już w naszej gminie za długo.

Portimo wciągnął na nogi gumowce, załadował pistolet, wziął kajdanki, kawałek sznura i wyruszył na poszukiwanie Huttunena. Bał się, że młynarzowi całkiem pomieszało się w głowie. Urzędowe obowiązki wydawały się niekiedy starszemu i jedynemu we wsi policjantowi nieprzyjemne i zbyt wyczerpujące.

- Modłę się do Ciebie, dobry Boże, żeby Huttunen się uspokoił. Tak by było lepiej dla nas wszystkich - pomyślał Portimo w głębi duszy.

Dowiedział się z łatwością, gdzie znajduje się poszukiwany. Letnią nocą dźwięki roznosiły się na wszystkie strony. Z domu Siponena dobiegały straszne hałasy. Nietrudno się było domyślić, że młynarz pojechał właśnie tam. Policjant podejrzewał, że Huttunen nie spotkał się ze zbyt miłym przyjęciem.

Na podwórku Siponena zgromadziła się wokół Gunnara grupa wpływowych mieszkańców wsi: kupiec Tervola, nauczyciel Tanhumaki, pastor i jego żona, kilka mniej ważnych osób, sam gospodarz Siponen i jego parobek Launola. Pies Siponenów plątał się między nogami, próbując od czasu do czasu chwycić Huttunena zębami za tyłek, no bo przecież był szkolony do polowań na niedźwiedzie. Instruktorza kółka rolniczego Sanelma Kayramó patrzyła z przerażeniem na rozgrywającą się na podwórku scenę, modliła się i płakała. Tymczasem samotna, opuszczona Siponenowa leżała w pustej izbie, ale chociaż była sparaliżowana, to nie przepuściła takiej okazji. Wyskoczyła z łóżka ogarnięta ciekawością i urazą. Nie zważając na śmiertelną chorobę, dopadła do okna i przyglądała się, jak ludzie pacyfikują zwariowanego młynarza z Suuskoski.

Mieszkańcy wsi uderzeniami i kopniakami doprowadzili rozbuchany umysł Huttunena do równowagi, a kiedy policjant Portimo przybył na miejsce, wyrwali mu pałkę i tak oćwiczyli młynarza, że aż się skręcał z bólu. Ostatkiem sił Huttunen chwycił jeszcze Launole za kark, zacisnął mu ręce na szyi tak mocno, że pełen bóleści krzyk parobka zagłuszył całą wrzawę.

Zmęczony ogromnym wysiłkiem i przygnieciony przeważającą siłą przeciwników

młynarz musiał się poddać. Portimo zatrzasnął mu kajdanki na przegubach, a nauczyciel i kupiec zawlekli więźnia do wozu, posadzili przy kole i solidnie przywiązali nieboraka sznurem. Pastor usiadł na Huttunenie i nie ruszał się, dopóki nie zaprzężono konia do wozu. Młynarz ugryzł duchownego w tyłek, ale nie zrobił mu krzywdy, przynajmniej w zakresie interesującym jego żonę. Siponen wsiadł na wóz, cmoknął na konia, i tak konwój transportował Huttunena do aresztu.

Przy cmentarzu pojazd został zatrzymany przez biegnącego Ervinena. 'Doktor, trzymając strzelbę w ręce, krzyczał:

- Stop! Muszę zbadać ten przypadek!

Zajrzał w oczy młynarza, który siedział przywiązany do wozu, i od razu postawił diagnozę:

- Najprawdziwszy wariat.

Huttunen gapił się na Ervinena nieprzytomnymi oczami i nie poznawał go. Nie krzyczał już. Lekarz wyjął szybko z kieszeni młynarza fiolkę z lekarstwem, schował ją i otarł pianę z ust szaleńca. W końcu zarządził:

- Potrzymajcie go związanego w areszcie. Rano przygotuję dokumenty do szpitala w Oulu.

Zacięto konia i wóz skręcił w kierunku miejscowego posterunku policji. Ervinen zauważył, że policjant Portimo wyciera czoło zatrzymanego własną chusteczką do nosa.

W domu doktor wytrząsnął piasek z kapci i powiesił strzelbę z powrotem na ścianie. Fiolkę z lekarstwem odebraną Huttunenowi włożył do szafki. Kiedy zobaczył, ile pigułek w niej zostało, potrząsnął ze smutkiem głową. Pociągnął z butelki łyk spirytusu, co traktował jako lekarstwo, i położył się w kapciach do łóżka.

Siponcnowa zrobiła kawy kupcowi, nauczycielowi i pastorowi, który gładził zadziornego psa na niedźwiedzie, należącego do gospodarza. Nagle przypomniała sobie, że jej stan jest nieuleczalny, więc uderzyła się ceremonialnie w piersi i padła na podłogę, skąd przeniesiono ją - niewątpliwie sparaliżowaną - do alkowy. Leżąc już w łóżku, skarżyła się na chorobę, przez którą nie będzie się mogła podnieść do końca życia.

Sand ma Kayramó nie spała całą noc. Płakała w poduszkę nad Gunnarem, którego odebrano jej w wyniku niezrozumiałego zbiegu okoliczności. Ból samotnej kobiety rozpaczającej w pustym pokoju przeradzał się w miłość i wielką tęsknotę.

Huttunen zasnął w areszcie. Obudził się dopiero następnego ranka w samochodzie. Zorientował się, że jest związany i siedzi na tylnym fotelu. Obok siebie zobaczył policjanta Portimę, który ciepło, niemal przepraszającym tonem rzekł:

- Jesteśmy już w Simo, Kunnari.

12

Szpital psychiatryczny mieścił się w dużym, posępnym budynku z czerwonej cegły. Przypominał bardziej koszary albo więzienie. Policjant Portimo popatrzył i orzekł:

- Paskudne miejsce... Ale nie bądź na mnie zły, Gunnarze. Jestem niewinny, przywiozłem cię tu służbowo. Gdybym miał taką władzę, to bym cię uwolnił.

Huttunena wpisano do rejestru jako pacjenta. Dano mu szpitalne ubranie: zniszczoną piżamę, kaptcie i czapkę. Spodnie od piżamy były za krótkie, podobnie rękawy koszuli. Paska nie dostał. Odebrano mu pieniądze i wszystko, co miał przy sobie.

Zaprowadzono go przez hałaśliwe korytarze do dużej sali, w której znajdowało się już sześciu pacjentów. Wskazano łóżko i powiedziano, że odtąd może chorować spokojnie. Drzwi na korytarz zatrzasnęły się z hukiem, ciężki klucz obrócił się w zamku. Młynarz stracił kontakt ze światem zewnętrznym. Zrozumiał, że zamknięto go w szpitalu psychiatrycznym na zawsze.

Sala była zimna i ponura. Na jej umeblowanie składało się siedem żeliwnych łóżek i stół przytwierdzony śrubami do betonu. Z jednej strony wysoko znajdowało się okratowane okno, przez które widać było ściany budynku, grube chyba na metr. Na ich powierzchni widniały tu i tam pęknięcia zabiłone wapnem. Pośrodku sufitu wisiała silnie świecąca żarówka bez klosza.

Pacjenci leżeli lub siedzieli na łóżkach. I chociaż przybyła nowa osoba, nikt nawet nie odwrócił się w jej kierunku. Obok Huttunena zajmował miejsce stary, trzęsący się mężczyzna. Siedział na krawędzi łóżka z zamkniętymi oczami, mrucząc jakieś niezrozumiałe słowa. Następne łóżko należało do młodszego, łysiego pacjenta, wpatrującego się nieruchomo w kąt. Trzeci z obecnych w sali był najmłodszy i miał wygląd płacznego nedorajdy. Wyraz jego twarzy zmieniał się bez przerwy: z wesołego na smutny, wręcz bolesny. Niekiedy pacjent marszczył czoło, ale już po chwili rozciągał drżące wargi w nieświadomym i głupawym uśmiechu.

Pod drzwiami stało w odosobnieniu łóżko, na którym polegiwał tęgi mężczyzna, wyglądający pod każdym względem na zdrowego. W ręce trzymał książkę i czytał.

W końcu sali siedziało dwóch ponurych mężczyzn. Wyraźnie dobrze się bawili, obserwując się nawzajem. Mierzyli się bez przerwy groźnym wzrokiem, ale nie odzywali się wcale.

Ogólnie rzecz biorąc, wszyscy znajdujący się w sali byli smutni i apatyczni. Huttunen próbował zaprzyjaźnić się z tymi ludźmi ciężko chorymi psychicznie. Uśmiechnął się, powiedział dzień dobry i zwrócił się do sąsiada:

- No i jak tam leci?

Chory nie zareagował. Jedyne mężczyzna przy drzwiach czytający książkę przywitał się z młynarzem. Huttunen był ciekaw panujących tu zwyczajów. Wypytywał, kto skąd pochodzi, ale wszystko na próżno. Zamknięci w sobie pacjenci nie przejawiali żadnej ochoty na nawiązanie znajomości. Huttunen westchnął zrezygnowany i położył się na łóżku.

Pod wieczór do sali wszedł rudawy pielęgniarz. Zawinał rękawy, jakby się przygotowywał do wymiany ciosów, i zapytał Huttunena:

- To ciebie przywieziono dziś rano?

Huttunen przytaknął. Wyraził też zdziwienie, że inni pacjenci nie chcą z nim rozmawiać.

- Ci tutaj są ponurzy i spokojni. Zazwyczaj na początek umieszczamy nowych w tej sali. Tak jest lepiej. Z niespokojnymi mamy ciągle różne starcia.

Pielęgniarz wyjaśnił Huttunenowi, czego oczekuje się od niego w szpitalu.

- Masz się zachowywać jak człowiek i nie rozrabiać. Jedzenie będziesz dostawał dwa razy dziennie. Raz w tygodniu jest sauna. Sikać możesz wtedy, kiedy chcesz. W tamtej salce jest sedes. Jak ci się zachce kupę, to musisz to zgłosić. W poniedziałki przychodzi lekarz.

Pielęgniarz wyszedł, zamknął za sobą drzwi na klucz. Huttunen przypomniał sobie, że jest czwartek, a z lekarzem spotka się dopiero w poniedziałek. To znaczy, że czasu ma sporo. Położył się na łóżku i starał się zasnąć. Pigułki Ervinena działały jeszcze, więc udało mu się zapasnąć w sen, ale później się obudził i nie chciało mu się już spać.

Wieczorem pielęgniarz przyszedł zapędzić chorych do łóżek. Posłuchali bez sprzeciwu. Wkrótce zgasła też jaskrawa żarówka pod sufitem, którą wyłączono przyciskiem znajdującym się na korytarzu.

Młynarz nasłuchiwał odgłosów wydawanych przez śpiących. Dwóch, może trzech chrapało. Powietrze w sali było ciężkie, któryś w rogu puszczał bąki od czasu do czasu. Huttunen miał ochotę obudzić smrodzącego, ale przypomniał sobie, że właśnie w kącie śpią najbardziej przygnębieni pacjenci.

- A niech sobie pierdzą, biedaczyska!

Huttunenowi przyszło do głowy, że w takim miejscu każdy może rzeczywiście zwariować, jeśli się szybko nie wydostanie na wolność. Przebywanie w ciemnym pokoju pośród umysłowo chorych było czymś okropnym. Jaką korzyść mógł mu przynieść pobyt tutaj? Czy takie więzienie uleczyło kogokolwiek? Wszystkie drzwi dokładnie zamknięte, przepisy surowe. Człowiek nie decyduje nawet o najmniejszych swoich potrzebach. Odprowadzają go do ubikacji. Pielęgniarz patrzy przez głowę, czy pacjent nie brudzi. To jest ponizające.

Przez pierwsze noce Huttunen nie spał wcale. Pocił się, przewracał z boku na bok, wzdychał. Miał ochotę wyć, ale się powstrzymywał.

W dzień czas płynął szybciej. Huttunenowi udało się już nawet usłyszeć kilka słów skierowanych do niego przez innych pacjentów. Młody człowiek o wyglądzie niedorajdy, ten który robił różne miny, podszedł do młynarza, żeby mu coś opowiedzieć. Biedak mówił jednak tak nieskładnie, że Huttunen niczego nie zrozumiał, ale słuchał go i potakiwał:

- Tak, tak. To prawda.

W jadalni panował hałas i bałagan. Mimo to posiłki stanowiły odmianę w monotonii dnia. Niektórzy pacjenci jedli palcami, wylewali sobie owsiankę na głowy, przewracali talerze i pokrzykiwali bez sensu, chociaż było to wyraźnie zabronione.

Podłogę w ich sali zmywała codziennie skwaszona kobieta, która swoim zwyczajem stale wrzeszczała na wszystkich pacjentów. Narzekała na chorych, że są leniwi, nie nadają się do niczego i że brudzą. Do Huttunena powiedziała ze złością:

- Taki wielki mężczyzna, a udaje wariata!

Czasami do sali wchodził pielęgniarz, który podawał pacjentom lekarstwa. Przydzielał tabletki i pilnował, żeby je połykano w jego obecności. Jeśli któryś z chorych nie zrobił tego od razu, pielęgniarz zawijał rękawy, otwierał mu usta siłą i wciskał lekarstwo do gardła. Trzeba więc było zjadać pastylki, czy się chciało, czy nie. Kiedy Huttunen zapytał, dlaczego nie dostaje lekarstw, salowy wycedził ze złością:

- Lekarz przepisze ci je w poniedziałek. Zachowuj się jak człowiek, żeby nie musiał zamknąć cię z niespokojnymi.

Huttunen zapytał, jak to jest u niespokojnych.

- Niespokojnie i już. O, właśnie tak!

Salowy przystawił owłosioną pięść do nosa Huttunena, który odsunął twarz na bezpieczną odległość. Młynarz zniechęcił tego tępego i brutalnego osiłka, poszturchującego i popychającego tych pacjentów, którzy zaraz po wydaniu komendy nie wskakiwali do łóżek. Huttunen postanowił, że jak już pomówi w poniedziałek z lekarzem i wydobędzie się z tego zakładu, to zamiecie podłogę szpitalnego korytarza tą obrzydliwą glistą. A do tego czasu zachowa spokój.

W poniedziałek młynarz został wysłany do gabinetu na rozmowę z lekarzem - obleśnym, z zapuszczoną brodą, który miał zwyczaj ściągać co chwila okulary z nosa i natychmiast zakładać je z powrotem. Od czasu do czasu wyjmował z kieszeni brudną chusteczkę, czyścił starannie szkła, dmuchał na nie i długo je wycierał. Huttunen ocenił, że doktor to człowiek zaniedbany, a przy tym nerwowy i nieprzyjemnie opryskliwy.

Młynarz zapytał go, kiedy wyjdzie z zakładu. Lekarz przejrzał leżące przed nim dokumenty i powiedział ostrym tonem:

- Przecież dopiero co pana przywieźli. Stąd tak od razu się nie wychodzi.

- No, ale właściwie ja nie jestem wariatem - próbował wyjaśniać Huttunen głosem człowieka jak najbardziej zdrowego.

- Oczywiście, że nie. A któż tu nim jest? Ja jestem tutaj jedynym upośledzonym na umyśle - wszyscy to wiedzą!

Huttunen wyjaśnił, że pracuje jako młynarz i że go pilnie potrzeba w Suuskoski. Teraz w lecie musi naprawić młyn, żeby jesienią był już na chodzie.

Lekarz zapytał, dlaczego młyn musi być sprawny właśnie na jesieni.

- Bo widzi pan, w Finlandii żniwa są właśnie wtedy. Gospodarze przywożą ziarno do zmielenia jesienią.

Lekarza rozbawiła odpowiedź Huttunena. Zdjął z nosa okulary, zaczął je czyścić, chrząkał, jakby ze zrozumieniem. Założywszy okulary ponownie, powiedział niemal gburowato:

- Może się umówimy, że - jak na razie - to, co było do zmielenia, zostało zmielone.

Doktor zapytał młynarza, czy brał udział w wojnie. Kiedy dostał twierdzącą odpowiedź, w jego oczach ukazał się ironiczny błysk. Spytał, na którym froncie walczył Huttunen. Ten odpowiedział, że podczas wojny zimowej był na Przesmyku Karelskim, a podczas wojny kontynuacyjnej - we Wschodniej Karelii.

- Na pierwszej linii?

- Tak... Takich jak ja wystawia się zawsze na pierwszą linię.

- Ciężko było?

- Od czasu do czasu.

Lekarz zapisał coś w swoim notesie. Mruczał pod nosem, częściowo jakby do siebie.

- Psychoza wywołana wojną... Tak też mi się wydawało. Huttunen próbował protestować. Twierdził, że w czasie wojny nie miał żadnych kłopotów z nerwami, a i teraz nie ma o czym mówić. Lekarz machnął tylko ręką i kazał mu odejść. Kiedy Huttunen zbierał się do wyjścia, doktor podniósł wzrok znad dokumentów i oznajmił:

- Przypadki wojennej psychozy są poważne. Zwłaszcza gdy objawiają się po kilku latach od zakończenia walk. No tak, choroba ta wymaga dłuższego leczenia. Niech się pan nie martwi, bez obaw, jeszcze zrobimy z pana człowieka.

Pielęgniarki zaprowadzili Huttunena z powrotem na oddział. Trzasnęli drzwiami, aż zadrżały.

Huttunen siedział zmęczony na łóżku. Pomyślał, że drogi jego życia prowadzą ostatecznie w ślepy zaułek: jest uwięziony w całkiem obcym miejscu, zależny od kaprysów głupiego lekarza, skazany na przygnębiające towarzystwo ponurych pacjentów. A może zostanie tu na całe miesiące? Może przyjdzie mu umrzeć za kamiennymi murami? Może jedyną jego rozrywką będzie odtąd wrzask sprzątaczkii drącej mordę i gest kretyńskiego pielęgniarza wygrażającego mu pięścią przed nosem? Dzień będzie się kończył wizytą w ubikacji pod strażą albo jedzeniem nadającym się tylko dla świń. Ciężko wzdychając, Huttunen położył się i przymknął oczy. Ale nie mógł zasnąć. Czuł ucisk w głowie i chciało mu się wyc, lecz nie miał odwagi zrobić tego przy innych.

Po chwili się wzdrygnął, bo od drzwi do jego łóżka podszedł jeden z pacjentów.

- Psst... Zachowuj się, jakbyś niczego nie słyszał. Huttunen otworzył oczy i spojrzał pytająco na intruza.

- Nie jestem wariatem, ale ci faceci tego nie wiedzą. Chodźmy pod okno, pogadać. Najpierw ty. Ja przyjdę za chwilę.

Huttunen podszedł do parapetu. Wkrótce pojawił się przy nim tajemniczy kompan. Wyjrzał przez okno. Wydawało się, że mówi do siebie:

- Jak już przed chwilą powiedziałem, tak po prawdzie, to nie jestem wariatem. Nie wierzę też, że ty jesteś chociażby trochę stuknięty.

Mężczyzna liczył około czterdziestki. Był postawny, twarz miał szeroką, a jego głos brzmiał przyjaźnie i spokojnie:

- Nazywam się Happola. Nie podawajmy sobie rąk ani nie witajmy się, żeby ci wariaci się nie zorientowali.

Huttunen wyjaśnił, że jeszcze kilka dni temu był całkiem zwyczajnym młynarzem. Opowiedział też, że próbował przekonać lekarza szpitalnego, że musi wrócić do swojego młyna, ale on nie zgodził się go wypuścić.

- Pracuję w nieruchomościach - mówił dalej Happola. Wojna pomieszała mi szyki, bo musiałem tutaj zostać. Dość trudno jest mi kierować stąd bieżącymi sprawami. Gdybym wyszedł na wolność, to wszystko potoczyłoby się inaczej. No, ale jak tylko upłynie dziesięć lat mojego pobytu w tym zakładzie, to skończę z wariactwem. Mam dom w Heinapaa, może założę jakiś sklep albo warsztat.

Mężczyzna wyjaśnił, że teraz wynajmuje posiadłość, a pieniądze płyną na rachunek w banku. On sam, będąc w szpitalu, nie musi ponosić żadnych kosztów utrzymania.

Wyznał, że wybudował duży dom na wynajem w Heinapaa w Oulu już w roku 1938. Od razu też podnajął go pięciu rodzinom. Potem wybuchła wojna i musiał iść na front. Przez całą

wojnę zimową jeździł na nartach po Suomussalmi.

- Były to niebezpieczne czasy. Wielu towarzyszy poległo. Postanowiłem wtedy, że jak tylko ta wojna się skończy, to nigdy już nie pójde na front.

Podczas pokoju tymczasowego Happola wynajął dom nowym lokatorom, którzy zastąpili poprzednich, zabitych na wojnie. Interes szedł dobrze i Happola planował nawet, że się ożeni. Wczesną wiosną roku 1941 pojawili się w Oulu niemieccy żołnierze i im bardziej robiło się ciepło, tym bardziej zanosilo się w świecie na wojnę. Happola zaczął się zastanawiać, jak by tu uniknąć poboru do wojska, kiedy zacznie się nowa zawierucha.

- Kulałem i skarżyłem się na znaczne osłabienie wzroku. Ale lekarz nie chciał dać mi zaświadczenia, że jestem chory. Ktoś mu doniósł, że udaję, no bo nie zawsze pamiętałem, że mam kuleć i mrużyć oczy.

Happoli nie przeniesiono do rezerwy. Sytuacja była jednak niepokojąca. Powiew wojny drażnił delikatny nos właściciela nieruchomości.

- No więc wymyśliłem, że będę udawał wariata. Najpierw ludzie się śmiali, szturchali mnie dla żartu. Ale ja się nie poddawałem. Postanowiłem, że na wojnę nie pójde. Ciężko było. Nie każdy umie udawać szalonego. Trzeba być rozsądnym i konsekwentnym, żeby inni uwierzyli.

Zaintrygowany Huttunen zapytał:

- Jak udawałeś wariata? Zacząłeś wyć?

- Nie, przecież wariaci nie wyją... Zacząłem mówić od rzeczy. Chciałem, żeby ludzie myśleli, że opętała mnie mania prześladowcza. Oskarżałem sąsiadów, że grożą mi spalaniem domu. Twierdziłem, że chciano mnie żywcem zagazować w garażu. Kiedy lekarze proponowali mi pigułki, to oznajmiłem, że chcą mnie otruć. Napisałem o tym nawet do gazet. I wtedy dopiero się zaczęło. Donosiłem na innych. Poszedłem na policję i powiedziałem, że dyrektor banku chciał mnie doprowadzić do bankructwa. Więcej nie trzeba było. Przywieziono mnie tu w takim tempie, że ani się nie obejrzałem. Była to już ostatnia chwila, bo tydzień później Hitler zaatakował Rosję, a kilka dni potem my, Finowie, pomaszerowaliśmy w tym samym kierunku. No, ale ja nie zasypiałem gruszek w popiele!

W szpitalu dla umysłowo chorych Happola spędził całą wojnę. Zaczęto nawet uważać go za beznadziejny przypadek. W tym czasie utył sześć kilo.

- Z jednej strony dobrze mi tu było, lecz dłużyło mi się okropnie pod jednym dachem z tymi wszystkimi wariatami.

Kiedy Finlandia wyszła z wojny i zawarła rozejm, Happola zaczął przejawiać pierwsze oznaki zdrowienia. Jednak wkrótce rozpoczęła się wojna lapońska, więc objawy choroby

umysłowej ujawniły się znowu. Dopiero kiedy Niemcy się poddały, Happoli wróciło zdrowie psychiczne na dobre. Poprosił, żeby skierowano go do służby cywilnej, jak i innych mężczyzn.

- Cholera! Nie zgodzili się! Lekarze poklepywali mnie tylko po plecach i radzili mi się po prostu uspokoić.

Happola przepisał dom na siostrę, bo bał się, że państwo zabierze mu majątek - jako osobie wymagającej opieki. Czuł się rozgoryczony. Przecież zawsze był zdrowym na umyśle mieszkańcem Oulu, a teraz nikt nie chciał w to wierzyć.

- Czemu nie uciekniesz? - zapytał Huttunen.

- A gdzie miałbym uciec? Jak się pracuje w nieruchomościach, to nie można się ukrywać. Muszę mieszkać w Oulu, bo tu mam dom. Ale niech tylko minie dziesięć lat od zakończenia pokoju tymczasowego, to zobaczymy. Wtedy wybiorę się natychmiast do ordynatora na rozmowę i odkryję całą prawdę.

- Dlaczego nie pójdziesz od razu i nie opowiesz, że przez cały czas udawałeś chorego psychicznie?

- Myślałem dużo o tym przez ostatnie lata. Nie mogę tego zrobić. Owszem, z tego zakładu bym wyszedł, tylko co mi po tym, jak by mnie od razu zamknęli w więzieniu? Symulowanie choroby jest przestępstwem wojennym i przedawnia się dopiero po dziesięciu latach.

Huttunen przyznał, że rzeczywiście lepiej poczekać, aż wariacka zbrodnia zdąży się przedawnić. Głupio by było trafić ze szpitala psychiatrycznego prosto do więzienia.

- Jak prowadzisz stąd interesy? Przecież okna są okratowane, a drzwi zamknięte na klucz.

- Mam swoje klucze. Kupiłem je kilka lat temu od jednego pielęgniara. Korzystam z nich głównie w nocy, ale pewne sprawy trudno załatwić o tej porze. Rzadko udaje mi się wyskoczyć na miasto za dnia, tak żeby nikt nie zauważył. Parę razy do roku muszę jednak to zrobić, by zebrać czynsz. Nocą załatwiam tylko sprawy bieżące. Niełatwo zajmować się nieruchomością, zwłaszcza jak mają cię za wariata.

- Nie przejmuj się. Mnie też uważają za wariata - pocieszał go Huttunen.

- No, tobie to trochę odbija. Ja musiałem udawać czubka prawie dziesięć lat. Jeszcze do tego pięć lat na wojnie i tutaj dwa razy tyle. Ciężko mi było przez cały czas.

Happola użalał się chwilę nad sobą, ale zaraz przyznał, że są też jasne strony tej sytuacji:

- Oczywiście nzbierało mi się pieniędzy w banku. Tutaj mam przecież bezpłatne utrzymanie. Jak stąd wyjdę, będę dość zamożnym człowiekiem.

Happola niepostrzeżenie poczęstował Huttunena papierosem. Powiedział, że przywiózł papierosy z miasta i że kiedy czas bardzo mu się dłuży, wypija butelkę wódki tutaj, w sali szpitalnej, pod osłoną kołdry.

- Kobiet nie warto ściągać, bo zaraz się wyda. Zresztą tutejsze baby są na tyle zwariowane, że boję się nawet do nich odezwać.

Happola kazał Huttunenowi przysiąc, że nikomu nie zdradzi jego tajemnicy. Młynarz go zapytał, czy się nie boi, że lokatorzy wynajmujący od niego mieszkania doniosą, że zbiera czynsze.

- Nie opłacałoby im się lecieć z językiem. Jak tylko coś pisną, to wyrzucę ich od razu na bruk. Na szczęście w Oulu bardzo brakuje mieszkań, więc nie puszczą pary z ust, bo ich na to nie stać. Czynsz musi być zapłacony. Nieważne, czy gospodarz jest wariatem czy nie.

Obaj palili w milczeniu. Huttunen rozmyślał nad losem Happoli. Wyglądało na to, że z zakładu nie było wyjścia, niezależnie od tego, czy pacjent przybył dobrowolnie czy też został sprowadzony siłą.

Obchodzony w środku lata tradycyjny *Juhannus*, w szpitalu psychiatrycznym nawet w najmniejszym stopniu nie przypominał święta światła i radości. Owszem, w sali niespokojnych nikt nie spał przez całą noc. Dochodziły stamtąd krzyki i stukoty, ale nie były to odgłosy zabawy, tylko zwykłych sytuacji, które zdarzały się tam zawsze. Happola powiedział, że w szpitalu nie obchodzi się żadnych świąt. Jedynie w Boże Narodzenie kierownictwo zakładu okazywało trochę ludzkiego ciepła i nawet do zamkniętych oddziałów wpuszczano wtedy małą grupkę zielonoświątkowców, którzy intonowali smutne psalmy. Atmosfera - jak twierdził Happola - była zawsze ponura, bo chórzyci bali się potwornie pacjentów z zamkniętych oddziałów, więc starali się odśpiewać pieśni jak najszybciej i dla pewności z groźbą w głosie.

- No, ale przecież nie jesteśmy tu po to, by świętować - stwierdził Happola z sarkazmem.

W pierwszych dniach po święcie *Juhannus* wezwano Huttunena do kancelarii szpitala na rozmowę z lekarzem. Odprowadzili go dwaj pielęgniarze.

Doktor zapoznał się dokładnie z dokumentami młynarza i swoim zwyczajem przecierał energicznie okulary. Poprosił pacjenta o zajęcie miejsca naprzeciwko, a pielęgniarzom rzucił:

- Zaczekajcie na wszelki wypadek przy drzwiach. Następnie powiedział Huttunenowi, że przeczytał historię jego choroby i skierowanie, które mu wypisał gminny lekarz Ervinen.

- Nie wygląda to dobrze. Jak już stwierdziliśmy ostatnio, dręczy pana z pewnością ostra psychoza wojenna. Wczase wojny byłem majorem zatrudnionym w służbie medycznej. Znam takie przypadki.

Huttunen wyraził sprzeciw. Oświadczył, że nic mu nie dolega i że żąda, by go wypuszczono ze szpitala. Lekarz nie zadał sobie trudu, żeby to skomentować, tylko wertował *Magazyn Medycyny Wojskowej*. Huttunen zobaczył, że czasopismo było wydane w roku 1941. Doktor pokazał mu artykuł pt. „Psychozy i neurozy podczas wojny i po wojnie”.

- Niech pan nie zapuszcza żurawia. To nie jest dla pana - burknął i przetarł szkła okularów.

- Tak, te sprawy są badane przez naukowców. Tutaj piszą, że w latach 1916-1918 jedna trzecia armii angielskiej walczącej w okopach we Flandrii była trwale niezdolna do walk na froncie z powodu psychoz i neuroz. Charakterystyczne dla tych chorób jest to, że rozwijają się szczególnie łatwo u osób o pewnej słabości strukturalnej i że jak raz się choroba objawi, to zazwyczaj odnawia się za każdym razem z coraz blahszej przyczyny zewnętrznej. Piszą tu jeszcze, że wśród roczników służących w wojsku fińskim w latach 1920-39 było od 13000 do 16000 żołnierzy o słabej psychice, z których prawdopodobnie znaczna większość brała udział w wojnie.

Lekarz podniósł głowę i wlepił wzrok w Huttunena siedzącego po drugiej stronie stołu.

- Ostatnim razem przyznał pan, że uczestniczył w obu wojnach.

Młynarz pokiwał głową i powiedział, że nie rozumie, dlaczego miałoby to dowodzić jego choroby psychicznej.

- Przecież nie tylko ja tam byłem.

Lekarz nadal cytował pacjentowi fragmenty artykułu. Pielęgniarki zapalili papierosy dla zabicia czasu. Huttunen też miał ochotę zapalić, ale wiedział, że pacjent nie ma prawa zaciągnąć się nawet raz.

- Człowiekiem o ograniczonym umyśle kieruje w czasie wojny prymitywny instynkt przetrwania... Natomiast nie ma na niego wpływu skłaniający do poświęceń wzniosły nastrój, który panował w naszej armii, bo człowiek taki dąży wszelkimi sposobami do unikania trudności i nieprzyjemnych przeżyć. Sven Dufva, typ bohatera opisany przez poetę Runeberga, należy z całą pewnością do rzadkich wyjątków.

Lekarz popatrzył na Huttunena z odrazą. Potem przewrócił kartkę, przeczytał pod nosem jakieś podkreślone wersy, a następnie kontynuował na głos:

- U chorego psychicznie reakcja objawia się jako stan pomieszania, który charakteryzuje się bełkotaniem, infantylnym sposobem bycia i zaburzeniami świadomości. Często w takich przypadkach człowiek ograniczony nie potrafi zachować czystości, brudzi ściany pokoju swoimi odchodami, zjada je i tak dalej.

Lekarz zwrócił się tutaj do pielęgniarki rozmawiającej przy drzwiach i zapytał, czy u

tego pacjenta wystąpiły powyższe objawy. Starszy pielęgniarz zdusił peta w doniczce z kwiatkiem stojącej na parapecie i oznajmił:

- O ile mi wiadomo, jak do tej pory, jeszcze nie jadł gówna.

Huttunen ostro zaprotestował. To chamstwo oskarżać go o takie potworne rzeczy. Wstał wzburzony z krzesła, ale kiedy obaj pielęgniarze też się podnieśli, przełknął upokorzenie i usiadł. Młodszy pielęgniarz rzucił od niechcenia:

- Jak tu zaczniesz podskakiwać, to zaraz cię odstawimy na oddział, prawda doktorze?

Lekarz pokiwał głową w stronę pielęgniarzy. Patrzył ostro na Huttunena.

- Niech się pan spróbuje uspokoić. Tak, tak, ja rozumiem, że pana układ nerwowy nie jest w porządku.

Huttunen pomyślał, że na wolności spralby wszystkich trzech idiotów za jednym zamachem. Lekarz dalej referował treść artykułu i teraz mówił raczej do siebie, aniżeli do pielęgniarzy albo pacjenta.

- Reakcje szokowe, które rodzą się podczas silnych przeżyć psychosomatycznych, po wybuchach bomb lotniczych i ciężkich granatów, w wyniku przygniecenia przez ruiny lub podczas walki wręcz, gdzie z ogromnym wysiłkiem człowieka łączy się bezpośrednie zagrożenie jego życia, mają często zarówno fizyczne, jak i psychiczne objawy. Do fizycznych objawów zalicza się upośledzenie wzroku lub słuchu, paraliż psychogeny i bezwład mięśni. Psychiczne objawy to zmącenie umysłu, blokada i amnezja, które mogą prowadzić do całkowitego pomieszania. Psychoza szokowa najczęściej mija szybko, pozostawiając po sobie na krótko silne zmęczenie, bezsenność i skłonność do koszmarów. U wielu szok psychotyczny powoduje jednak pewne reakcje umysłowe, które później ujawniają się w trudnych warunkach życiowych.

Lekarz przerwał lekturę. Przyjrzał się dokładnie Huttunenowi i - częściowo do siebie - powiedział:

- Prawda, że młyn ryczy trochę tak samo jak bombowiec?

- Aż takiego hałasu nie robi - fikiął rozdrażniony Huttunen. - W czasie wojny nie byłem nigdy przysypany ruinami, jeśli panu o to chodzi.

Lekarz odparł z naciskiem:

- Szok psychotyczny ma często związek ze wstrząsem mózgu wywołanym zmianą ciśnienia i wymaga stosunkowo długiej terapii. Może też spowodować trwałe skutki. Człowiek, który doświadczył takiej reakcji, nie nadaje się na ogół do służby na froncie ani do objęcia odpowiedzialnego stanowiska. A czyż praca młynarza nie jest bardzo odpowiedzialna? Mam wrażenie, że tu trzeba uważać jednocześnie na ziarno i na działanie całego młyna.

Huttunen wymamrotał, że praca młynarza nie wymaga wcale większej odpowiedzialności niż praca w ogóle. Lekarz nie zwrócił jednak na to specjalnej uwagi, tylko odczytał jeszcze jeden podkreślony fragment artykułu:

- Nadzwyczaj często się zdarza, że osoba po reakcji szokowej, całkowicie już wyleczona, wpada po zakończeniu służby w wojsku w kłopoty finansowe lub inne i reaguje na to neurozą. Wtedy należy uznać, że nowa neurotyczna dolegliwość ma związek ze słabą konstrukcją psychiczną tej osoby oraz nowymi okolicznościami życia, niezależnymi od służby wojskowej.

Odłożył czasopismo na bok.

- Jeśli chodzi o pana, mam już gotową diagnozę. Jest pan człowiekiem chorym psychicznie. Przeżywa pan stany maniakalno-depresyjne. Pańska choroba umysłowa przejawia się także słabymi nerwami i neurastenią. Wszystko to jest spowodowane psychozą wojenną.

Mówiąc to, lekarz przecierał od czasu do czasu okulary.

- No tak, ja pana rozumiem. Na pewno jest panu ciężko. W tych dokumentach napisano, że ma pan zwyczaj wyć, zwłaszcza zimą i nocą. Poza tym naśladuje pan zwierzęta. Te sprawy wymagają jeszcze wyjaśnienia, zwłaszcza skłonności do wycia. W swojej karierze nie spotkałem wielu pacjentów, którzy byliby do tego tak silnie motywowani. Zadowolają się przeważnie popłakiwaniem i jękami.

Lekarz zaczął wypytywać pielęgniarki, czy pacjent wył po przyjeździe do szpitala.

- Jeszcze nie słyszeliśmy. Ale jak tylko zacznie, to zaraz przyjdziemy powiedzieć.

- Niech pan sobie zawyje. Tutaj można dać głos, jak najbardziej.

Zwrócony częściowo do Huttunena lekarz mówił:

- Tak jak pan słyszał, dostaje pan tutaj specjalne pozwolenie na wycie. Mam jednak nadzieję, że będzie pan się oszczędzał nocą. Coś takiego mogłoby wywołać niepokój u innych pacjentów.

Rozdrażniony Huttunen powiedział:

- Tutaj to ja nie wyję.

- Może pan całkiem swobodnie użyć swojego głosu. Ja wyznaję tę zasadę, według której słuchanie odgłosów wydawanych przez pacjenta pozwala sporo wywnioskować na temat jego choroby.

- Nie będę wył, bo nie mam ochoty. Lekarz zachęcał:

- Naprawdę nie chciałby pan *zawyc teraz*, tak na próbę? Chętnie bym posłuchał, jak pan wyje, kiedy jest pan w odpowiednim nastroju.,

Huttunen odparł spokojnie i z naciskiem, że nie jest chory psychicznie, najwyżej trochę

dziwny. Ale czasami widuje jeszcze dziwniejszych ludzi. Lekarz zabrał się ponownie do czyszczenia szkieł okularów. Poirytowany Huttunen zauważył:

- Myślę, że te bryle są już czyste. Musi je pan tak pocierać cały czas?

Lekarz nałożył szybko okulary na nos.

- To tylko taki nieszkodliwy zwyczaj, powtarzająca się reakcja. Że też pan tego nie rozumie!

Skinął na pielęgniarzy, żeby wyprowadzili pacjenta. Mężczyźni chwycili Huttunena z obu stron i wywlekli na korytarz. Poszturchiwali przy tym młynarza w krzyż, żeby szedł prędeej. W sali zmusili go do położenia się na łóżku, zatrzasnęli drzwi i ze złością przekręcili klucz w zamku.

Właśnie wtedy Huttunen zdał sobie sprawę, że nie wypuszczą go ze szpitala psychiatrycznego ani teraz, ani kiedykolwiek później. Próbował jeszcze rozmawiać z lekarzem, ale ten nie chciał go przyjąć, tylko zaordynował lekarstwa, którymi otyły pielęgniarz karmił go siłą.

Huttunen myślał o swoim czerwonym młynie w Suuskoski, wspominał Sanelmę Kayramó i piękne lato. Tu, za kratami ten świat stał się dla niego niedostępny. Odczuwał niezmierne przygnębienie. Starał się wciągnąć w rozmowę innych pacjentów, ale umysłowo chorzy nie rozumieli, co do nich mówi. Jedynie z Happolą mógł niepostrzeżenie pogawędzić szeptem.

Upłynęło kilka dni i przygnębienie młynarza wzrosło. W poczuciu samotności bez przerwy polegiwał na łóżku, rozpamiętując gorączkowo zakręty swojego żalosego losu. Badał wzrokiem kraty w oknie. Zimne - nieubłaganie oddzielały go od świata. Na pewno nie starczyłoby mu sił, żeby je odgiąć. A drzwi były zamknięte. Huttunen sprawdził, czy mógłby uciec przez jadalnię, ale wiązało się to z ryzykiem, bo sali pilnowało zawsze kilku strażników. Nie miał więc żadnych szans ucieczki. Pomyślał, że w najgorszym razie nigdy nie wyjdzie ze szpitala o własnych siłach. Dopiero po śmierci wyniosą go stąd do kostnicy, gdzie gruboskórny patolog porąbie tasakiem jego ciało na odpowiedniej wielkości kawałki, potrzebne do badań medycznych.

Huttunen czuł się straszliwie osaczony. Czasem nocą wstawał z łóżka i chodził po ciemku godzinami, tam i z powrotem, jak zwierzę w ZOO. Wydawało mu się, że jest więźniem, który nie popełnił żadnej zbrodni, a został skazany bez procesu sądowego i bez możliwości odwołania się, a więc i nadziei na wolność. Nie miał nic - praw, obowiązków, żadnego wyboru. Miał tylko swoje myśli i dzikie pragnienie wydostania się na uwolnienie, a tego pragnienia nie mógł zaspokoić w żaden sposób. Zdawało mu się, że traci rozum, otoczony w tej sali

apatycznymi, chorymi umysłowo pacjentami.

Pewnego dnia młody i cherlawy chłopak o wyglądzie niedorajdy, który często stroił podświadomie różne miny, zaczął opowiadać Huttunenowi o swoim życiu. Biedak mówił w sposób bardzo nieskładny i Gunnar z trudnością domyślał się sensu jego słów.

A była to straszna historia. Chłopak urodził się jako nieślubne dziecko chorej psychicznie kobiety. Cierpiał głód i był bity, odkąd tylko pamięta. Kiedy matka trafiła z jakiegoś powodu do więzienia, chłopak został sprzedany na licytacji i znalazł się w domu pijaka, gdzie musiał pracować ponad siły, służyć zapijancom i leniwym parobkom, a ponieważ już wtedy był cherlawy, naigrywano się z niego na wszelkie sposoby, powiększając jego poniżenie. Nie pozwolono mu pójść do szkoły, nie wysłano nawet do szpitala, chociaż chorował na czerwonkę, tyfus i co najmniej dwa razy na zapalenie płuc. W wieku piętnastu lat ukradł ze spiżarni kawałek słoniny, więc gospodarz oddał go pod sąd, i tak chłopiec trafił do więzienia. W celi niemal przez rok znęcał się nad nim człowiek sprośny, wielokrotny morderca. Gdy biedak w końcu wyszedł na wolność, ukrywał się całe lato w różnych stodółach, żywiąc się głównie jagodami, jajeczkami mrówek i żabami. Jesienią zaczęto zwozić do stodół siano, więc został złapany i tym razem, zamiast do więzienia, przywieziony tutaj. Od tej chwili życie układa mu się stosunkowo dobrze.

Rozpłakał się, więc Huttunen próbował go pocieszyć, ale chłopak nie mógł powstrzymać łez. Młynarz posmutniał jeszcze bardziej. Zastanawiał się, dlaczego życie musi być tak straszne.

Wkrótce niedorajda zapomniał o swojej opowieści. Usiadł na łóżku, a na jego twarz powróciły grymasy pojawiającej się na zmianę wesołości, niepewności i strachu. Huttunen naciągnął kołdrę na głowę i pomyślał, że teraz to chyba naprawdę zwariuje.

Przez następne dwie noce nie spał wcale. Za dnia nie jadł nic, nie wstawał też z łóżka. Późnym wieczorem Happola dał mu ukradkiem papierosa, ale Huttunen odwrócił się do ściany. Niech diabli wezmą papierosy! On przecież nie może spać, a jedzenie staje mu w gardle!

Nocą się przechadzał, kiedy inni spali, pochrapując. Ponurzy pacjenci leżący pod ścianą w końcu sali pierdzieli od czasu do czasu. Chłopak niedorajda jęczał cicho i popłakiwał biedaczek przez sen. Młynarz miał wrażenie, jakby głowę ścisnęła mu obręcz. Żył w skroniach pulsowały mocno, gardło miało wyschnięte. Czuł się jak zwierzę zagonione w pułapkę.

Zaczął cicho pojękiwać. Najpierw skarżył się przytłumionym głosem, którego napięcie powoli rosło, aż nagle wydał z całych sił rozdzierający skowyt. Pacjenci wyskoczyli z łóżek i skulili się pod ścianą w końcu sali.

Huttunen wył najgłośniejszym, jak potrafił. Wykrzykiwał swój ból, tęsknotę za wolnością,

samotność i smutek. Zdawało się, że natężenie głosu wprawia żelazne łóżka w śpiewne drgania, a ściany budynku rozpadają się od ostrego krzyku. Lampa na suficie zakołysała się i zapaliła. Do sali wpadli trzej pielęgniarze, którzy doprowadzili Huttunena do łóżka, usiedli mu na plecach, aż zajęczały sprężyny, i bez słowa zaczęli go okładać pięściami.

Po ich odejściu i zgaszeniu światła do leżącego Huttunena podszedł Happola i szepnął:

- Niech mnie diabli, ale nas przestraszyłeś. Zmęczony młynarz powiedział z trudem:

- Nie wytrzymam tego dłużej. Pożycz mi swój klucz, uciekam.

Happola rozumiał Gunnara, lecz odradzał mu ucieczkę: to się nie oplaca, bo szpital sprowadzi go na pewno z powrotem. Huttunen trwał przy swoim postanowieniu.

- Jak nie wyjdę stąd szybko, to zwariuję.

Happola pokiwał głową. Wiedział, owszem, jak bolesne jest przebywanie w zamkniętym szpitalu, kiedy dusza wyrывa się na wolność.

Tej nocy uzgodnili szczegóły. Happola, człowiek interesu, nie mógł się jednak zgodzić na zorganizowanie ucieczki bez wynagrodzenia. Oznajmił, że odpowiednią zapłatą będzie sześć worków mąki jęczmiennej. Huttunen uznał, że to cena umiarkowana.

- Dostarczysz mi mąkę na dworzec kolejowy w Oulu, zaraz jak tylko weźmiesz sprawy w swoje ręce - tłumaczył Happola. - Nie ma żadnego pośpiechu, ale zapłacić trzeba. Ja też musiałem kupić te klucze. Innym także nie pomagałem wydostać się stąd za darmo.

Opowiedział, jak trzy lata temu ułatwił ucieczkę ze szpitala pewnej chorej psychicznie kobiecie, która na wolności stała się najbardziej poszukiwaną dziwką nad Zatoką Botnicką.

- Jest bardzo ładna. No, może trochę niespokojna. Teraz mieszka w Oulu, ale pracuje w Raahe i Kokkoli, a czasem nawet w Pori. Dostałem od niej porządną zapłatę, więc i ty pamiętaj o mące dla mnie.

Po kilku dniach nadszedł czas, kiedy Happola musiał załatwić sprawę w mieście. Właśnie tej nocy Huttunen postanowił uciec.

Kiedy cały szpital zapadł w sen, Happola otworzył swoim kluczem drzwi sali. Mężczyźni przemknęli bezgłośnie po cichych korytarzach do kuchni wielkiego szpitalnego budynku, a stamtąd do pralni znajdującej się na tyłach. W magazynie pośród odzieży innych pacjentów Huttunen znalazł swoje cywilne ubranie zapakowane w kartonowe pudło. Stało w pierwszym rzędzie, na samym wierzchu, bo młynarz przebywał w szpitalu dopiero od niedawna. Ubrał się, zaciągnął pasek z klamrą i sprawdził zawartość portfela. Ze zdziwieniem stwierdził, że zabrano mu tylko trochę pieniędzy, a resztę zostawiono. Wrzucił do pustego pudła kaftan szpitalny, czapkę i kapcie, i odstawił pudło na miejsce.

- A ty nie zmieniasz ubrania? - zapytał zaskoczony kolegę, który zamiatał podłogę

korytarza nogawkami pizamy.

- W lecie jest mi w tym ciepło. Jakbym poszedł do miasta w dzień, to inna sprawa. W komórce przy pralni mam elegancki garnitur, ale nie opłaca mi się go wkładać na wyprawy w nocy. Spodnie tracą niepotrzebnie kanty.

Wyszli przez jedne z bocznych drzwi na trzeszczący, pokryty żwirem dziedziniec. Wspięli się na wzgórze porośnięte porostami, u którego podnóża stała stara wieża ciśnień zbudowana z czerwonej cegły. Huttunen obrócił się i spojrzał za siebie. W dolinie widać było ogromny, ponury budynek szpitala psychiatrycznego. W żadnym z okien nie paliło się światło, nikt nie gonił uciekinierów. Ucieczka z tego straszego miejsca okazała się nadzwyczaj prosta.

Z narożnego okna oddziału kobiecego dochodziło monotonne zawodzenie. Widocznie jakaś niespokojna pacjentka skarżyła się na swój los.

Huttunen zdrzął, kiedy usłyszał pełen smutku szloch kobiety. Miał ochotę przyłączyć się do niej i zawyc, odpowiedzieć tej biednej istocie, którą nieznanne cierpienia zmusiły do skargi tak żalosalnej. Właśnie kiedy miał już wydać z siebie wielki i dziki krzyk, Happola odezwał się cicho:

- To Liisa Kastikainen. Słysząc ją tak już od dawna. Tej jesieni upłyną trzy lata. Pamiętam jeszcze, jak ją przywieźli. Była ciasno owinięta kocem. Na początku zatykano jej usta kneblem, ale lekarz oddziałowy zabronił, bo wypadły jej zęby.

Spod wieży ciśnień odchodziła uliczka prowadząca w stronę miasta. Mężczyźni podążali bez słowa szarą, letnią nocą w kierunku Oulu, Białego Miasta Północy.

Dwupiętrowy, drewniany dom Happoli znajdował się w dzielnicy Heinapaa. Lata wojny sprawiły, że farba złąziła z powierzchni ścian, ale poza tym budynek był w dobrym stanie. Pies na podwórku rozpoznał właściciela i pomachał ogonem także do Huttunena. Happola wybrał z kółka klucz do drzwi. Stojąc na schodach, przechwalał się:

- No i co powiesz? Niewielu wariatów ma taką chatę! Dom nie jest obciążony długami, a jeszcze na dodatek w banku zgromadziłem oszczędności. Z miejsca mógłbym kupić samochód za gotówkę, gdybym tylko dostał licencję. Ubiegałem się o pozwolenie na auto zagraniczne, ale władza się nie zgodziła, bo jestem wariatem.

Na korytarzu znajdowały się liczne drzwi, a na każdym widniało inne nazwisko.

- To lokatorzy. Na drugim piętrze mieszkają pozostali.

Happola otworzył jakieś drzwi. W pokoju, do którego weszli, znajdowały się dwa łóżka, stół i kilka krzeseł. Na jednym z łóżek leżała kobieta w średnim wieku. Zaspana powiedziała:

- O, gospodarz! Znowu pan chce?

- Nie trzeba się rozbierać. Ja tylko przyprowadziłem kolegę, żeby trochę pomieszkał. Zrób mu rano coś do jedzenia, a poza tym zostaw go w spokoju.

Kobieta położyła się z powrotem i szybko zasnęła. Happola przystąpił do planowania przyszłości Huttunena.

- Na twoim miejscu sprzedałbym młyn i wyjechał do Ameryki. Jak się nie dostaniesz do USA, to pędź do Hiszpanii. Jeden znajomy major osiadł tam zaraz po wojnie i podobno dobrze mu się powodzi. Utrzymuje się z hodowli goździków... Dużo masz ziemi koło swojego młyna?

- Będzie tylko kilka hektarów, ale młyn jest w dobrym stanie i ma prawie nowy hebel do gontów. Zanim mnie złapali, zdążyłem pomalować ściany. W młynie są dwa kamienie: na mąkę i na kaszę. Wystarczy tylko uruchomić. Rynna wodna jest całkowicie odnowiona w górnej części, a w dolnej udało mi się ją naprawić. Jeszcze będzie mełł latami bez remontu - Huttunen zachwalał swój młyn.

Happola zadzwonił do kilku osób z różnych miejscowości w okręgu. Zaproponował im sprzedaż młyna, lecz nie znalazł nabywcy.

- Prowadzenie interesów po nocy jest dość skomplikowane. Wydaje mi się, że ludzie pracujący w nieruchomościach teraz śpią. Znam jednego dyrektora z Kajaani, który może być zainteresowany. Muszę już iść. Rano, kiedy zauważą, że uciekłeś, powinienem być w łóżku.

Happola poczęstował gościa na pożegnanie papierosem i wymknął się bezszelestnie na dwór.

Huttunen obejrzał pokój: brudne tapety, nieduży wystrzępiony dywan, w kącie dymiący piec, co można było poznać po sadzy w górnej części drzwiczek. Na nocnym stoliku leżały papiloty i stała szklanka z wodą, do której wrzucono sztuczną szczękę.

Huttunen rozebrał się i położył na drugim łóżku. Potem podniósł się znowu i zgasił światło. Chciało mu się sikać, ale nie miał odwagi obudzić kobiety, żeby zapytać, gdzie jest ubikacja. Przespał do rana, czując ucisk w brzuchu.

Obudził go szum w toalecie. W jednej chwili potrzeba stała się nadzwyczaj pilna. W pokoju paliło się światło, kobieta wyszła. Huttunen ubrał się i czekał z niepokojem na jej powrót. Kiedy tylko otworzyła drzwi, przemknął do łazienki tak szybko, że nawet nie zdążył się przywitać.

Nieznajoma zrobiła kawę, poczęstowała go kanapkami i słodką bułką. Huttunen się przyznał, że właśnie uciekł z domu wariatów.

- Mnie też Happola wyciągnął z tego samego szpitala. Od tamtego czasu nie daje mi spokoju. Muszę go obsługiwać dwa razy w tygodniu.

Kobieta uczesała się, pomalowała wargi i nałożyła na uszy kolczyki w kształcie kół.

Miała na sobie obcisłą czerwoną spódnicę i białą bluzkę z żabotem. Była zgrabna i krągła. Powiedziała, że utrzymuje się z prostytutki. Happola zażądał wysokiej ceny za klucze i mieszkanie. W przeciwnym wypadku musiałyby wracać do szpitala.

- Lepiej być dziwką na wolności niż wariatką w szpitalu. A zresztą, jak już nikt nie będzie mnie chciał, to zawsze mogę tam wrócić. Jeszcze mam na tyle popłatane w głowie.

Huttunen podziękował za kawę i zaczął się szykować do wyjścia. Kobieta zdziwiła się:

- Nie chcesz iść ze mną do łóżka, chociaż wiesz, kim jestem?

Zmieszany uklonił się w drzwiach i wypadł na dwór, gdzie załazy go wspomnienia o instruktorce Sanelmie Kayramó: chłodna altanka, pachnące gałęzie na bezpiecznej wysepce w Leppasaari, miękki głos kobiecy, lekki dotyk ręki i laskoczący nos kosmyk włosów.

Huttunen poszedł na stację. Po drodze kupił urzędową kartę pocztową i znaczek. Wsiadł do pociągu jadącego na północ. Zostawił za sobą Oulu - miasto, które niedobrze zapisało się w jego pamięci. Na moście w Tuira wyciągnął kartę pocztową i nakreślił na niej adres szpitala. Wykaligrafował też następujący tekst: „Do lekarza. Uciekłem z tego waszego wariatkowa. Może Pan już zauważył. Właśnie jadę w kierunku Szwecji, a stamtąd do Norwegii, żeby mnie psy nie zwęchały. Poza tym nie jestem wariatem. To Pan tam został i będzie do końca wycierał swoje okulary. Huttunen”.

Wrzucił kartę do skrzynki na stacji w Kemi. Śmieszyła go myśl, że mogą go teraz szukać w Szwecji i Norwegii. Przed odjazdem pociągu kupił jeszcze w restauracji kolejowej dziesięć jaj ugotowanych na twardo.

Dojechawszy do stacji we wsi, wysiadł z pociągu, ale nie poszedł szosą w kierunku kościoła, tylko skręcił przez lasy prosto do Suuskoski.

Ogarnęła go radość, że wreszcie jest w domu. Piękny, czerwony młyn stał na swoim miejscu w letnich promieniach słońca. Huttunen sprawdził tamę, rynnę wodną, hebel do gontów i turbinę. Wszystko było w porządku. Całe otoczenie witało powracającego młynarza. Płynący żwawo pod młynem potok szumiał przyjaźnie.

Drzwi młyna zabito na głucho. Młynarz otworzył je z taką siłą, że aż gwoździe i drzazgi poleciały na podwórko.

W izbie wszystko było porozrzucane. Każdy kąt przeszukano dokładnie. Łóżko pozostawiono niezasałone, kredens szeroko otwarty. Brakowało w nim garnków. Ze spiżarni zabrano wszystko, co nadawało się do jedzenia. Nie było nawet worka z ziemniakami, który Huttunen zostawił na podłodze. Czyżby naczelnik to zarekwirował? A może był tu złodziej?

W spiżarni nie pozostawiono nawet chrupkiego chleba. Wygłodniały Huttunen zjadł ostatnie jaja kupione w Kemi i popił wodą z cebrzyka.

Zrobił spis swoich ruchomości i stwierdził ze złością, że zniknęło wiele potrzebnych rzeczy: kuferek podróżny, odświętny garnitur, broń myśliwska, niektóre narzędzia, duży kocioł, prześcieradło i poszewka na poduszkę w kwiatki, a ponadto wszelkie produkty żywnościowe. Rozgniewany rzucił się na łóżko i rozmyślał, kto mógł stać za tym rozbojem. Nagle podniósł się, poszedł w kąt izby, przykucnął obok ściany i odgiął kawałek listwy podłogowej. Wepchnął w otwór rękę, głęboko, aż do izolacji podłogi. Szukał palcami tu i tam, z pasją przeczesywał szeroko wióry drzewne. Powoli twarz młynarza robiła się coraz bardziej napięta, pojawiło się na niej przygnębienie, aż nagle rozjaśniła się ogromną radością. Krzyżąc, Huttunen wyskoczył z kąta na środek izby. W ręce trzymał zakurzoną książeczkę bankową.

Zawył wysokim tonem na całe gardło, zupełnie jak za dawnych, dobrych czasów. Przestraszył się swojego głosu. Podbiegł do okna i wyjrzał, żeby sprawdzić, czy nikt go nie usłyszał. Podwórko było puste, więc się uspokoił. Otrząsnął pył z książeczki bankowej. Saldo wskazywało, że miał jeszcze pieniądze na koncie. Ale poza tym sytuacja była pod każdym względem beznadziejna.

Huttunen podszedł do okna przyjrzeć się warzywnikowi, w którym pojawiły się pierwsze pędy, kiedy był w Oulu. Zauważył, że ktoś musiał się zajmować poletkiem: młode roślinki przeredzono, pośród nich nie było ani jednego chwastu, grządki zostały starannie zagrabione. Domyślił się, że to Sanelma Kayramó zadbała o ogródek podczas jego nieobecności.

Oszołomiony szczęściem wybiegł z izby i dokładnie podlał warzywa. Pomiedzy rzędami widać było ślady drobnych stóp kobiecych.

- Błogosławione roślinki - pomyślał.

17

Przez dwa dni Huttunen wpatrywał się w poletko z okna młyna. Przepelniała go ogromna nadzieja, że instruktorka Sanelma Kayramó zjedzie rowerem po zboczu młyńskim i zacznie krzątać się przy warzywach.

Czekał jednak na próżno. Instruktorka się nie zjawiała. Przygnębiony młynarz pomyślał, że nie jest odpowiedzialna, skoro zostawia ogródek bez opieki na tak długo.

Dużo czasu upłynęło, odkąd Huttunen jadł porządny posiłek. Przypomniał sobie gęstą owsiankę ze szpitala psychiatrycznego w Oulu, którą wpychał w siebie niechętnie. Teraz nawet myśl o tak nędznej potrawie powodowała, że ślina napływała mu do ust. A jajka kupione na stacji kolejowej w Kemi! Huttunen mógłby teraz pożreć nawet cały koszyk za jednym zamachem. Musiał się jednak zadowolić tylko wodą. Przyprawił ją kilkoma garściami starej mąki wydobytej ze szpar podłogi. Nie zaspokoił tym głodu, a poza tym mąka była brudna i

zrobiło mu się niedobrze.

Drugiego dnia pod wieczór głód wygonił młynarza z izby. Zszedł na dół młyna, otworzył klapę w podłodze prowadzącą do pomieszczenia z turbiną i wymknął się stamtąd na dwór. Idąc lasem, skierował się do sklepu Tervoli. Głód ścisnął mu żołądek, tak że aż zamgliło mu wzrok. Gałązki wierzb rosnących przy brzegu rzeki były go po twarzy, z oczu ciekły łzy, w gardle miał gulę. I nie był to kęs jedzenia, tylko skurcz spowodowany niedożywieniem i smutkiem.

Huttunen zaczął się za rogiem sklepu Terroli. Postać dłuższą chwilę, sprawdzając, czy na podwórku albo w sklepie nie ma kupujących. Kiedy przekonał się, że w środku jest tylko kupiec ze swoją rodziną, zapukał. Zobaczywszy wchodzącego, Tervola próbował zamknąć drzwi z powrotem, ale młynarzowi udało się wcisnąć nogę.

- Kunnari, nie możesz tu wejść. Sklep jest zamknięty.

Huttunen chciał rozmawiać w cztery oczy. Tervola zaprosił go niechętnie do środka. Drzwi do mieszkania zostawił otwarte, aby żona mogła usłyszeć, o czym mówią. Przybysz usiadł na kilku workach ziemniaków, wyciągnął ze skrzynki butelkę piwa i wypił powoli. Potem zaczął wyliczać, co chciałby nabyć u kupca:

- Wezmę kilo chleba, pół kilo smalcu, tyle samo masła, dwie paczki *Tyókansa*, kawę, cukier, tytoń.

- Wariatom nie sprzedaję.

Huttunen wyciągnął pieniądze z portfela i pokazał kupcowi.

- Zapłacę nawet podwójnie, ale sprzedaj, bo mi się cholernie chce jeść.

- Przecież powiedziałem, że sklep jest zamknięty. Nic ci nie sprzedam! Powinieneś zostać w Oulu. Jesteś zbiegiem, a to przestępstwo.

Tervola zastanowił się chwilę i dodał:

- Kiedy cię tu nie było, to mieliśmy spokój! Cała wieś odetchnęła z ulgą. Lepiej będzie, jak wrócisz do wariatkova. Niczego nie sprzedam.

Huttunen wstawił pustą butelkę do kosza i rzucił na ladę kilka monet jako zapłatę. Potem powiedział spokojnie:

- Nie wyjdę bez jedzenia. Do diabła, ostatnio jadłem w Oulu w czwartek, a może nawet w środę!

Potrząsając głową, kupiec Tervola wycofał się za ladę. Gdy Huttunen ruszył ku niemu, zaczął szybko stawiać na blacie produkty żywnościowe. Ściągnął z półek cukier, kawę, rzucił kawałek solonej kielbasy, słoniny, masła, poszedł do komórki po mąkę i ziemniaki. Wszystko to gromadził na ladzie przed Huttunenem, rzucał torebkami i paczkami na szklany blat, aż

trzęsa się cała witryna. Na samą górę dołożył jeszcze paczkę papierosów i pudełko zapalek.

- Bierz! Kradnij!

Huttunen podał Terrali pieniądze. Kupiec nawet nie spojrział na nie.

- Kradnij, zabierz wszystko! Nie wezmę od ciebie pieniędzy. Proszę bardzo, ukradnij!

Co ja, stary człowiek, mogę zrobić takiemu wariatowi!

Huttunen podniósł właśnie trzymane w ramionach zakupy, ale postawił je z powrotem na ladzie. Rozgniewany rzucił Tervoli:

- Nigdy nie ukradłem niczego i teraz też tego nie zrobię. Przyszedłem to kupić.

Jednak właściciel sklepu nadal nie chciał zapłaty. Odsuwał banknoty tkwiące w ręce młynarza, chociaż ten próbował wcisnąć mu je raz za razem.

Terrola zważył jeszcze parę kilo kaszy manny i kilo rodzynek, rzucił torebki na ladę i krzyknął:

- Ukradnij jeszcze i to!

Huttunen nie mógł już znieść takiego traktowania. Wybiegł ze sklepu, otworzywszy sobie drzwi. Okucie zamka spadło dźwięcząc na podłogę, kiedy wyskoczył na zewnątrz.

Kupiec wyszedł na schody sprawdzić, dokąd uciekł Huttunen. Nie zobaczył go już na podwórku. Natomiast w lesie słychać było hałas. Wywnioskował, że Gunnar pobiegł właśnie tam. Wrócił do sklepu i przeniósł prędko cały towar z lady na półki. Potem poszedł do siebie i zadzwonił na policję.

Opowiedział policjantowi Portimie o ucieczce młynarza z domu wariatów oraz o tym, że zbieg był w sklepie, próbował siłą kupić jedzenie, lecz on, Terrola, mu nie sprzedał.

- Kunnari miał pieniądze. Ale ja byłem twardy i nie wziąłem od niego ani grosza. Przed chwilczką pobiegł do lasu. Musisz go teraz znaleźć i zamknąć. Jak nie, to znowu zaczniesz się wycie.

Skończywszy rozmawiać z Tervolą, Portimo westchnął i nałożył służbową czapkę, a potem pojechał rowerem do młyna w Suuskoski.

Huttunen siedział wyglądniaty w izbie, obejmując głowę rękami, i rozmyślał. Jest późny wieczór, niedługo nadejdzie noc, czeka go samotność i głód. Zacerpnął chochlą wody, napił się i zmęczony wrócił pod okno. Gdyby tak instruktorka Sanelma Kayramó nadjechała teraz od strony młyńskiego wzgórza, to z pewnością wszystko obróciłoby się na lepsze.

Z pagórka zjeżdżał właśnie starszy człowiek, w którym Huttunen rozpoznał policjanta Portimę.

18

Portimo postawił rower pod ścianą młyna i ciężkim krokiem wszedł do izby. Zauważył,

że zewnętrzne drzwi zostały wyrwane mimo wbitych w nie gwoździ, co wskazywało na to, że młynarz prawdopodobnie jest w domu. Na schodach Portimo zawołał ostrożnie:

- To tylko policja, Huttunen, nie denerwuj się!

Młynarz poprosił go, żeby usiadł. Policjant poczęstował gospodarza papierosem. Huttunen zapalił po raz pierwszy od dłuższego czasu. Zaciągając się głęboko dymem, powiedział:

- Tam, w Oulu zabrali mi wszystkie papierosy. Portimo zapytał, czy pozwolono mu wyjść ze szpitala. Huttunen wyznał cicho:

- Uciekłem stamtąd.

- Tervola dzwonił. Przypuszczał, że tak się właśnie stało. Może pójdziesz ze mną?

- Choćbyś mnie miał zastrzelić, to się nie ruszę. Policjant uspokoił go: nie ma mowy o żadnym strzelaniu.

Po prostu telefonował do niego kupiec. Młynarz zapytał, czy naczelnik policji został już powiadomiony o jego ucieczce. Okazało się, że z Oulu nie przyszło żadne doniesienie, a naczelnik nic nie wie o powrocie Huttunena do wsi.

- To dlaczego przyszedłeś mnie aresztować, skoro nie masz oficjalnego nakazu?

Portimo przyznał, że rzeczywiście nie ma, ale musiał przyjść, ponieważ kupiec zadzwonił.

- Nazbierało mi się długu u Tervoli za żywność z trzech miesięcy, więc raczej muszę go słuchać. Jak się ma wynagrodzenie policjanta, to nie powinno się narażać sklepikarzowi. Mój syn jest w szkole nauczycielskiej w Jyvaskyli, studiuje tam, będzie z niego nauczyciel. Wiesz, wyszkolenie takiego chłopiska strasznie dużo kosztuje. Może go pamiętasz? Antero, siedział tu, w młynie przez całe lato i słuchał, jak opowiadasz różne rzeczy. Taki wysoki chłopak.

- Aaa, ten... Zmieniając temat, strasznie mi się chce jeść. Nie dostałem w sklepie niczego, chociaż próbowałem kupić i miałem pieniądze. Złodziejem nie jestem. Niedługo miną trzy dni, jak zjadłem coś porządnego, a i to były jakieś cholerne płatki owsiane. Rozumiesz, że jestem bardzo głodny.

Portimo obiecał pomówić o tym z żoną. Zastrzegł jednak, że nie będzie dostarczania posiłków codziennie. Nie przyniesie niczego do młyna, tylko gdzie indziej, na przykład do lasu.

- Policjant musi być ostrożny, kiedy pomaga ściganemu. Zbrodniarzowi nie dałbym jedzenia. Ty - to co innego. A poza tym, znam cię.

Portimo znowu poczęstował Huttunena papierosem.

- Kunnari, czy nie będzie mądrzej, jak sprzedasz młyn i wyjedziesz do Ameryki? Słyszałem, że tam nie zwracają uwagi na wariactwa. Wariaci żyją u Amerykanów na wolności.

Jak zaczniesz porządnie pracować, to nikt cię nie będzie ścigał.

- Nie rozumiem ani nie umiem mówić po angielsku. Do Szwecji też nie mogę pojechać, bo nie znam szwedzkiego, a w tym wieku nie da się nauczyć języka od razu.

- Pewnie tak jest, ale nie możesz już mieszkać w młynie. Jak sprawy się rozwiną niepomyślnie, to jutro poczta przyniesie nakaz na ciebie. A wtedy każą mi cię złapać i dostarczyć z powrotem do Oulu. Wiesz, policjant też musi przestrzegać prawa.

- I gdzie ja mogę stąd iść?

Portimo zaczął się zastanawiać. A może Huttunen zamieszkałby w lesie? Teraz jest przecież lato, pogoda będzie na pewno piękna. Młynarz mógłby najpierw osiedlić się w puszczy, spróbować sprzedać młyn przez pośrednika i po cichutku wyjechać za granicę.

- Mógłbyś wziąć do lasu jakąś książkę do nauki języka i czytać sobie, siedząc pod drzewem. Kiedy już poznasz obcy język i sprzedasz młyn, to przedrzesz się przez lasy, przepłyniesz Tornijoki i pójdziesz w górę, do Szwecji, a stamtąd dalej w świat.

Huttunen się zamyślił. Rzeczywiście, nie mógł już dłużej mieszkać w młynie. Jednak ucieczka do lasu wydawała mu się złym rozwiązaniem. Jak on sobie tam poradzi?

- Przecież w czasie wojny dezercerzy chowali się w lesie przez wiele lat - gorączkował się Portimo. Też sobie poradzisz w borze. Jak każdy uciekinier z wojska. A jeśli cię złapią, to i tak sąd polowy nie wyda na ciebie wyroku śmierci. Przewiozą cię z powrotem do Oulu.

Rozmawiając, nie zauważyli, że skończył się wieczór i nastąpiła noc. Portimo siedział przy oknie, obserwując podwórko, żeby nikt niepowołany ich nie zaskoczył. Ale na dworze było spokojnie.

Huttunen zapytał, kto opróżnił mu spizarnię i zabrał narzędzia. Policjant nie ukrywał, że to właśnie on z naczelnikiem wzięli na wszelki wypadek siekierę i broń myśliwską. Jedzenie wyniosła pastorowa i rozdała służącym.

- A musieliście zabrać też worek z ziemniakami? Przecież nie zgniłyby w spizarni.

- O ziemniakach nic nie wiem. Może pomyśleli sobie, że zostaniesz w Oulu kilka lat?

- Niech to diabli, musiałem przez to wylizywać mąkę z podłogi. Życie wariata jest czasem gówniane. Chociaż właściwie nie jestem wariatem. Prawdziwi wariaci są tam, w Oulu.

Portimo wzdrygnął się i pokazał na okno.

- Popatrz, Kunnari, kto tam kuca w ogródku! Huttunen dopadł okna, przewracając przy tym krzesło.

W szarówce widać było na poletku uprawnym uwijającą się postać kobiety. Rozpoznał w niej od razu instruktorkę Sanelmę Kayramó, która przycupnęła przy grządce buraków i wrywała chwasty. Młynarz znalazł się na dworze natychmiast, bo przeskakiwał po pięć stopni

schodów.

Portimo patrzył z okna, jak skacze przez grządki rzepy, dopada do instruktorki, chwytając ją w ramiona i całuje w usta. Dziewczyna przestraszyła się najpierw, ale kiedy go rozpoznała, przytuliła się do niego, pozwoliła obejmować i głaskać.

Po pewnym czasie z ogródka zaczęły dochodzić ożywione głosy, więc Portimo otworzył okno i syknął do zakochanych:

- Bądźcie cicho! Ktoś może usłyszeć i jeszcze pójdzie zadzwonić na policję! Wracać mi tu zaraz.

Weszli więc do izby z twarzami rozjaśnionymi szczęściem. Przez chwilę wszyscy siedzieli cicho, a potem policjant odchrząknął i powiedział:

- Sprawy Kunnariego wyglądają trochę niewesoło. Co konsultantka o tym myśli?

Dziewczyna pokiwała głową. Była zmieszana, gdy policjant tak na nią patrzył. Portimo ciągnął dalej:

- Trochę planowaliśmy z Kunnarim, że może pójdzie do lasu i posiedzi tam przynajmniej do jesieni. A my poczekamy, jak się rozwinie sytuacja.

Sanelma pokiwała znowu głową i popatrzyła na Huttunena, który sprawiał wrażenie, jakby się na to zgadzał. Portimo przybrał bardziej oficjalny ton:

- A może umówimy się z instruktorką, że wobec ludzi nic nie wiemy, co się dzieje z młynarzem. Nam, urzędnikom, nie przystoi pomagać w takich sytuacjach. Chodzi więc o to, żeby utajnić całą pomoc.

I na tym stanęło. A poza tym uzgodnili, że instruktorka przyniesie zbiegowi jeszcze tej nocy jedzenie, które da jej żona Portimy.

Wszyscy troje wyszli z młyna. Huttunen wziął ze sobą koc i płaszcz przeciwdeszczowy, naciągnął gumki na nogi, a za pas zatknął finkę.

Na szosie Portimo pożegnał się z młynarzem, ściskając mu rękę.

- Postaraj się radzić sobie, Kunnari. Sprawy są pogmatwane, ale między nami wszystko jest w porządku. Możesz mi wierzyć, ja cię nie będę ścigał.

Kiedy Portimo odszedł, młynarz i instruktorka powędrowali do Leppasaari. Kobieta przyniosła od Portimy ziemniaki i sos w garnku. Chociaż jedzenie wystygło trochę po drodze, smakowało głodnemu młynarzowi nadzwyczajnie. Jadł w milczeniu, niemal z nabożeństwem. Wielkie jabłko Adama poruszało mu się z góry na dół. Instruktorce wzruszyło to ogromnie. Położyła rękę na ramieniu posilającego się mężczyzny, a drugą gładziła jego włosy. Czy od ostatniego widzenia przybyło mu siwych kosmyków? W mroku altanki nie była tego całkiem pewna.

Potem umyła garnek w potoku. Huttunen odprowadził ją na brzeg wyspy, ale już nie poszedł z nią za rzekę. Kiedy zniknęła w osłoniętej nocą olszynie, oczy Huttunena wypełniły się łzami.

Zasmucony wrócił do altanki, położył się na wyschniętych gałęziach z turzycy tworzących łóżko i pomyślał, że został teraz sam. Noc była zupełnie cicha, nie śpiewał ani jeden ptak.

CZEŚĆ DRUGA

Polowanie na samotnika

18

Życie młynarza Gunnara Huttunena weszło teraz w fazę nieszczęść. Był bez młyna, bez domu. Został odizolowany i sam się odizolował od wspólnoty ludzkiej. Kto wie, jak długo będzie musiał przebywać poza zamieszkałymi osiedlami.

Siedział na brzegu potoku, przysłuchiwał się szumowi wody płynącej z dalekiego źródła w chłodną, letnią noc. Myślał o tym, że gdyby był ciężko chory na płuca, to ludzie zostawiliby go w spokoju, uzalaliby się nad nim, pomagali mu, pozwolili się leczyć i przebywać we wsi. A ponieważ cechami umysłu różni się od innych, to go nie tolerują i wyrzucają poza nawias swojego życia. On jednak wybierze raczej samotność niż salę z zakratowanymi oknami w szpitalu psychiatrycznym, gdzie otaczali go jedynie przygnębieni i apatyczni nieszczęśnicy.

W ciemnej rzece podskoczył pstrąg, a może był to lipień. Huttunen się wzdrygnął. Kółka wodne rozchodziły się po powierzchni wody, załamywały, aż wreszcie łączyły się z prądem rzeczny. Młynarzowi przyszło na myśl, że od tej pory nie będzie jadł chleba ani słoniny, jak w czasach, kiedy był młynarzem. Teraz musi się żywić rybami i dziczyzną.

Dotknął ręką chłodnej wody i wyobraził sobie, że jest łososiem w potoku, takim, co waży przynajmniej kilogram. W wyobraźni zaczął płynąć pod prąd, zwijał się i przemykał w płytkiej wodzie pomiędzy kamieniami. Odpoczywał czasem pod głazem obrośniętym wodnym mchem. Wymachiwał ogonem, otwierał skrzek, rozbijał pyszczkiem wodną taflę i znowu płynął przed siebie, przyspieszając swoje ruchy za pomocą płetwy. Rwąca woda rozbijała się z szumem o skrzela młynarza, który podążał w górę potoku pogrążony w nocnych ciemnościach. Ale gdy przyszła mu ochota na papierosa, postanowił zrezygnować na razie z bycia rybą i zaczął się zastanawiać nad swoim ludzkim życiem.

Bał się jednego: co będzie, jak żyjąc samotnie, postrada ostatecznie rozum? Patrzył długo w jednym kierunku i wydawało mu się, że czoło ma ściśnięte metalową obręczą. Musiał potrząsać mocno głową, żeby ucisk zelżał.

Potem wstał znad potoku, ułamał kilka gałązek olszyny, nie wiedząc czemu, wrzucił je do ciemnej wody i powiedział do siebie:

- W tych warunkach można oszaleć.

Przygnębiony wrócił do szałas. W głowie przewijały mu się różne myśli, jedna dziwniejsza od drugiej, tak że za nic nie mógł zasnąć. Dopiero kiedy odezwały się pierwsze ranne ptaki, pospał trochę. Miał ciężkie sny, w których czuł się strasznie osaczony. Obudził się cały mokry od potu.

Umył się w zimnej wodzie potoku. Słońce już wstało. Znowu był głodny. Mimo to nastrój miał lepszy: przepełniała go energia, coś zmuszało do działania, snuł plany prowadzenia życia w samotności.

Początkowo instruktorka będzie mu przynosiła jedzenie, ale na dłuższą metę kobieta mająca niską pensję nie zdoła wykarmić potężnego mężczyzny mieszkającego w lesie. To było dla Huttunena całkiem oczywiste. Zaczął sporządzać spis potrzebnych rzeczy, które pomogłyby mu żyć samotnie w lesie: siekiera, nóż, plecak, naczynia, ubrania. Wszystko to musi zdobyć koniecznie. Postanowił pojechać do Suuskoski i przywieźć niektóre przedmioty. Jest jeszcze tak wcześnie, że na pewno nikt nie będzie go szukał w domu. Huttunen pobiegł przez las, przecisnął się pod młynem do komory z turbiną, a stamtąd przez właz dostał się do środka i wszedł do izby.

Poszukał w spiżarni plecaka, który był dość nowy. Co za szczęście, że kupił go niedawno! W czasie wojny, zwłaszcza podczas odwrotu, Huttunen przeklinał nędzny, przeładowany plecak wojskowy, który uderzał go w plecy i obijał mu krzyż, a szelkami uciskał ramiona, szczególnie podczas biegu. Nic się w nim nie mieściło, a ważył cholernie dużo. Ten zaś był obszerny, wyważony. Miał szerokie pasy wyłożone od spodu grubymi, filcowymi podkładkami, pasek zapinany na brzuchu i różne klamerki do mocowania dodatkowych rzeczy. Zupełnie jak zaprzęg dla małego konia, a zarazem czaprak. Huttunen zaczął go łądować.

Garnek, dzbanek do kawy, patelnia, kubek, łyżka, widelec. Czy potrzebuje jeszcze czegoś? Weisnął do kieszonek plecaka kilka małych butelek na cukier i sól, krople kamforowe i płyn do płukania ust. Wziął też proszek *Hota* na ból głowy. Innych lekarstw nie miał w domu.

Położył na kocu futrzaną czapkę i zwinął go dokładnie w rulon. Oderwał kawałek starej koszuli flanelowej na onuce. Z przodu wyszły mu trzy, a z pleców cztery. Buty z gumowymi nakładkami były na szczęście całe, ale zabrał na wszelki wypadek zapasowe. Zbadał dokładnie kształt obuwia, stwierdzając z zadowoleniem, że nigdy podczas chodzenia nie wykrzywił stóp, nie miał nawet śladu iksów. W ten sposób oszczędzał buty. Niektórzy niszczą przez byle jakie łażenie aż dwie pary w ciągu roku, nawet jeśli chodzą w nich rzadko.

- Ostrzałka i pilnik...

Wsadził narzędzia do bocznej kieszonki plecaka. Wyjął z komórki piłę, rozłożył na części, zrolował ostrze, opakował papierem i przywiesił z boku plecaka. Wyszedł na dwór,

zwinął sznurek do bielizny, no bo przecież nie będzie przez jakiś czas robił prania na wzgórzu młyńskim w Suuskoski.

Jeszcze garść trzycalowych gwoździ, grzebień, lusterko, maszynka do golenia, pędzel, mydło. Pióro i zeszyt w kratkę. Wszystko to jest potrzebne. A może powinien zabrać też kilka książek? Huttunen przeczytał jednak wszystkie stojące na półce po kilka razy, więc nie opłacało mu się dźwigać ich na pustkowie. Radio? Jest za ciężkie. Nawet jeśli da radę przetaszczyć sam odbiornik do lasu, to przecież anoda i akumulator są jeszcze cięższe.

Włączył radio. Wwiadomościach porannych mówili o wojnie w Korei.

- Że też chce im się gadać o tym codziennie - pomyślał. Wieśniakom wojna koreańska bardzo się podoba. Wielu chłopów wzbogaciło się na sprzedaży drzewa, bo w czasach wojennych koniunktura osiągnęła szczyt. Wystarczy marny stos polan albo dwa wozy drewna, a już chłop ma za to pieniądze na traktor. Wiosną Vittavaara i Siponen sprzedali tyle furmanek drewna, że starczy im forsy na wiele lat. Poirytowany Huttunen zgasił radio.

- Do diabła! A Siponenowa ma jeszcze czelność leżeć w łóżku i udawać sparaliżowaną! Nie zapłacę Siponenowi ani grosza na to babsko.

Igła, nici i kilka guzików - to też się przyda. Huttunen oderwał ze starej mapy szkolnej część przedstawiającą teren Pera-Pohjola i schował ją. Szkoda, że nie ma kompasu. Dwie pary majtek i kalesony. Rękawice z jednym palcem i skarpety filcowe. Futrzana czapka już jest. Huttunen zrolował kozuch barani i przywiązał na wierzchu plecaka.

- Nigdy nie wiadomo, czy nie będę musiał się ukrywać zimą... Drogie okrycie. Kupiłem je po wojnie aż w Kokkoli.

Hebel, dłuto, szydło i ostrze świdra grube jak palec. Wszystko to może się przydać w każdej chwili. Zaraz, ale po co hebel? Lepiej go nie brać. Huttunen stwierdził jednak, że jeżeli zostanie w lesie na zimę, to będzie musiał zrobić narty. W lecie nie może zabrać ich z domu, ot tak, po prostu. Wyobraził sobie, jak je niesie na ramieniu, teraz, w środku lata.

- Gdyby mnie ktoś zobaczył, to by pomyślał, że wariat.

Huttunen włożył więc hebel do plecaka. Świeca, zapalki, lornetka. Jedno ze szkielec trochę zmętniało, odkąd lornetka wpadła do jeziora Syvari, ale przez drugie widać było dobrze. Teraz będzie miał czas, żeby wyjąć zabrudzone soczewki i wypolerować szkło. Nożyczki, sprzęt do łowienia ryb: trochę siatki, kilkanaście błyszczaków i spławików, żyłka, haczyki do wędki, kawałek ołówka. Te rzeczy pomogą mu zdobyć jedzenie. Jak to dobrze, że ma je teraz przy sobie. Much też nagromadził dużo i zrobił z nich ubiegłej zimy długą wiązkę.

Plecak był już tak wypełniony, że Huttunen podnosił go z trudnością. Spróbował, ile to wszystko może ważyć. Aż przysiadł pod ciężarem.

Z trudem przeniósł bagaż z izby do młyna, a stamtąd pod budynkiem do lasu. Cały był zlany potem, kiedy tak dźwigał w pośpiechu ten ciężar. Ukrył go w zagajniku sosnowym i wrócił do izby. Przyszło mu jeszcze do głowy, że pewnie przyda się w lesie ocynkowane wiadro. Wprawdzie zajmuje dużo miejsca, ale jest lekkie.

Trzymając je w ręce, zastanawiał się, czy nie zapomniał o czymś ważnym. Wydawało mu się, że ma już wszystko. Rzucił jeszcze okiem na ogródek warzywny. Pomyślał, że mógłby wziąć ze sobą trochę rzepy, bo już dojrzała.

Wtem na skraju ogródka dostrzegł grupę mężczyzn. To kilku wieśniaków otaczało naczelnika policji. Huttunen odgadł, że przyszli po niego. Błyskawicznie skoczył na schody. Wiadro uderzyło z hałasem o drzwi i młynarz się przestraszył, że ludzie znajdujący się na dworze usłyszą stukot. Otworzył włącz do komory turbiny, wślizgnął się do niej, trzymając wiadro w objęciach. W tej samej chwili chłopci szarpnęli drzwi i weszli do młyna. Huttunen poznał po głosie policjanta Portimę, który wyjaśniał:

- W każdym razie wczoraj nie było tu nikogo. Może poszedł do lasu.

Mężczyźni stanęli nad głową Huttunena, który usłyszał trzeszczenie włączu. Do środka posypały się przez szczeliny w podłodze resztki mąki. Młynarz siedział w niewygodnej pozycji w ciasnym pomieszczeniu i miał nadzieję, że nikt nie uruchomi młyna, bo wtedy byłoby już po nim. Nie miałby się gdzie ukryć, a łopatki turbiny zrobiłyby z niego miazgę. Ze ściany odgradzającej górny bieg potoku kapąły mu na kark krople wody, która spływała rynną. Huttunen pomyślał, że jesienią musi ją uszczelnić.

Rozpoznał głosy Vittavaary, Siponena, kupca Terroli, policjanta i naczelnika. Znajdowało się tam też kilku innych mężczyzn, prawdopodobnie nauczyciel i Launola, parobek Siponena. Usłyszał głos, jak się domyślał, Vittavaary:

- Był tutaj. Patrzcie, zamiótł dokładnie pył z mąki. Mężczyźni weszli na schody i wywoływali Huttunena. Naczelnik krzychał, żeby młynarz nie stawiał oporu na darmo:

- Wychodź stamtąd, tylko spokojnie. Przewaga jest po naszej stronie!

Szybko doszli do wniosku, że izba jest pusta. Byli rozczarowani. Vittavaara mówił:

- Zanim zwariował, to zdążył doprowadzić młyn do porządku.

Wyszli na dwór, tylko Vittavaara pozostał jeszcze w środku. Słysząc było, jak próbuje uruchomić przekładnię. Do uszu Huttunena doszedł stukot łożyska kamienia górnego. Vittavaara krzyknął do pozostałych:

- Rozruszać młyn na próbę? Nigdy nie wiadomo, czy jesienią nie przejmie go gmina. Moglibyśmy mleć tu nasze ziarno.

Huttunen się przeraził. Jeśli młyn zacznie pracować, to on straci życie. Uruchomienie

nie jest trudne: wystarczy tylko zamknąć klapę przy heblu do gontów, a woda spod tamy natychmiast skieruje się do komory turbiny i wprawi ją w ruch. Wtedy słyhać będzie najpierw zgrzyt zgniatanego wiadra, a potem trzask łamanych kości.

Huttunen przylgnął z całych sił do łopatek, trzymając przed sobą wiadro jako przeszkodę, aż wygięło się w harmonijkę. Postanowił, że gdy urządzenie ruszy, to on będzie je blokował z całej siły, jak tylko się da. Liczył w pamięci, ile koni mechanicznych wynosi moc, którą wytwarza turbina przy poziomie wody w środku lata. Jeśli chce przeżyć, to potrzebuje strasznie dużo siły.

Na dworze słyhać było, jak naczelnik krzyczy, że teraz nie ma czasu na wprawianie w ruch zwariowanego młyna. Ktoś jednak zdążył już podejść do klapy przy heblu i na podstawie szumu wody Huttunen wywnioskował, że właśnie ją zamyka. Do komory bryznęła woda i zmoczyła młynarza od stóp do głów. Huttunen przekręcił łopatki turbiny, na ile tylko zdołał. Pociemniało mu w oczach. Postanowił, że będzie stawiał twardy opór sile koła wodnego. Teraz musiał poświęcić się tylko walce o życie.

Po chwili z rynny popłynęła swobodnie woda. Młynarz był bliski utonięcia w zalewającej go, szumiącej masie. Prychał i trzymał mocno turbinę. Siła wody zaczęła powoli wykręcać koło, ale Huttunen nie pozwolił, żeby mu się wymknęło. W ustach czuł gorzyc, bał się, że żyły pękną mu w skroniach.

Mimo to nie popuszczał. Gdyby teraz pozwolił wodzie zwyciężyć, oznaczałoby to równie dobrze pożegnanie się z życiem.

- Nie kręci się - krzyknął Vittavaara ze środka młyna. - Cały mechanizm, cholera, jest zablokowany!

Z dworu dochodziły krzyki, których Huttunen nie mógł zrozumieć. Potem dopływ wody zaczął się zmniejszać, aż ustał całkowicie. Ktoś otworzył klapę przy heblu do gontów. Przemoczony do cna Huttunen uznał, że pokonał moc młyna. Całe jego ciało drżało od potwornego wysiłku. Wiadro stanowiące przeszkodę między jego piersią a turbiną zostało zupełnie sprasowane. Uszy miał pełne wody, zbierało mu się na wymioty.

Z podwórka dobiegł głos naczelnika:

- Chodźmy już. Portimo może tu przyjść na noc i popilnować.

- Huttunen zablokował młyn na złość - powiedział Siponen, który właśnie nadszedł od strony rynny.

Wreszcie wszyscy opuścili podwórko. Młynarz siedział jeszcze przez chwilę w komorze turbiny. Kiedy wszystkie głosy umilkły, wyskoczył z niej i zniknął w lesie, trzymając pod pachą zgniecione na płasko wiadro. Zarzucił ciężki plecak na ramiona i, ociekając wodą,

powlókł się w głąb głuszy. Był zmęczony, odrętwiały, ale postanowił opuścić natychmiast okolice Suuskoski. Grupa mężczyzn na pewno przeszukiwała teraz lasy położone na tyłach młyna.

20

Dźwigając plecak, Huttunen oddalił się kilka kilometrów od wsi. Wszedł na małe, porośnięte sosnami wzgórze i zbudował sobie tymczasowy obóz. Z zeschniętych gałęzi rozpałił ognisko, przy którym *wysuszył* ubranie. Włożył je potem na siebie i zabrał się do prostowania zgnieczonego wiadra. Uderzał w nie kamieniem wielkości pięści, aż zaczęło przybierać pierwotną formę. Żałował, że nie ma siekiery.

Obóz też było mu ciężko zbudować bez niej. Finka nie nadawała się do cięcia drzewa na opał ani do obróbki palików na szałas. Człowiek bez siekiery jest w lesie jak bez ręki.

Huttunen zgasił ognisko i nakrył plecak gałęziami sosny. Wprawdzie policjant Portimo zarekwirował jego siekiere, ale jednak warto pójść po nią. Młynarz skierował się ku wsi.

Bez trudu dostał się do szopy Portimy, bo ten dowodził właśnie ekipą szukającą młynarza. Gospodyni poszła do sklepu i dom był pusty. Huttunen uspokoił psa i wszedł do środka.

Drewutnia należąca do biednego, wiejskiego policjanta wyglądała żałośnie. W kącie leżała mała kupka drewnianych szczap na podpałkę. Mogła starczyć na dzień, najwyżej dwa. Przy ścianie naprzeciw drzwi zalegały ze trzy metry sześciennie mokrych kłód uciętych z pnia drzewa. Jeżeli się ich zaraz nie porąbie na kawałki nadające się do spalania, to nie zdążą wyschnąć porządnie przed zimą. Przy drzwiach znajdował się podejrzany stos cienkich gałęzi. Widocznie policjant pozbierał je z pól sąsiadów, bo sam nie miał własnego lasu. Nic tylko bieda i smutek.

Siekiera Portimy wisiała na ścianie. Było to brzydkie i nieporęczne narzędzie, zardzewiałe i wyszczerbione. W otwór ostrza wciśnięto nieobrobiony, wyschnięty trzonek, który chwiał się niestarannie zaklinowany. Huttunen zamocował dokładniej koniec uchwytu w otworze siekiery, wygładził drewnianą powierzchnię, poprawił kształt.

Piła ręczna wcale nie była w lepszym stanie. Młynarz wypróbował ją na drewnianym kłocu. Ostrze okazało się tępe i ześlizgiwało się na prawą stronę. Huttunenowi zrobiło się żal biednego policjanta. W jego drewutni nie znalazł ani jednego suchego kawałka drewna do palenia, ani też żadnego porządnego narzędzia.

Wreszcie zobaczył coś przyzwoitego: w pniak do rąbania drewna wbito siekiere. Wydawała się znajoma, bo była jego. Huttunen wyciągnął ją, przejechał palcem po krawędzi i stwierdził, że jest jeszcze ostra.

Zanim wyszedł, postanowił, że narąbie policjantowi trochę drewna. Będzie to pewna rekompensata za zabranie siekiery. Właściwie wyświadczenie drobnej przysługi było jego obowiązkiem, bo policjant musi przeczesywać lasy, szukając go całymi dniami.

Huttunen narąbał sporą kupkę szczap, ułożył je ładnie pod ścianą drewnutni i kiedy zobaczył, że gospodyni wraca do domu, wymknął się do lasu, trzymając na ramieniu siekiere z lśniącym ostrzem.

Ruszył wzdłuż linii telefonicznej. Obok biegła stara ścieżka, więc szło mu się wygodnie. Wyglądało na to, że linia telefoniczna dochodziła też do sklepu. Huttunen ominął go, przeszedł kawałek lasem i wrócił potem na ścieżkę. Pomyślał, że to właśnie z tego kabla korzystał kupiec Terrola, kiedy napuścił na niego władze.

- Żeby te słupy diabli wzięli!

Popatrzył na nie z nienawiścią. Wydawało mu się, że w brzęczeniu przewodów słyszy głos nadskakującego Tervoli, kiedy ten dzwoni do hurtownika w Kemi i zamawia towar: mięso, kiełbasa, sery, kawa, papierosy. Huttunen poczuł dojmujący głód. Zatrzymał się przy słupie i przyłożył ostrze siekiery do powierzchni, zaznaczając miejsce uderzenia.

- Jak przetnę tutaj, to telefon w sklepie Tervoli już się nie odezwie.

Ostrze leżało tak dobrze, że Huttunen nie mógł się powstrzymać i uderzył w brzęczący słup. W powietrze wzbily się nawet ptaki siedzące na przewodach telefonicznych w odległości dwóch kilometrów. Uderzył znowu, i znowu, aż kable zajęczały i przez całą linię przebiegły wyładowania elektryczne. Po kilku uderzeniach podstawa się przełamała i słup zaczął się chwiać, a potem się przewrócił. Izolacje strzaskały się całkiem, a przewody poleciały daleko w las. Huttunen otarł pot z czoła i przyglądał się swojemu dziełu.

- Teraz telefon Tervoli będzie zajęty przez jakiś czas. Młynarz miał zwyczaj kończyć rozpoczętą pracę, więc za jednym zamachem pociął słup na dwumetrowe kłody i ułożył je w stos. Zebrał kable telefoniczne, zwinął i położył na samym wierzchu. Jak pracownicy firmy telefonicznej przyjdą naprawić linię, to połowę pracy będą już mieli zrobioną. Wystarczy tylko załadować kłody na wózek i wbić nowy słup.

Teraz, kiedy telefon kupca był głuchy, Huttunen postanowił zajść do sklepu. Tervola zgodzi się na pewno sprzedać mu coś do zjedzenia, tym bardziej, że przypadkowo ma przy sobie siekiere.

W sklepie było sporo ludzi. Spokojna rozmowa się urwała i zapadła przerażająca cisza, kiedy Huttunen wszedł do środka, trzymając w ręku siekiere. Niektórzy klienci zaczęli zbierać się do wyjścia, chociaż wielu z nich nie zdążyło jeszcze nic kupić.

Tervola rzucił się do części mieszkalnej. Stamtąd dał się słyszeć odgłos pospiesznie

wybranego numeru i wywoływanie centrali. Nie mógł jednak nawiązać połączenia. Policjant Portimo nie odpowiadał, nie można się też było dodzwonić do naczelnika. Kupiec wrócił przestraszony do sklepu.

Huttunen położył siekierę na ladzie i zaczął wyliczać artykuły, które zamierzał kupić:

- Papierosy, kilka puszek mięsa, kilo soli, kiełbasa, chleb. Kupiec wykładał pokornie produkty żywnościowe. Kiedy ważył kiełbasę, Huttunen przełożył żartobliwie siekierę na drugą szalkę wagi i powiedział:

- Niech no kupiec popatrzy, jaka ona lekka.

Podczas załatwiania tych sprawunków, okazało się, że siekiera ważyła dużo, więc właściciel sklepu zaokrąglił rachunek znacznie w dół, a gdy młynarz zbierał się do wyjścia, Terrola zapytał, czy jeszcze czegoś mu nie potrzeba.

- Dziękuję, to wszystko - rzucił Huttunen od drzwi.

Schowawszy się w lesie, patrzył, jak ludzie pośpiesznie wychodzą ze sklepu. Gromadą pobiegli co sił w nogach w stronę domu policjanta Portimy. Huttunen miał ochotę zabrać się do kiełbasy, ale rozsądek nakazywał mu wrócić do obozu. Nie była to dobra chwila na jedzenie.

21

Do leśnego obozu Huttunena dobiegało przez cały dzień szczekanie psów i nawoływania mężczyzn. Wieś została postawiona w stan pogotowia z powodu ucieczki młynarza ze szpitala psychiatrycznego. Aby lepiej widzieć rozgrywające się wydarzenia, Huttunen wdrapał się wysoko na czubek sosny, rosnącej na wzgórzu, na którym zbudował obóz. Musiał wchodzić tam dwukrotnie, ponieważ za pierwszym razem zostawił na dole lornetkę, a gołym okiem nie mógł zobaczyć tego, co działo się we wsi.

Patrząc przez nieuszkodzoną soczewkę, Huttunen widział na wiejskiej szosie ożywiony ruch. Psy biegały spuszczone z łańcucha, ludzie jeździli na rowerach tam i z powrotem. Przy skrzyżowaniu dróg siedziało kilku gospodarzy ze strzelbami na ramieniu. Prawdopodobnie inni chodzili po lesie, ale tego nie mógł zobaczyć ze szczytu sosny.

Zszedł z drzewa, zgasił ognisko i na wszelki wypadek spakował plecak. Instruktorka obiecała spotkać się z nim nocą w Leppasaari. Jeśli zamieszanie we wsi będzie trwało, mogą być paskudne komplikacje i kobieta napotka przeszkody.

Wrzawa umilkła dopiero o zachodzie słońca. Psy zostały uwiązane, a gospodarze poszli do domu się posilać. Huttunen opuścił obóz i powędrował w kierunku Leppasaari.

Na wyspie ktoś był w ciągu dnia, bo szalas zniknął. Sznurki i paliki leżały w olszynie bezładnie rozrzucone. Huttunen ułożył starannie paliki w stos, a sznur zwinął.

- Rzucają rzeczy, gdzie popadnie.

Martwił się, że Sanelma Kayramó będzie się bała przyjść na wyspę, ale dziewczyna zjawiała się jednak. Przemykała się wystraszona. Przeszła po mostku zbudowanym przez Huttunena, niosąc w ręku kosz, z którego wystawała butelka mleka. Młynarz uściskał ją, a potem zabrał się do jedzenia. W tym czasie Sanelma opowiadała mu, co zdarzyło się za dnia we wsi.

Za Huttunenem wysłano list gończy.

- Nie powinienes był przychodzić do sklepu z siekierą i rozrabiać tam - karciała go instruktorka.

- A na dodatek odważałeś kielbasę siekierą. Tervola z pewnością wniesie skargę za zakłócenia w prowadzeniu interesów. Z Oulu nadszedł urzędowy list, w którym piszą, że uciekłeś, i każą cię złapać. Naczelnik zapowiedział, że wszystko teraz będzie jak najbardziej oficjalnie.

Huttunen skończył jeść. Instruktorka mówiła dalej:

- Zniszczyłeś w dodatku słup telefoniczny. Elektryków trzeba było przywieźć aż z Kemi, a i tak linia jeszcze nie działa. Znajoma z centrali powiedziała mi, że jak źle pójdzie i Urząd Telegraficzny będzie nie w humorze, to za zniszczenie kabli możesz trafić do więzienia.

Huttunen siedział długo bez słowa, wpatrując się w szumiącą rzekę. Potem sięgnął do kieszeni po portfel, wyciągnął z niego książeczkę bankową i podał instruktorce.

- Cienko u mnie z pieniędzmi. Mogłabyś podjąć z tego rachunku wszystko, co do grosza? Za drogo by cię kosztowało żywienie mnie tutaj, w lesie, za własne pieniądze.

Wypisał upoważnienie na kawałku kartki wyrwanej z zeszytu w kratkę. Sanelma Kayramó napisała na niej także swoje nazwisko, a jako świadków Huttunen podał dwie osoby: Józia Żurawia i Henia Wilka. Obaj mieli bardzo charakterystyczne pismo. Huttunen powiedział, że na rachunku bankowym nie ma specjalnie dużo środków, ale jak będzie żył oszczędnie, to przy tych zasobach da sobie radę do jesieni, a w najlepszym wypadku - do zimy.

- Myślałem, żeby zacząć łowić ryby, bo wtedy jedzenie nie będzie tak drogie - tłumaczył instruktorce.

Sanelma zaproponowała, żeby nie spotykali się już w Leppasaari, bo miejsce jest spalone. Vittavaara przyniósł za dnia do wsi pocięte na kawałki prześcieradła, które Huttunen miał w altance, i dał je naczelnikowi. Pod wieczór żony naczelnika i nauczyciela poszły na brzeg rzeki robić pranie. Tam też wyprały altankę Huttunena. Konsultantka widziała, jak się suszy na sznurku.

Para postanowiła, że nowym miejscem spotkań będzie rozwidlenie dróg w Reutuaapie, pięć kilometrów od kościoła po wschodniej stronie Kemijoki. Instruktorka obiecała, że

przyjedzie tam na rowerze za tydzień. Teraz będzie rozsądniej nie spotykać się przez jakiś czas, kiedy poszukiwania są w najgorętszej fazie. Poza tym mieszkańcy wsi mieli ją na oku.

- Tak, życie się teraz nie układa... Ale jedna sprawa mnie cieszy: w twoim ogródku warzywnym wszystko rozwija się bujnie. Można już zrywać marchewkę, a rzepa urosła niedługo wielka jak głowa. Nie martw się, będę pielic i nawozić poletko. Jak się uspokoi we wsi, to przyjdź, kochany Gunnarze, i narwij sobie świeżych warzyw. Będziesz miał, biedaku, witaminy. Nawet nie wiesz, jak ważne są dla człowieka. Zwłaszcza tutaj, w lesie, ma się z nich dużo korzyści.

Krótko po tym instruktorka wróciła do wsi, a Huttunen też opuścił Leppasaari i skrył się w ciemnościach nocy.

Następnego dnia Sanelma udała się na rozmowę z Huhtamoinenem, dyrektorem banku Kasa Oszczędnościowa. Huhtamoinen poprosił konsultantkę, żeby usiadła, chciał poczęstować ją cygarem, ale zaraz zamknął pudełko i sam też zrezygnował z palenia. Sanelma Kayramó podała mu książeczkę oszczędnościową Huttunena i upoważnienie.

- Młynarz Gunnar Huttunen zadzwonił z Oulu i wydał polecenie podjęcia wszystkich pieniędzy z banku. Powiedział, że musi je mieć, żeby zapłacić za wyżywienie w stołówce szpitala.

Dyrektor banku obejrzał książeczkę oszczędnościową i pochrząkując, przeczytał upoważnienie.

- Huttunen przesłał pani te dokumenty telefonicznie? Instruktorka wyjaśniła pośpiesznie, że przyszły one rano, pocztą. Przyniósł je listonosz Piittisjand.

Dyrektor przemówił ojcowskim, niemal nauczycielskim tonem:

- Przecież panna Sanelma wie, że nas tutaj w banku obowiązuje zachowanie tajemnicy służbowej. Zawsze powtarzam urzędnikom, czyli buchalterowi Sailo i panie Kymalainen, że nie wolno nam naruszyć tajemnicy bankowej. Nasza zasada jest mocniejsza niż przysięga lekarska. A tak w ogóle, jak się pracuje w bankowości, to trzeba pamiętać jeszcze o trzech zasadach. Po pierwsze, a więc A: Należy zawsze wyliczyć się co do grosza, jeżeli chodzi o saldo. Nie wolno dopuścić do najmniejszego błędu. Po drugie, a więc B: Bank musi mieć płynność finansową. Zachować stabilność. Nierozważne udzielanie kredytów nie przysparza popularności także i wielkim bankom. Nawet przemysłu nie warto wspierać, jeśli może to osłabić pozycję banku chociaż minimalnie. I po trzecie, a więc c - a jest to główna zasada: Pracownicy muszą zadbać o bezwzględne przestrzeganie tajemnicy bankowej. Żadne informacje dotyczące interesów klienta nie mogą wydostać się na zewnątrz. I to zarówno bez zgody klienta, jak i za jego zgodą. Powiedziałbym, że tajemnicę bankową można porównać -

jeśli chodzi o jej nienaruszalność - do tajemnicy wojskowej, zwłaszcza teraz, w okresie pokoju.

Instruktorka nie miała pojęcia, dlaczego Huhtamoinen robi jej wykład na temat zachowania tajemnicy bankowej. Zapytała, czy dyrektor nie ma zamiaru wypłacić jej oszczędności Huttunena.

- Przecież wszyscy wiemy, że młynarz Gunnar Huttunen uciekł ze szpitala psychiatrycznego w Oulu. Mam powody, by sądzić, że pani, panno Kayramó, wzięła na siebie obowiązek załatwienia jego bieżących spraw, ponieważ on sam z wielu względów nie może się nimi teraz zająć.

Dyrektor banku zamknął w sejfie książeczkę oszczędnościową Huttunena i napisane przez niego upoważnienie.

- Muszę pani oznajmić, panno Kayramó, że ten bank nie może wypłacić oszczędności pana Huttunena. Oficjalnie został on ubezwłasnowolniony. Ponadto się ukrywa. Chyba pani rozumie, że my, pracownicy sektora bankowego, nie możemy wydać pieniędzy człowiekowi, który nie jest w stanie podjąć ich sam ze względu na swoją chorobę psychiczną. Poza tym Huttunen nie ma stałego adresu. A może pani wie, gdzie on się ukrywa? Nie pytam pani o miejsce jego pobytu, nie jestem policjantem. Dbam tylko o finanse naszego państwa, więc z kryminalnego punktu widzenia sprawa ta mnie nie interesuje. Chyba pani rozumie, co mam na myśli?

- Przecież to są pieniądze Huttunena - próbowała odwoływać się instruktorka.

- W zasadzie tak. Są one własnością Huttunena, nie przeczę. Ale jak już powiedziałem, nie wypłacę pieniędzy nikomu bez niezbędnych formalności. W tym wypadku środki finansowe poszłyby od razu w las, jeśli można się tak wyrazić. Co by było, miła panno, gdybyśmy w bankach praktykowali wypłacanie oszczędności klientów i odsetek, adresując przesyłkę, powiedzmy, na bagno albo w góry?

Instruktorka zaczęła pochlipywać. Jak ona to powie Huttunenowi?

Huhtamoinen napisał na kartce papieru oświadczenie: „Kasa Oszczędnościowa nie zgadza się na przekazanie Pana oszczędności ani odsetek nikomu innemu poza Panem, a Panu osobiście tylko za zgodą odnośnych władz. Z poważaniem - oddany Panu A. Huhtamoinen, dyrektor banku”.

- Jak już podkreślałem, wielce szanuję tajemnicę bankową. Jeśli ktoś przyjdzie zapytać - weźmy na przykład naczelnika Jaatilę - jakie sprawy pani dzisiaj tu załatwiała, to tylko pokręcę głową i będę milczał jak grób. Jeśli władza zażąda, żebym powiedział, gdzie ukrywa się pan Huttunen, nie zdradzę tego, nawet gdybym wiedział. To właśnie mam na myśli, mówiąc o tajemnicy bankowej. Jest ona świętą rzeczą. Powiem policji, że przysłała pani ubiegać się o

kredyt... możemy się umówić, że na maszynę do szycia?

- Ale ja już mam maszynę - chlpała Sanelma Kayramó.

- No, to powiedzmy, że była pani tutaj... żeby zapytać mnie o radę choćby w takiej kwestii, czy w dzisiejszych czasach prywatnej osobie opłaca się zainwestować oszczędności w obligacje państwowe. Jeśli mam być szczerzy, to się nie opłaca. Z powodu wojny w Korei koniunktura znalazła się w takiej fazie, że każdy, kto ma nadwyżkę finansową, powinien zainwestować w nieruchomości. W najbliższych czasach cena ziemi wzrośnie odczuwalnie, w przeciwieństwie do zysku z obligacji. Wszystko zależy oczywiście od tego, jak długo potrwa wojna w Korei, lecz czyż nie jest tak, że pokój w Azji uda się osiągnąć dopiero po kilku miesiącach, nie wcześniej niż w lecie? Niech pani powie, że to moje zdanie. No, to były takie ogólne dywagacje. Proszę mi wybaczyć, panno Kayramó.

Nie uzyskawszy niczego, instruktorka musiała opuścić bank. Chciało jej się płakać, ale przełknęła łzy, ponieważ wychodząc z banku, widziała, jak wpatrują się w nią z ciekawości urzędnicy. Dopiero na dworze, już na szosie, Sanelma Kayramó zatrzymała rower i rozplakała się na dobre, niepoczyszona. Bank zabrał pieniądze ukochanego Gunnara, a ona będzie miała własne dopiero za dwa tygodnie, kiedy wypłacą jej pensję.

22

Reutuapa było to ogromne, szerokie na kilka mil bagno, bezkresne grzęzawisko, pośrodku którego znajdowały się małe jeziora wypełnione ciemną wodą. Na zachodnim brzegu bagna wiała się rzeczka Sivakkajoki, a za nią wznosiło się niewielkie wzgórze, Reutuvaara.

To tam Huttunen skierował kroki, do położonego ponad milę od przykościelnej wsi dziewiczego lasu, skąd do najbliższej szosy było pół mili. Dodźwigał plecak aż do skraju Reutuapy. Zatrzymał się przy małym zakręcie Sivakkajoki, w miejscu, gdzie zbocze wzgórza schodziło na brzeg rzeki. Ziemia była tam pokryta porostami, takimi samymi jak w górnych partiach wzniesienia, natomiast zaraz za rzeką otwierało się grzęzawisko. Na brzegu Sivakkajoki, biegnącej pomiędzy górką a bagnem, znajdowało się wspaniałe miejsce na obóz, osłonięte, piękne i przyjemne. Daleko na bagnach żurawie wyciągały swoje dzioby. Za plecami Huttunena, na szczycie wzgórza szumiały stuletnie sosny, a w wolno płynącej wodzie pluskały się od czasu do czasu łososie i lipienie.

Młynarzowi od razu spodobało się to miejsce. Zdjął ciężki bagaż z pleców i pomyślał, że przesmyk leżący przy zakręcie rzeki będzie się nazywał Cyplem Domowym.

Przez następne dni wznosił solidny obóz. Na zboczu wzgórza ściął kilka suchych sosen, ściągnął je w dół, pociął na dwumetrowe kłody, aby można je było od razu wrzucić do tłącego

się ognia podczas zimnej, mglistej nocy.

Z grubych świerków zbudował sobie szałas. Nakrył go gęstymi gałęziami jodły, układając je czubkami do dołu. Na samej górze ułożył warstwę z wierzchołków młodych świerków, tworząc nieprzemakalny daszek w kształcie rybiej łuski. Ze świeżej, grubej jak udo człowieka brzozy odrąbał kawał drewna na szerokość szałasu i ustawił w poprzek, żeby osłaniał go przed płomieniem ognia. Pod daszek, za drewnianą zaporę naniósł miękkiego mchu, tworząc warstwę grubości dwudziestu centymetrów. Na tym podłożu ułożył delikatne, wierzchnie pędy małych świerków, odrywając grubsze igły, żeby nie kłuły go w plecy podczas snu.

Rozpakował ostrze piły, wystrugał do niej uchwyty i dopasował naciąg zrobiony ze sznurka na pranie. Kiedy piła była gotowa, ściąg rosnącą za szałasem okazała sosnę, pozostawiając pień wysokości dorosłego człowieka. Na jego szczycie ustawił zrobioną z lekkich polan sosnowych niewielką, podobną do karmnika skrzynkę, a w jednej z jej ścianek zostawił otwór wielkości plecaka. Powstała w ten sposób spiżarnia, do której włożył jedzenie, naczynia i sam plecak.

Na zewnątrz, na brzegu rzeki samotnik przygotował miejsce pod ognisko, układając w okrąg obłe kamienie wielkości ludzkiej głowy. Przygiął do ogniska rosnącą nad wodą brzozę, tworząc w ten sposób elastyczny ruszt prostujący się samoczynnie. Pięćdziesiąt metrów od obozowiska, tam gdzie zbocze Reutuvaary biegło ostro ku górze i skąd widać było oba krańce szerokiego grzędawiska, Huttunen wbił pomiędzy dwie sosny grube kłody, z których jedna służyła jako siedzenie, a druga jako oparcie. Pod kłodami wykopał dół głęboki prawie na metr, do którego miał od tej pory załatwiać swoje potrzeby raz albo dwa razy na dobę. Często jednak przesiadywał tam bez powodu, patrząc na rozległe, rozciągające się w dole bagna. Stąpały po nich z godnością żurawie, a nad nimi latało ptactwo wodne, machając pośpiesznie skrzydłami. Nierzadko cwałowało tam pięć albo i dziesięć reniferów, uciekających przed owadami grasującymi w gęstym lesie. Raz na najdalszym krańcu bagna zobaczył niedźwiedzia. Był to szary zwierz, który od czasu do czasu stawał na tylnych łapach. Kiedy jednak młynarz popatrzył jednym okiem przez lornetkę na odległą, nierealną jak fatamorgana, falującą pod wpływem letniego upału powierzchnię bagna, ujrzał tylko żurawie. Czy niedźwiedź opuścił już bagnisko? A może nigdy go tam nie było?

Na brzegu rzeki porośniętym różnorodną trawą Huttunen wbił kilka słupków do suszenia sieci. Chcąc przeprowiać się na drugi brzeg, zrobił sobie chwiejną tratwę z bali i zakotwiczył ją żerdziami, tworząc w ten sposób przystań przy ognisku.

Naprzeciwko szałasu sporządził sobie kalendarz, który wyrzeźbił w pniu sosnowym.

Ociosał brzeg, wyrównał i uzyskał powierzchnię szeroką na dwie dłonie a wysoką na trzy, po czym wygładził starannie heblem. Na takiej tablicy naciął nożem pionowe i poziome kreski tworzące kalendarz. Każdego ranka zaznaczał czubkiem noża upływający dzień. Już nie pamiętał dokładnie, kiedy obóz był gotowy, ale wydawało mu się, że zbliżała się właśnie połowa lipca. Policzył dni od *Juhannusa*, święta lata spędzonego w szpitalu psychiatrycznym, i wyciął na pniu liczby: XII, 12. dzień. Na porę roku wskazywały też dojrzewające czarne jagody.,

Lipiec był gorący i słoneczny. Łowienie nie dawało takich rezultatów jak wczesną wiosną czy w sierpniu. Ryby były najedzone i zbyt ostrożne, noce jeszcze jasne, a woda w potoku za ciepła, co rozleniwiało zimnokrwiste łososie. Huttunen wypróbował swoją przynętę, ale nie udało mu się zwabić ani jednego łososia. Za to na spławik złowiło się aż kilka szczupaków. Wystarczy upiec je tylko w popiele żarzącego się ogniska, a już będzie coś dobrego do jedzenia.

Tłustsze sztuki łowił siecią. Zarzucał ją i szedł z prądem rzeki, płosząc ryby, aż w końcu wpadały w pułapkę. Czasami w sieci szamotało się tak dużo łososi i lipieni, że mógłby je nasolić i zostawić na później, gdyby tylko miał odpowiednie naczynia. Bardzo sobie chwalił, że zdecydował się zabrać tu, na pustkowie hebel. Postanowił, że jesienią zrobi deski z drewnianych kłód, a potem wystruga klepki na beczkę, bo kilka kilogramów solonych ryb mogłoby rozwiązać jego problemy i pozwolić przetrwać zimę. Łososie rzeczne świetnie przechowuje się w czystej soli aż do wiosny, nawet jeśli są tłuste.

Huttunen zaplanował też, że wybuduje przed zimą saunę i małą chatkę, bo nie uśmiechało mu się marznięcie podczas zimowych mrozów.

- Jeszcze bym dostał reumatyzmu.

Jeśli chodzi o chatkę, to postanowił, że będzie mała, najwyżej trzy metry na krzyż. Za wyposażenie musi mu wystarczyć prycza i stół, może w kącie postawi szafę, a na ścianie powiesi rogi renifera, żeby mieć wieszak. W drugim kącie wymuruje palenisko z płaskich kamieni. W ścianie przy drzwiach zostawi otwór na okno.

- Muszę zdobyć skądś oprawioną szybę i kilkumetrową blaszaną rurę na komin. Papy na dach nie potrzeba, kora wytrzyma kilka lat.

Huttunen robił ze swojego obozu długie wypady po okolicy. Często wchodził na wierzch Reutuvaary, żeby przez lornetkę popatrzeć na wieś, małe domy i dwa kościoły - stary i nowy, mały i duży. W jasny dzień o odpowiedniej porze mógł zobaczyć na horyzoncie kłęby dymu buchające z lokomotywy pociągu nadjeżdżającego od zachodu. Zgrzytu kół nie było słychać ani też nie było widać wagonów, podobnie jak torów kolejowych. Mimo to z

kierunku rozchodzenia się dymu dało się wywnioskować, czy kolejka jechała z Kemi czy z Rovaniemi, czy podróżowali nią turyści jadący na Północ czy też może ci, którzy zwiedzili już Laponię.

Huttunen nazbierał soczystych, zeszłorocznych żurawin z terenów leżących na brzegu bagna, porośniętych niskimi drzewami. Krzewy maliny moroszki zaczęły już puszczać pąki, które niedługo przeobrazić się miały w zielone początkowo owoce. Tego lata zanosilo się na duży zbiór. Było też sporo dojrzałych czarnych jagód. Samotnik zbierał codziennie litr albo dwa do kobiałki skręconej z kory brzozonej. Smakowały mu ogromnie po wieczornej kawie.

Młynarz cieszył się latem i spokojem. Nieraz podczas słonecznej pogody rozbierał się do naga i siedł na szczyt wzgórza wygrzewać się w słońcu. Podkładał pod głowę zwinięte w kłębek spodnie i wylegiwał się na pokrytej porostami skale, pozwalając, żeby promienie opalały jego skórę na brązowo. Przyglądał się chmurom przybierającym różne kształty i widział w nich sylwetki najdziwniejszych zwierząt. Lekki wiatr wiejący pod letnim niebem sprawiał, że komary latały nisko nad bagnem. Wszędzie panowała taka cisza, że niemal mógł usłyszeć, jak różnorakie myśli krążą mu po głowie, wpadając niemal na siebie. Niekiedy wprawiały go w przygnębienie. Były wśród nich myśli szalone i myśli zwyczajne, które nigdy nie opuszczały jego umysłu.

Kiedy padał deszcz, Huttunen leżał w szałasie. Nasłuchiwał, jak ciężkie krople ześlizgiwały się w dół na ziemię po szpilkach gałęzi tworzących daszek, a gdy woda wpadała do gorącego popiołu ogniska, słyszał syk płomieni. Było mu ciepło i duszno. Po deszczu ryba brała nieźle. Nawet nie musiał zarzucać sieci, bo łosoś rzucał się na przynętę łapczywie jak dawniej, podczas połowu przy młynie.

Nocą samotnik budził się, patrzył w szare, letnie niebo pokryte gwiazdami i mrucał coś pod nosem. Pomruki te zamieniały się powoli w cichy skowyt, a potem - zupełnie jak za dawnych czasów - z gardła Huttunena wrywało się z wielką siłą potężne i dzikie wycie. Uspokajało go, sprawiało, że nie czuł się już samotny. Czasem brał wycie jakiegoś zwierzęcia za własne i wtedy wydawało mu się, że brzmi ono obco.

Chodząc w upalne dni wzdłuż pozbawionego drzew, bezkresnego bagna w Reutuapie, udawał od czasu do czasu leśne zwierzęta, które codziennie widywał wokół siebie i śledził przez lornetkę. Prawie biegnąc, brnął chwiejnie przez trzęsawisko jak renifer, który ucieka przed kąśliwymi komarami: krążył, prycał, rzucał łbem i kopał nogą ziemię. Kiedy indziej rozpościerał skrzydła i unosił się w górę gniewnie jak dzika gęś. Wzlatywał wysoko, znikał za skrajem lasu i powracał już zza Reutuvaary jako inny ptak. Rozstawiał szeroko nogi i lądował w zaroślach przy jezioru na bagnie, aż błoto przyskało na boki. Zamieniał się też w żurawia:

wyciągał szyję, klekotał, łowił zgrabnie żaby, leciwe szczupaki i te z czarnym grzbietem, które podczas letnich powodzi przyplłynęły aż na bagna, a po ustąpieniu wody zostały uwięzione w żelazistej mazi torfowiska.

Żurawie, ujrawszy na bagnie wysokiego człowieka, który klekotał w ich języku, odrywały się od swoich zajęć, prostowały długie szyje, przekrzywiały głowy i przyglądały się samotnikowi, który zablądził do ich stada nieświadomy, że udaje żurawia przed żurawiami. W takich chwilach przewodnik stada podnosił dziób w stronę błękitnego nieba i odpowiadał przybyszowi przeciągłym, krzykliwym klekotem. Dopiero wtedy Huttunen przytomniał, zmieniał się ponownie w człowieka i schodził z bagna do swojego obozu. Palił papierosa w mrocznym szałasie i myślał, że jeśli życie potoczy się tak dalej, to wszystko będzie dobrze.

- Gdyby jeszcze była tu Sanelma.

23

Tydzień minął, jak z bata strzelił. Nadszedł wieczór, kiedy zgodnie z obietnicą miała przyjechać instruktorka Sanelma Kayramó, by spotkać się z Huttunenem przy skrzyżowaniu dróg w Reutuaapa. Samotnik nie mógł się już doczekać tej chwili, więc zjawił się na miejscu dużo wcześniej. Leżąc przy drodze, rozpamiętywał krzepkie i bujne kształty Sanelmy, jej niebieskie oczy, włosy błyszczące jak złoto, a także głos, miękki i dźwięczny. Czas mijał, komary gryzły, lecz podniecony oczekiwaniem Huttunen nie zwracał na nie uwagi.

Około szóstej wieczorem zobaczył na drodze kobietę jadącą na rowerze. Była to właśnie Sanelma! Huttunen ucieszył się niezmiernie i już miał popędzić ku niej, ale się pohamował i pozostał w ukryciu. Uzgodnili przecież, że spotkają się w lesie, więc nie wychodził z za osłony brzoź.

Dziewczyna zjechała na brzeg drogi. Pozostawiła rower oparty o skarpe i pospiesznie przeszła przez rów do lasu. Zakłopotana rozejrzała się dokoła, odeszła dwadzieścia metrów od drogi i przystanęła z wyrazem oczekiwania na twarzy.

Huttunen miał właśnie podejść i ją uściskać, kiedy z lasu dał się słyszeć trzask łamanej gałęzi. To łoś czy renifer? Nie, Vittavaara i Portimo! Obaj przemykali się przez las, biegli od jednego miejsca do drugiego, spoceni i zasapani, wypatrując zdobyczy. Zajęli pozycje leżące za osłoną kępy, żeby Sanelma nie mogła ich zobaczyć. Widać było, że śledzili konsultantkę, idąc za nią wzdłuż lasu aż od kościoła. Wszystko wskazywało na to, że na młynarza zorganizowano zasadzkę, paskudną pułapkę.

Huttunen wycofał się. Położył się przy gęstym świerku, skąd mógł obserwować wydarzenia i słyszeć, co się dzieje przy drodze. Chociaż drżał z tęsknoty do Sanelmy, wiedział, że nie może do niej podejść. Siedzący ją jak cienie mężczyźni znajdowali się bardzo blisko.

Obaj ocierali pot z czoła i zabijali komary. Zmęczeni się nieludzko, biegnąc lasem i chcąc nadążyć za instruktorką, pedałującą po gładkiej nawierzchni drogi.

Czy dziewczyna wiedziała, że jest śledzona? Przystała na współpracę z wieśniakami i policjantem? Czy zgodziła się być przynętą? Chciała, żeby Huttunen został złapany i odesłany do szpitala psychiatrycznego, do tego domu wariatów, w którym panowała powszechna apatia i smutny bezwład?

- Gunnarze! Kochany Gunnarze! Tutaj jestem, przyszedłam już!

Huttunen bał się jej pokazać. Ledwo miał odwagę oddychać. Zobaczył, że Vittavaara trzyma w ręce dubeltówkę. Czyżby uważali go za mordercę, że zabrali broń ze sobą? Policjant Portimo siedział na kępie traw i starał się wyrównać oddech. On też obserwował otoczenie. Huttunen nie ruszał się z miejsca. Leżał cicho przy świerku, zaciskając zęby. Serce mu się krajało, kiedy słyszał, jak instruktorka nawołuje:

- Gunnarze. Gdzie jesteś, mój ty biedaku?

Sanelma czekała długo w umówionym miejscu, ale ponieważ cichy i posępny las nie odpowiadał na jej powtarzające się pytania, postawiła na kępie kosz z jedzeniem, przykryła chustą i smutna wróciła na szosę. Vittavaara sprawiał wrażenie rozczarowanego. Szeptał coś zawzięcie do policjanta Portimy, coś, czego Huttunen nie mógł dosłyszeć.

Instruktorka ze łzami w oczach wsiadła na rower. Huttunen miał wielką ochotę zawyć najgłośniej, jak tylko umiał, dziko jak ogromny wilk, okrutny przywódca stada. Mimo to trzymał gębę na kłódkę. Sanelma jechała w kierunku wsi i wkrótce zniknęła całkiem za zakrętem drogi.

Ponieważ Vittavaara i Portimo nie pokazali się jej, Huttunen nabrał pewności, że Sanelma nie brała udziału w zмовie i nie zdradziła go. Wprost przeciwnie - przyniosła jedzenie, jak się umówili tydzień wcześniej. Młynarz popatrzył z rozczeniem na pozostawiony kosz.

Zaraz po zniknięciu dziewczyny z pola widzenia, Vittavaara podskoczył, żeby zbadać zawartość kosza. Portimo pobiegł za nim i wbrew woli też zajrzał do środka.

- Cholera! Tu jest mleko i chleb - wydzierał się Vittavaara, wysypując jedzenie z kosza na kępę traw. Huttunen zobaczył, że była tam też butelka z mlekiem i kilka pergaminowych zawiniątek. Do jego nozdrzy doszedł zapach świeżo upieczonych bułeczek.

-1 jeszcze bułki, niech to diabli!

Vittavaara rozrywał opakowania, z których wypadła najpierw wędzona słonina, potem kawałki kiełbasy, paczka kawy, chleb. Na dnie kosza było kilka kilogramów świeżych warzyw - rzepa, marchewka i buraki. Po trawie potoczył się też bukiet nagietków, które Sanelma

pięknie ułożyła i związała. Vittavaara chwycił bukiet i cisnął na ziemię.

- A do tego jeszcze kwiatki, psiakrew! Kto to widział, żeby wariatów obdarzano w lesie kwiatami!

Portimo pozbiarał jedzenie do kosza.

- Daj spokój, Vittavaara! Konsultantka chciała tylko pocieszyć Kunnariego. Zbierajmy się i chodźmy stąd. Huttunen już tu nie przyjdzie.

Vittavaara odłamał duży kawałek bułki i wepchnął sobie do szerokiej gęby. Przełknąwszy kilka kęsów pachnącego ciasta, powiedział:

- Spróbuj! Takie to przysmaki przywożą leśnemu zbójowi, no spróbuj, Portimo!

Portimo nie skusił się, tylko zawiął z powrotem bułkę w papier. Postawił wszystko na trawie i chciał odejść, ale Vittavaara zabrał kosz i kiedy policjant spojrzał na niego ze zdziwieniem, oznajmił:

- Niech głoduje. Nie zostawię tych delikatesów Kunnariemu.

Na poparcie swoich słów Vittavaara podniósł nagietki i rozgniół je o pobliskie drzewo. Portimo odwrócił wzrok, przypadkowo akurat w stronę Huttunena. Stał i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w niego. Spojrzenia Gunnara i policjanta się spotkały. Portimo odkaslnęła zdziwiony i popatrzył w drugą stronę. Wyszedł na drogę i stamtąd krzyknął do Vittavaary, żeby ruszył za nim.

Z gębą pełną bułki gospodarz zbliżył się do policjanta. Postawił kosz na ziemi i zarzucił dubeltówkę na ramię, potem znowu podniósł kosz i powędrował z Portimą do wsi. Huttunen słyszał, jak głośno peroruje, przełykając od czasu do czasu kęsy bułki. Portimo prawie nie odzywał się do niego, tylko szedł pogrążony w myślach.

Huttunen wrócił głodny i odrętwiały do obozu, gdzie czekała na niego druga, złowieszcza niespodzianka. Zauważył, że tratwa znajdowała się nie w tym miejscu, co zwykle - koło ogniska przy brzegu rzeki. Ktoś przeciągnął ją na drugą stronę Sivakkajoki i tam zakotwiczył. Kim był ten człowiek, a może ludzie? Czy bezpieczne siedlisko na odludziu zostało w końcu odkryte? Czy mieszkańcy wsi dowiedzieli się, gdzie jest tajny obóz samotnego młynarza?

Huttunen przeszedł w bród rzekę i przyciągnął tratwę z powrotem. Na balach sosnowych znalazł resztki wypatroszonej ryby - wnętrzości i srebrzyste łuski. Uspokoił się. Pewnie jakiś przechodzący tędy rybak skorzystał po prostu z jego tratwy. Chyba nawet nie zauważył, co kryje się za krzewami rosnącymi przy brzegu.

Huttunen pozwolił tratwie popłynąć około stu metrów w dół rzeki. Potem wrócił do obozu, zrobił sobie bardzo skromną kolację i zjadł garść słodkich jagód. Jego myśli jednak

wcale nie były słodkie. Czuł bezsilną nienawiść do mieszkańców wsi, którzy stali się jego dręczycielami, polowali na niego, chcieli go ubezwłasnowolnić. Gdyby mógł się zmierzyć z nimi na równych zasadach, stanąć do walki jak mężczyzna z mężczyzną, wszystko by się wyjaśniło. Prawo wzięło jednak nad nim górę i Huttunen został złamany, upokorzony. Stał się bezbronnym samotnikiem, któremu odebrano wszystko. Jedzenie, nawet miłość. Rozpoczęto za nim pościg jak za przestępcą, odjęto chleb od ust, śledzono ukochaną, jakby była jakimś szpiegiem.

Odpocząwszy, Huttunen postanowił wypuścić się na wody Sivakkajoki i łowić ryby przez dzień albo dwa. Tutaj, przy obozie, nie udało mu się złapać w sieci już poza szczupakami. Był przekonany, że wody górnego biegu rzeki pełne są ryb, zabrał więc ze sobą czerwone muchy i kilka przezroczystych błyszczaków. Zapakował też sól i chleb. Pomyślał, że zaspokoi głód złowionymi w rzece rybami. Za pas wsunął siekiere. Smutno mu było zostawiać piękny Cypel Domowy, ale teraz, latem, musiał wykorzystać każdą chwilę na połów, żeby zabezpieczyć się na przyszłość, bo przecież mógł się spodziewać jeszcze większej biedy niż do tej pory. Idąc wzdłuż brzegu w górę rzeki, przeklinał Vittavaarę:

- Pies na bułki się znalazł, żeby go diabli wzięli!

W pokoju naczelnika grano w karty. Jaatiia zaprosił lekarza Ervinena i kupca Tervolę na wieczorną rozgrywkę w domowym zaciszu. Najpierw były drętwe gry towarzyskie, ale kiedy lekarz Ervinen nalał kilka razy z rzędu mocnego spirytusu do kieliszków na sherry, postanowiono kontynuować spotkanie, umilając sobie wieczór pokerem otwartym.

W pewnej chwili w drzwiach saloniku pojawiła się dziewczyna, którą żona naczelnika nazywała pomocą domową, ukloniła się niechętnie i oznajmiła, że jakiś mężczyzna chce rozmawiać z gospodarzem. Ponieważ Jaatiia nie zamierzał przerywać gry, więc nie przeszedł do kancelarii, tylko kazał służącej wprowadzić gościa do pokoju. Miał właśnie w garści trzy damy, poza tym dwie na stole, a jedną odwróconą jako zapasową. Na kupce pozostała ostatnia karta. Wiedział już, że wygrał z Tervolą, ale Ervinen, żeby go pokreśliło, mógł mieć jeszcze trójki. Naczelnik licytował jednak z taką pewnością siebie, że twarz lekarza wydłużyła się mocno. Z drugiej strony potrafił on nieźle udawać zasmuconego, Szczwany z niego lis - pomyślał Jaatiia.

Właśnie wtedy do pokoju wszedł mężczyzna zalatujący dymem i surową rybą. Naczelnik spytał, z czym przychodzi o tej porze. Mężczyzna odrzekł, że łowił ryby w okolicy Reutuvaary, oczywiście na wodach państwowych.

- No i złowiliście coś? - rzucił naczelnik w roztargnieniu, wyciągając ostatnią kartę. Była to szóstka kier, a więc nie dama, której mu brakowało. Postanowił nie zdradzać się z tym

jeszcze przed pozostałymi graczami. Po wyciągnięciu ostatniej karty miał najlepsze rozdanie - dwie damy na ręce. Kupiec zrezygnował, natomiast Ervinen, który - jak się wydawało - przygotowywał jakąś niespodziankę w jednym kolorze, przebił i zaczął na dodatek licytować. Dorzucił do kupki tyle pieniędzy, że mógłby za nie kupić porządny karabin.

- A złowiło się rybę - powiedział stojący na progu mężczyzna, wyciągając szyję, żeby śledzić przebieg gry. Zza pleców Ervinena widział karty, miał jednak taką minę, że nie można było wywnioskować, jaką grę prowadził doktor. Naczelnik popatrzył rybakowi w oczy, uniosł brwi, ale przybysz odwrócił głowę.

- A więc ryba szła - zagadnął Jaatila i przebił Ervinena. Kiedy wszyscy pokazali karty, okazało się, że lekarz blefował. Jego lewa składała się przede wszystkim z bezużytecznej dwójki pik. Brutalna rzeczywistość była taka, że cała wygrana przeszła w ręce naczelnika. Ten nalał spirytusu wszystkim, z wyjątkiem rybaka stojącego w drzwiach, do którego zwrócił się oficjalnym tonem:

- Jaką ma pan do mnie sprawę?

Mężczyzna powiedział, że na brzegu Sivakkajoki, pod Reutuvaarą znalazł nową tratwę ze świerkowych bali.

- Nie miałem pojęcia, kto mógł ją zbudować, a kiedy rozejrzałem się po okolicy, to odkryłem cały obóz, dopiero co założony. I właśnie przyszedłem powiedzieć panu naczelnikowi, że na brzegu rzeki jest leśny szałas.

Jaatila nie rozumiał za bardzo, co on może mieć wspólnego z jakimś tam obozem.

- Przecież tratw i szałasów jest pełno w puszczy. Po jakiego diabła zawracacie głowę władzy?

Rybak wycofał się speszony za drzwi, skąd mówił przepaszającym tonem:

- Ja tylko pomyślałem, że może to Kunnari Huttunen, ten kopnięty młynarz, zbudował sobie schronienie. Bo słyszałem we wsi, że uciekł z domu wariatów i chowa się gdzieś w lesie.

Ervinen od razu się ożywił i kazał rybakowi wrócić. Zapytał, jak wygląda ten obóz.

- Całkiem nowy i porządnie zrobiony. Stoi tam szałas. Ktoś narąbał nawet świerkowych polan na kilka tygodni naprzód. Zrobił też małą szopkę z pnia sosnowego. W lesie jest też wychodek, i tratwa na brzegu, jak już mówiłem na początku.

- Na czyją robotę to wygląda, znaczy się ta tratwa i inne budynki? - zapytał naczelnik.

- Całkiem, jakby zrobił je cieśla. Wychodek też jest wykończony. Na brzegu stoją słupki do suszenia sieci na ryby - jednej lub dwóch.

- To on - stwierdził Ervinen. - Młynarz ma zręczne ręce, chociaż z motoryką nie jest u niego najlepiej. To co, może pójdziemy schwytać go od razu, na gorąco?

Naczelnik zadzwonił do policjanta i kazał mu zaalarmować natychmiast kilku gospodarzy i przyjść z nimi do jego służbowego mieszkania. Niech zabiorą broń. Pojadą wszyscy dwoma samochodami.

Po pół godzinie na podwórku u naczelnika zebrała się grupka mężczyzn: Portimo, Siponen, Vittavaara, nauczyciel Tanhumaki, a i parobkiem Launolą nie pogardzono. Do samochodu lekarza wsiadł Siponen, Vittavaara i Launola, pozostali jechali autem naczelnika. Zabrali też śmierdzącego rybą donosiciela, żeby pokazywał drogę.

W wielkim pędzie dotarli do rozwidlenia w Reutuaapie i tam wysiedli. Wieczór już nadszedł, ale było jeszcze jasno.

Po drodze naczelnik wydawał krótkie rozkazy. Oświadczył, że powinni zaskoczyć Huttunena. Okrążą więc obóz, zniszczą go i wezmą młynarza do niewoli. Rybak może być przewodnikiem. Muszą poruszać się bezgłośnie, żeby zbieg się nie przestraszył i nie uciekł.

- Można do niego strzelać, jak będzie uciekał w las? - zapytał naczelnika Siponen, potrząsając groźnie jednolufową bronią myśliwską.

- Starajmy się strzelać w górę, ale jak zaatakuje, to w obronie własnej można strzelać. Najpierw w nogi, a dopiero potem w głowę albo w brzuch.

Grupa dotarła do Sivakkajoki przed północą. Mężczyźni rozeszli się, uformowali szeroki szpaler i poszli w górę rzeki, gdzie według rybaka miał być położony obóz. Szybko dotarli do tratwy znajdującej się przy brzegu.

- Ktoś ją przeciągnął w dół rzeki - wyjaśnił przewodnik.

Naczelnik rozkazał szeptem, żeby część przybyłych okrążyła obóz, idąc przez las, a część stanęła na straży po tej stronie. Brzegu nie zabezpieczono, gdyż wydawało się jasne, że Huttunen nie będzie taki głupi, żeby rzucić się w tym kierunku, bo za rzeką znajdowało się grząskie bagno. Okrążono obóz, nie robiąc hałasu, i zajęto pozycje. Naczelnik dmuchnął w gwizdek na znak, że przystępują do zaciskania pętli. Mężczyźni poruszali się na czworakach i czołgali po mokrej ziemi. Spodnie im przemokły, ale sytuacja była tak ekscytująca, że nikt nie narzekał.

Po pół godzinie łańcuch wokół obozu się zamknął. Naczelnik dał sygnał do szturm. Dziesięciu uzbrojonych ludzi wypadło z ciemnego gąszczu, strasznie krzycząc i hałasując.

Obóz okazał się jednak pusty. W szalacie nie było nikogo. Wpuszczono ich w maliny... Oddział w bojowym nastroju okrążył rybaka i zaczął podważać wiarygodność donosu. Ten oznajmił na wszelki wypadek, że idzie do domu, i zniknął w lesie.

Vittavaara wyciągnął z szopy plecak i wysypał jego zawartość. Obejrzał dokładnie każdy przedmiot, jakby chciał się przekonać, czy należy do Huttunena. Portimo zerknął na

plecak i stwierdził krótko, że tak. Plecak jest własnością Kunnariego.

- Miał taki sam przy sobie zeszłej zimy, jak we dwójkę polowaliśmy przez kilka niedziel na cietrzewie w Puukkokumpu. Za każdym razem ustrzeliliśmy pięć ptaków. I pomyśleć, że żaden z nas nie miał nawet psa.

Naczelnik odezwał się ze złością do Portimy:

- Ładnych to kolegów dobierasz sobie na polowania, ty, policjant!

- Wtedy Kunnari nie był jeszcze uciekinierem z domu wariatów - bronił się Portimo.

Naczelnik wyznaczył jednego z ludzi do pilnowania obozu. Pozostali wycofali się do lasu. Nikomu nie wolno było zapalić papierosa ani szepnąć słówka. Musieli leżeć cicho w ciemnych ostępach i czekać, aż Huttunen wróci. Naczelnik miał nadzieję, że młynarz opuścił obóz tylko na krótko, więc zasadzając się na niego, mogą go jeszcze przyłapać.

Jednak na darmo tkwili w krzakach bez ruchu całą noc, bo Huttunen się nie pojawił. Z zeszywniałymi od zimna i wilgoci członkami mężczyźni schodzili się jeden po drugim do obozu, gdzie odbyto nową naradę.

- Niepotrzebnie tutaj czekamy - mówił Ervinen zniechęcony. - Dowiedział się o naszej zasadzce... Może teraz patrzy na nas z jakiegoś drzewa i naśmiewa się. Ja w każdym razie nie zamierzam dłużej leżeć w mokrym bagnie z powodu jakiegoś wariata.

Launola poparł nieśmiało lekarza. Siponen napadł na parobka:

- Będziesz chodził za Huttunenem nawet do Bożego Narodzenia, jak każe. Płacę ci za to, cholera jasna!

- Można być parobkiem, ale to nie znaczy, że trzeba robić, co tylko innym przyjdzie do głowy. Przecież takiej pracy nie da się porównać do zbierania siana ani do rąbania drewna. Tutaj jest jak na wojnie w Syvari.

Naczelnik rozstrzygnął spór. Stwierdził, że chyba nie warto dłużej pilnować tego terenu. Młynarz dostał skądś cynk i jest już daleko stąd. Jaatila zarządził więc zniszczenie obozu. Grupa przystąpiła ochoczo do działania.

Vittavaara zarzucił sobie na ramię plecak Huttunena. Siponen rozwalił szałas i zawlókł gałęzie sosny do rzeki. Ervinen i nauczyciel rozebrali szopkę. Drewno wrzucili do wody. Launola dostał polecenie zlikwidowania wychodka na zboczu wzgórza. Miał też zasypać znajdujący się tam dół. Przedtem jednak naczelnik oszacował ilość odchodów Huttunena, bo na tej podstawie mógł się zorientować, jak długo młynarz mieszkał w obozie. Kamienie z ogniska leżące na brzegu rzeki zepchnięto do wody, przecięto ruszt brzozy służyący do gotowania i połamano słupki do suszenia sieci. Żeby dzieło zniszczenia zostało dopełnione, puszczoneo tratwę Huttunena z prądem. Jediną rzeczą, której nie udało im się całkowicie zlikwidować, był

kalendaryz samotnika wycięty w korze sosny.

- Ostatni znak zrobiono ostrzem noża dwa dni temu - stwierdził naczelnik, porównując datę z zapiskami w swoim kalendarzu. - Nie mając wyposażenia, Huttunen będzie musiał się pojawić we wsi - rozważał Jaatila. - Wzywam wszystkich tu obecnych do zachowania szczególnej czujności przez następne dni. Dla dobra mieszkańców okolicy musimy zatrzymać niebezpiecznego, chorego psychicznie człowieka jak najszybciej i dostarczyć go bezzwłocznie do szpitala.

Zakończywszy dzieło destrukcji, grupa mężczyzn wyruszyła w drogę powrotną. Właśnie wtedy nadszedł z góry rzeki Huttunen, niosąc do obozu złowione ryby ważące co najmniej dziesięć kilo. Był zadowolony, bo myślał, że zaraz po przyjeździe do Cypla Domowego ugotuje sobie mocnej kawy.

Widok zniszczonego obozu rozwścieczył Huttunena. Wszystkie konstrukcje, które wznosił, zostały unicestwione. Zabrano mu cały dobytek, niczego nie zostawiając na swoim miejscu. Chociaż przejrzał dokładnie obóz, to nie znalazł ani jednej rzeczy zdanej do użytku. Tratwę spuszczone na wodę z prądem i nawet wychodek został porąbany na drobne kawałki, a dół pod nim dokładnie zasypany.

Z ust Huttunena posypały się straszliwe przekleństwa.

Znowu znalazł się w ślepych zaułku. Wiedział, że trudno mu będzie ukrywać się długo na pustkowiu bez odpowiedniego wyposażenia, które jest tak potrzebne obozującemu, bez żadnej ochrony w dziewiczym lesie. Zostało mu tylko ubranie, które miał na sobie, kilka spławików, mucha na przynętę, nóż i siekiera.

Odgadł, że to ludzie ze wsi wraz z naczelnikiem znaleźli i zniszczyli jego obóz. Ścisnął trzonek siekiery, aż zbieleły mu kostki palców, i wpatrywał się w błyszczące ostrze z żądzą mordy na twarzy.

Nadział kawałek ryby na patyk i upiekł w płomieniach ogniska. Było to bardzo skromne jedzenie, bo zarekwirovano mu nawet sól znajdującą się w plecaku. Zmartwiony przełknął zwęgloną i niesioną rybę, którą popił wodą z rzeki.

Pozostałe ryby wrzucił do popiołu w ognisku i opuścił Cypel Domowy. Noc spędził na szczycie Reutuvaary, śpiąc na sosnowych gałęziach. Koło północy obudził go przejmujący chłód, więc wdrapał się na najwyższą skałę i patrzył gniewnie w kierunku wsi.

Mieszkańcy spali spokojnie. Ci sami ludzie, którzy zniszczyli jego obóz, rozkoszowali się właśnie ciepłem swoich łóżek. Huttunen zawył groźnie, najpierw niskim tonem, potem z całych sił, ostro, jak pozbawiony rozumu. Pełne szaleństwa dźwięki przeszyły letnią noc, wydostały się z lasu i dotarły aż do kościoła. Usłyszawszy wycie, psy we wsi się zbudziły i

przeżalone, ze zjezoną sierścią zaczęły ujadać. Wkrótce słyhać było jak wszystkie, nawet najmniejsze kundły szczekały i zawodziły z całych sił, chcąc koniecznie odpowiedzieć na przenikliwy skowyt Huttunena dolatujący ze skał Reutuvaary. Ich ujadanie odbijało się echem w położonej w oddali sąsiedniej wsi, a okoliczna zwierzyna krążyła niespokojnie, dopóki młynarz nie zasnął nad ranem, leżąc na sosnowych gałęziach ułożonych na szczycie Reutuvaary.

Tej nocy nikt we wsi nie spał. Wielu gospodarzy przysłuchiwało się zawodzeniu Huttunena, stojąc w samych skarpetach na schodach. Wróciwszy do domu, mówili żonom:

- To Kunnari tak wyje.

Żony narzekały przestraszone, twierdząc:

- Trzeba było zostawić go w spokoju. Skarży się biedak, bo ukradziono mu wszystkie rzeczy.

Rano naczelnik Jaatila zadzwonił do Siponena i nakazał, żeby Sanelma Kayramó stawiała się w jego biurze na przesłuchanie.

Naczelnik nie potrafił jednak wydobyć od niej niczego konkretnego. Sanelma nie wiedziała, gdzie przebywa obecnie młynarz. Jaatila ostrzegł instruktorkę oficjalnie, żeby nie chroniła już więcej zbiega. Podkreślił, że jest to karalne. Huttunen potrzebuje teraz opieki lekarskiej, a życie mieszkańców wsi musi się unormować. Naczelnik ziewał, pił mocną kawę, bo nocne hałasy spowodowane przez Huttunena i psy nie pozwalały spać także przedstawicielowi władzy.

W dzień Jaatila i Portimo wyruszyli z psami do Reutuvaary na poszukiwanie śladów Huttunena. Zwierzęta nie rozumiały jednak, że powinny iść za jego zapachem i nie pobiegły tropem młynarza mimo podsuwania im pod nos jego rzeczy. Natomiast zabrały się z zapałem do obszczekiwania wiewiórki na zboczu Reutuvaary. Zdenerwowany naczelnik strzelił do niej z pistoletu, chociaż skórka wiewiórcza na nic by mu się nie przydała. Z krótkiej broni trudno mu było jednak trafić zwierzątko. Musiał więc strzelać raz po raz. W końcu opróżnił cały magazynek, celując do kawałka futerka, które uciekało z drzewa na drzewo, mając po obu stronach psy. Rozwścieczony Jaatila biegł za wiewiórką z takim zapamiętaniem, że słyhać go było na całej górze. Nie udało mu się jednak jej upolować, bo skończyły się naboje. W końcu policjant Portimo zestrzelił wiewiórkę z dubeltówki ku ogromnej radości psów. Podał zakrwawione zwierzątko naczelnikowi, ale przełożony nie chciał przyjąć podarunku, tylko wściekły wyrzucił puszysty zezwłok w krzaki.

Ponieważ naczelnik nie mógł wywołać psów z lasu, więc zostawił w Reutuvaarze Portimę, żeby zwabił rozszalałe kundły i przyprowadził ze sobą. Wróciwszy do wsi, Jaatila

musiał wyjaśniać napotkanym mieszkańcom powody strzelaniny. Przygnębiony wycofał się do kancelarii.

Właśnie w tej chwili zadzwoniono ze szpitala psychiatrycznego z Oulu i zapytano, czy jest w pobliżu neurasteniczny pacjent, niejaki Huttunen. Naczelnik wydyszał do słuchawki, że jeszcze go nie złapali, chociaż w tej sprawie zrobiono już naprawdę dużo.

- Po jakiego diabła wypuściliście tego czubka na wolność? Podobno wasz szpital zbudowany z porządnej cegły jest zakładem zamkniętym, a pozwalacie człowiekowi wyjść sobie, ot tak! Powinniście lepiej pilnować tych swoich kopniętych wariatów - wykrzyczał do telefonu.

Po drugiej stronie oznajmiono mu sucho, że wyżej wymieniony chory psychicznie wcale nie mieszkał wcześniej w Oulu i pochodzi właśnie z tej wsi. Widocznie głupcy pracują też w innych zawodach, nie tylko w młynie, a złapanie pacjenta należy do zadań naczelnika. Taka jałowa i nieprzyjemna wymiana zdań na temat, kto ponosi odpowiedzialność za Huttunena, była prowadzona jeszcze przez dłuższy czas, aż naczelnik w furii rzucił słuchawkę.

Następnego dnia Huttunen nie wył. Przyszedł do wsi, przemknął się za domami i poszedł do Suuskoski po trochę warzyw ze swojego ogródka - rzepę i marchewkę - żeby chociaż trochę zaspokoić głód. Nie wszedł do środka młyna, bo bał się, że ktoś może tam być na straży.

Stary pies Siponena nie obudził się, kiedy Huttunen skradał się od lasu w stronę domu. W izbie i alkwie wszyscy spali, ale na piętrze paliło się światło. Widocznie instruktorka czuwała. Huttunen rzucił małym kamykiem w okno i ukrył się w oczekiwaniu za krzakami porzeczek. Wkrótce światło w pokoju zgasło, a okno otworzyło się i pokryta kręconymi włosami głowa konsultantki wychyliła się na zewnątrz. Kobieta spoglądała na podwórko ze łzami w oczach. Huttunen pokazał się ukochanej zza krzaków i szepnął:

- Czy podjęłaś, kochana Sanelmo, pieniądze z banku? Rzuć mi portfel na dół!

Smutna instruktorka pokręciła przecząco głową, wyszeptała coś w odpowiedzi, ale ponieważ Huttunen nic nie usłyszał, rzuciła na podwórko mały kawałek papieru. Młynarz pochwycił papier, na którym było napisane:

- ... Kasa nie zgadza się na przekazanie oszczędności Pana ani odsetek... Z poważaniem - oddany Panu A. Huhtamoinen, dyrektor banku”.

Huttunen nie mógł zrozumieć. Zdenerwowany podniósł głowę, szeptał, pytał i nawoływał, aż z drugiej strony domu na podwórku obudził się pies Siponena i zaspany zaczął ujadać.

Sanelma Karamó przestraszyła się, skreśliła kilka słów i rzuciła list Huttunenowi. Było tam napisane: „Kochany Gunnarze. Spotkajmy się jutro o godz. 6 po południu w lesie, gdzie

Vittavaara zostawia mleko do mleczarni”.

Samotnik wycofał się do lasu, żeby przemyśleć sytuację. Szczekanie psa obudziło Siponena. W gaciach i z dubeltówką w ręce zszedł na podwórko, sprawdził szopę i saunę, nasłuchiwał długo dźwięków rozchodzących się letnią nocą. Spojrzał na las, w kierunku gdzie szczekał pies, ale kiedy zwierzę się uspokoiło, krzyknął na nie i wrócił do domu w pośpiechu.

W lesie Huttunen zjadł trochę rzepy, odkrawając sobie kawałki nożem. Zastanawiał się, dlaczego dyrektor banku nie zgodził się wydać konsultantce jego pieniędzy. Jakim prawem postąpił tak po świńsku? Huttunen poczuł nienawiść do banku. Zakopał resztki rzepy w lesie i popędził wprost do Kasy Oszczędnościowej.

Wiejski bank mieścił się na parterze dwupiętrowej kamienicy. Na górze mieszkał dyrektor Huhtamoinen z żoną i dziećmi i chyba jakiś urzędnik, bo całe piętro wydawało się za obszerne dla jednej rodziny. Huttunen obejrzał budynek, w którym znajdowała się kasa, a w niej należące do niego środki finansowe. Pomyślał, że mógłby włamać się tam i wziąć co swoje, ale stwierdził, że nie może przecież dostać się do sejfu, bo nie ma dynamitu. Lepiej przyjść w godzinach urzędowania i wtedy załatwić sprawy. Mimo to nie warto tam iść bez uzbrojenia. W tym wypadku zwykła siekiera wydawała się zbyt delikatnym narzędziem. Z pewnością łatwiej będzie pokwitować odbiór należności w kasie z karabinem w ręce.

Huttunen przypomniał sobie wspianą kolekcję broni Ervinena. Jak zwędzi jedną strzelbę, to nie sprawi tym doktorowi większych kłopotów. Zostanie mu przecież jeszcze wystarczająco dużo broni na własne potrzeby, zwłaszcza że nie nadszedł jeszcze okres polowań.

Następnego ranka Huttunen spotkał się z instruktorką w lesie, gdzie Vittavaara zostawiał mleko. Kobieta była tak przestraszona, że aż drżała. Gunnar szeptał miłosne słówka do ucha wylężnionej instruktorki, objął ją w pól, jakby chciał chronić, uspokajał i wypytywał, co się stało. Sanelma opowiedziała o strasznych wydarzeniach, które rozegrały się od ich ostatniego spotkania. Chciała dać młynarzowi pieniądze, ale ich nie przyjął.

- Moje biedactwo, masz tak małą pensję, że nic od ciebie nie wezmę. Sam sobie odbiorę własne oszczędności.

I zaczął namawiać instruktorkę, żeby później, wieczorem, zadzwoniła do doktora Ervinena i wezwała go pilnie do oddalonej o dwadzieścia kilometrów miejscowości Kantojarvi.

- Powiedz, że u służącej w Puukkokumpu będzie poród kleszczowy i niezbędna jest pomoc lekarska.

Ponieważ instruktorka się dziwiła, czemu musi opowiadać takie kłamstwa, Huttunen wyjaśnił, że zależy mu, aby doktor wyszedł z domu na jakiś czas. Jeżeli pojedzie z wizytą do

chorej do odległej wsi, to on zdąży spokojnie rozejrzeć się w jego służbowym mieszkaniu.

- Muszę zdobyć pigułki uspokajające, które ma doktor. Trzyma leki za kominkiem w szafie. Widziałem, jak je stamtąd wyciągał ostatnim razem.

Sanelma Kayramó zdawała sobie sprawę, że Huttunen potrzebuje czegoś na uspokojenie. Mimo to się wahała:

- To jednak jest kradzież... i nie można anonimowo wzywać lekarza. A jak w Kantojarvi nikt nie rodzi albo nie mają w ogóle takiej służącej?

Huttunen przekonał instruktorkę, żeby zrobiła, o co prosi. Przecież w gruncie rzeczy chodzi pośrednio o wykonywanie obowiązków lekarza. Huttunen jest, jakby na to nie patrzeć, chory. Nikt nie może zaprzeczyć. Oczywiście poruszają się trochę po zakazanym „terenie, ale sytuacja stała się przymusowa i nie mają wyboru. Głowa Huttunena nie wytrzyma długo takiego napięcia. A jak pójdzie kupić lekarstwo do apteki, to od razu zakują go w kajdanki, odstawią do aresztu i pierwszym pociągiem odstawią natychmiast w więźniarce do szpitala psychiatrycznego. Prawda, że tak to wygląda?

Sanelma obiecała zadzwonić do Ervinena jeszcze tego samego wieczoru. Bała się, że doktor pozna ją po głosie, ale Huttunen powiedział, że kobieta zawsze potrafi zmienić głos, tak samo jak wielu mężczyzn potrafi opowiadać przeróżne historie.

- W takim razie zadzwonię. Nie będę nic mówić o służącej w Puukkokumpu, ale wiem, że w Kantojand jest jedna ciężarna, Leena Lankinen. Powiem, że grozi jej poronienie.

Instruktorka opowiedziała, co się wydarzyło w banku i jak naczelnik przesłuchiwał ją ostro, a nawet groził.

- Czemu cię tak dręczą, ciebie, niewinną? Przecież to nie ty uciekłaś ze szpitala wariatów! Ty jesteś całkiem zdrowa! Zostawiliby chociaż kobiety w spokoju! Nie wystarczy im, że polują na mnie dzień i noc?

Przed rozstaniem instruktorka dała Huttunenowi całusa i ćwierć kilo wędzonej słoniny, a potem zostawiła w lesie, całkiem wytrąconego z równowagi, z wyśmienitym kawałkiem wędzonki i wspomnieniem jej gorących warg na swoich ustach. Kiedy Sanelma odjechała, samotnik rozwinął pergamin i zjadł kawałek wieprzowiny razem ze skórą, bo tak był wyłodniały.

26

Zegarek kieszonkowy Huttunena wskazywał ósmą. Zbieg zaczął się w lesie, za domem doktora. Niedługo Ervinen powinien wyjść w pośpiechu, bo niebezpieczeństwo poronienia w Kantojarvi zbliżało się wielkimi krokami.

Trochę po ósmej poirytowany Ervinen wypadł z domu, spiesząc się wyraźnie. W ręce

trzymał torbę lekarską, na nogach miał gumowce. Sanelma Kayramó zrobiła, co należało.

Ervinen uruchomił auto i pojechał szybko w kierunku Kantojarvi. Jak tylko samochód lekarza zniknął z pola widzenia, Huttunen podszedł do domu i nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Musiał więc wejść przez okno od piwnicy.

Dostawszy się do środka, wtargnął do pokoju z kominkiem, żeby wybrać sobie porządną broń myśliwską. A wybór był duży. Na ścianie wisiała broń na śrut, mały karabinek, karabin na łosie, sztucer oraz broń kombinowana z dwiema lufami: jedną na śrut, drugą na kule. Huttunen postanowił wziąć tylko sztucer. Znalazł do niego w szufladzie biurka dużo nabojów. Taka broń odpowiadała obecnym potrzebom Huttunena. W razie nagłego wypadku sztucer mógł posłużyć nawet do powalenia łosia i nie był też za duży na ptactwo.

Huttunen postanowił za jednym zamachem zwędzić Ervinenowi także inne przedmioty. Właściwie to nie uważał tego za kradzież. Pomyślał, że jak trafi się okazja, to wynagrodzi doktorowi straty. Teraz sytuacja zmuszała go do mijania się z prawem. Przecież nie przetrwa w lesie bez porządnego wyposażenia. Poza tym wszystko było w zasięgu jego ręki i nikt nie mógł mu przeszkodzić w zabraniu tego, co potrzebne. To naczelnik, mieszkańcy wsi i przede wszystkim Ervinen zarekwirowali mu cały majątek. Teraz on chce zrobić to samo, nic gorszego.

Doktor miał świetny plecak, lepszy niż ten, który skradziono Huttunenowi. Właściwie to słuszne, że lekarz ma porządniejszy plecak niż zwyczajny młynarz. Sprzęt do łowienia ryb też był jak trzeba. Ervinen mógłby wprawdzie dokupić sobie więcej much, ale za to wybór spławików prezentował się okazale.

Naczyń przydatnych do obozowania doktor miał tak dużo, że Huttunenowi trudno się było zdecydować. Wrzucił wszystko do plecaka, przyniósł z sypialni gęsto tkany koc, zwinął w rulon i umocował na wierzchu. Ze ściany ściągnął nową, silnie powiększającą lornetkę. Potem przejął na własność kompas i atlas, w którym znajdowały się dokładne mapy topograficzne terenu.

Po zapakowaniu wszystkich potrzebnych rzeczy do plecaka Huttunen ogarnął wzrokiem mieszkanie, jak to robią zazwyczaj ludzie wychodzący z domu, żeby sprawdzić, czy czegoś nie zapomnieli. Przyszło mu na myśl, że grzecznie byłoby zostawić na stole wiadomość wyjaśniającą, kto opróżnił dom i dlaczego. Ale przypomniał sobie całkiem zniszczony obóz i skomentował gniewnie swój pomysł:

- Mnie nikt nie zostawił żadnej kartki z przeprosinami na skraju Reutuuaapy, no to niech ten łobuz odczuje na własnej skórze, jak to jest! Wcale nie musiał wystawiać mi wariackich papierów.

Wyszedł z domu tą samą drogą, którą się tam dostał. Bezszelestnie wycofał się z podwórka do lasu i omijając wieś, podążył w kierunku Kemijoki. Następną noc powinien spędzić po zachodniej stronie rzeki, bo na pewno będą go szukać w lasach Reutuvaary Kemijoki można było przepłynąć tylko publicznym promem państwowym. Musiał więc zabrać jakąś łódź zakotwiczoną przy brzegu. Przepłynął nią na drugą stronę i ukrył potem w zaroślach odnogi rzecznej. Oddalił się kilka kilometrów od brzegu, dotarł do gęstej brzeziny i tam przenocował owinięty w koc doktora Endnena. Rano powrócił do łodzi, mając przy sobie tylko broń i kilka garści nabojów. Zepchnął łódź na wodę.

- Trzeba pójść do banku.

Jak duch krążył między drzewami i w końcu znalazł się za budynkiem, w którym zarządzano finansami mieszkańców wsi. Było jeszcze wcześnie, więc zastał bank zamknięty. Postanowił poczekać, aż nadejdzie czas urzędowania. Naładował sztucer i trzymał go w pogotowiu.

Natychmiast po otwarciu banku wszedł do środka z bronią w ręku. Urzędnicy przestraszyli się, buchalter podskoczył i pomknął jak strzała na tyły, żeby wezwać Huhtamoinena. Pozostał tylko kasjer, któremu twarz zbieleła ze strachu przed śmiercią, bo chory na umyśle człowiek ze sztucerem wywoływał całkiem uzasadniony niepokój. Huttunen nie zaczął jednak od strzelaniny, tylko oznajmił wszystkim spokojnie:

- Przyszedłem podjąć swoje oszczędności. Wszystkie, razem z odsetkami.

Dyrektor Huhtamoinen wpadł do sali. Był wstrząśnięty, próbował mediować:

- Pan Huttunen! A to niespodzianka... Pana pieniądze znajdują się, owszem, na pana koncie, mamy je tu, w sejfie, ale właściwie nie powinienem ich wypłacać...

Huttunen przeładował broń.

- Wydaje mi się, że te pieniądze należą do mnie. Nie chcę wziąć cudzych oszczędności, tylko swoje.

Huhtamoinen bełkotał przerażony:

- Nie istnieją żadne podstawy, żeby kwestionować fakt, że ma pan tu konto oszczędnościowe i pieniądze też... ale zostały one zablokowane. Rada Opiekuńcza gminy przelała je na własny rachunek. Z Oulu wysłano do gminy dokumenty, z których wynika, że ustanowiono nad panem jakby nadzór... Powinien pan uzyskać pozwolenie od rolnika Vittavaary, jeżeli chce pan podjąć pieniądze. Zadzwoń do niego, może pozwoli mi wypłacić panu oszczędności.

- Nikt nie będzie nigdzie dzwonił. Na pewno by pan wykręcił numer naczelnika policji. I co, psiakrew, Vittavaara ma wspólnego z moimi pieniędzmi? Nie dosyć mu własnych lasów i

drzew?

Dyrektor banku wyjaśnił, że Vittavaara jest przewodniczącym gminnej Rady Opiekuńczej i w tym charakterze podejmuje decyzje dotyczące własności osób objętych nadzorem.

- A tak poza tym, ja oczywiście nie mogę się wtrącać do spraw związanych z rachunkami - przysięgał Huhtamoinen.

- Ja jednak postanowiłem podjąć pieniądze teraz. Gdzie mam się podpisać?

Trzęsący się urzędnik podał dokument do pokwitowania, Huttunen wpisał tam swoje nazwisko i datę. Huhtamoinen położył pieniądze na blacie. Dużo ich nie było, ale starczało, by przeżyć kilka miesięcy.

Z zaplecza dobiegł głos buchaltera. Huttunen zajrzał tam, by sprawdzić, co się dzieje, i stwierdził, że urzędnik rozmawia przez telefon. Młynarz oznajmił mu, że nie jest to odpowiednia chwila, żeby dzwonić do kogokolwiek. Przestraszony buchalter odłożył słuchawkę.

Załatwiwszy swoje sprawy finansowe, Huttunen zapowiedział Huhtamoinenowi, że jeżeli kiedyś będzie miał wolne środki, to na pewno nie przyniesie ich tutaj, tylko zainwestuje w obligacje państwowe.

- Nie dowierzam takim bankom, w których bez karabinu nie można mieć dostępu do własnego rachunku.

Huhtamoinen próbował załagodzić sytuację:

- To nie jest w żadnym wypadku wina banku. My musimy jedynie przestrzegać prawa i zarządzeń władzy, nawet jeżeli miałyby to być czasem nieprzyjemne i niegrzeczne... W tym wypadku nastąpiło wielkie nieporozumienie. Panie Huttunen, proszę nie tracić do nas zaufania. Ja nawet nie nazwę tych wydarzeń rabunkiem, właściwie odbiegają one bardzo daleko od tego. Gdy w przyszłości wyjaśnimy sobie wszystko, to zapraszam pana serdecznie znowu do naszego banku. Stałego klienta traktuje się u nas jak przyjaciela, może być pan o tym przekonany. Wierzę też, że istnieją szanse, by porozmawiać o możliwości udzielenia panu kredytu... oczywiście w późniejszym terminie. Huttunen wyszedł i zniknął szybko w lesie. W banku jeszcze długo pracownicy otrząsali się z wielkiego szoku, który ich sparaliżował. Buchalter dodzwonił się w końcu do naczelnika. Dyrektor pofatygował się sam, żeby złożyć doniesienie. Powiedział, że chwilę temu uzbrojony w karabin młynarz Gunnar Huttunen wtargnął do banku.

- Obrabował bank. Łup nie jest zbyt duży i pokrywają go oszczędności Huttunena. Ale napad na bank to poważne przestępstwo, więc mam nadzieję, że zwołasz grupę ludzi i

wyruszy w pościg. Huttunen poszedł chwilę temu do lasu.

27

Młynarz biegł przez lasy otaczające wieś aż na brzeg Kemijoki. Wskoczył do łodzi i płynął w górę rzeki mimo wartkiego prądu tak szybko, że aż wiosła furczały. Naczelnik na pewno zaczął organizować wielką obławę, więc nie było czasu do stracenia.

Wiadomość o wyczynach Huttunena w banku zdążyła już dotrzeć na zachodni brzeg rzeki, bo przy promie zgromadziło się mnóstwo samochodów. Około dwudziestu ludzi znajdowało się już na pokładzie, a niemal każdy miał na plecach karabin. Wiosłując, Huttunen minął statek w odległości stu metrów. Pasażerowie zaczęli do niego wołać:

- Hej, człowieku! Przyjdź do kościoła! Kunnari Huttunen obrabował bank! Wykradł Ervinenowi sprzęt do wędkowania i strzelbę!

Ponieważ Huttunen nie odpowiadał i dalej wiosłował, jeden z mężczyzn stwierdził:

- Nie słyszy. Krzyczcie głośniej!

Ludzie na promie zaczęli wrzeszczeć z całej siły, więc Huttunen musiał się zatrzymać i odpowiedzieć. Naciągnął czapkę z daszkiem na oczy i odkrzyknął:

- Wpadnę tylko do Asemakylä i zaraz będę z powrotem! Odpowiedź uspokoiła mężczyzn. Jak tylko zniknęli Huttunenowi z oczu, ten wciągnął łódź do rowu i pobiegł do lasu. Spieszył się bardzo. Szczęście, że ludzie płynący promem nie rozpoznali go.

W lesie odszukał plecak. Chwilę badał mapy Ervinena i obrał kierunek na puszcę położoną po zachodniej stronie Kemijoki. Skierował się do pagórka Puukkokumpu. Z trzech stron otaczały go wielkie tereny bagienne, a z jednej płynął niewielki, kręty potok Puukkopuro. Zbieg miał do pokonania około dziesięciu kilometrów. Uznał, że tam będzie bezpieczny, przynajmniej na razie. Żeby przeczesać obszar aż do Puukkokumpu, naczelnik musiałby zwołać do lasu setki mężczyzn. Zresztą pościg rozpocznie się na pewno po wschodniej stronie Kemijoki, na bagnach Reutuaapy.

Cały dzień Huttunen odpoczywał w Puukkokumpu. Stosownie do nazwy było to wysokie wzgórze porośnięte strzelistymi świerkami z ostrymi jak noże czubkami gałęzi. Od czasu do czasu Huttunen patrzył przez lornetkę na wschód w kierunku potoku Puukkopuro i rozległych bagien, żeby sprawdzić, czy ścigający nie idą jego tropem.

Przeliczył kilka razy pieniądze. Wychodziła mu co do grosza ta sama suma, którą zgromadził w banku przez lata wraz z odsetkami. Postanowił, że jak tylko sytuacja się uspokoi, pójdzie do sklepu w sąsiedniej wsi. Właśnie teraz przyda mu się sprzęt do wędkowania doktora Ervinena. Nic też nie stoi na przeszkodzie, by upolować jakiegoś ptaka. Obejrzał broń. Był to piękny sztucer, sprawnie działający, wyposażony w magazynek na pięć nabojów i celownik.

Teraz nie może go jednak wypróbować, bo nawet jednym strzałem mógłby naprowadzić na swój ślad rozproszonych po lesie ścigających.

Wieczorem w polu widzenia lornetki Huttunena pojawiła się sylwetka człowieka. Młynarz przestraszył się. Zza szerokich bagien nadchodził niski, przygarbiony mężczyzna, dźwigając na plecach wielki ciężar. Huttunen przyjrzał się postaci i wyregulował ostrość lornetki. Co ten człowiek niesie? Wyglądało to tak, jakby na plecach miał duże naczynie, niby czarną beczkę. Wzgórze oddalone było od brzegu bagna o kilka kilometrów, więc młynarz nie mógł stwierdzić z całą pewnością, co to jest. Widział jednak wyraźnie, że niosącemu bardzo się spieszy, bo brnął, prawie biegnąc, przez zapadające się trzęsawisko i chociaż ciężar wydawał się wielki, nie przystawał, by odpocząć. Zmierzał w prostej linii przez bagno do Puukkokumpu. Huttunen przeładował sztucer i czekał. Jeśli obcy jest sam, a wszystko na to wskazywało, zaczeka jeszcze trochę. Na wszelki wypadek schował plecak w przybrzeżnych zaroślach.

Nieznajomy zbliżał się szybko. Gunnar dojrzał, że dźwiga on na plecach osmolony, prawie pięćdziesięciolitrowy gar. Od strony bagna dobiegał głuchy dźwięk wydawany przez metalowe naczynie, kolebiące się w takt kroków niosącego. Pod pachą ten niski, starszy mężczyzna trzymał jakieś drążki albo rurki.

Doszedłszy do wzgórza zatrzymał się w końcu. Był na odległość strzału. Położył ciężar na ziemi, wciągnął głęboko powietrze kilka razy i podążył prędko z powrotem, tam skąd przyszedł. A ponieważ nie miał już nic do dźwigania, biegł bardzo szybko. Najwyraźniej się spieszył, jakby się paliło.

Huttunen zastanawiał się, dlaczego nieznajomy przywłókł czarną kadź tutaj, na sam środek wielkiego bagna. Czemu męczył się tak bardzo? Jaki miał w tym cel?

Kiedy mężczyzna zniknął w lesie, Huttunen chciał podejść i przyjrzeć się rzeczom przyniesionym na bagno z tak wielkim trudem przez obcego, ale coś go powstrzymywało, by udać się na miejsce i zbadać tajemnicze naczynie. Przecież nie wie, czemu dostarczono je w takim pośpiechu. Może nieznajomy przywłókł na grzęzawisko ogromną bombę, która ma młynarza zaciekawić i zwabić w pułapkę? Okrucieństwo ludzkie jest przecież niezmiernie, a myśli człowieka podstępne. Lepiej więc pozostać z boku tak długo, jak tylko to możliwe.

Po jakimś czasie z lasu znów wyłonił się ten sam człowiek, niosąc na plecach chyba jeszcze większy ciężar. A więc dlatego biegł z powrotem! Musiał po prostu przynieść tego więcej tutaj, na bezludne bagno. Huttunen przez lornetkę obserwował tragarza. Tym razem niósł on rzecz mniejszą niż poprzednia. Była to lśniaca kadź, tak ciężka, że mężczyzna nie miał sił biec, tylko szedł szybko, kierując się znowu na Puukkokumpu i środek bagna, tam gdzie wcześniej zostawił poczerńiały zbiornik.

Kiedy zbliżył się do kryjówki Huttunena, ten stwierdził, że nieznajomy dźwiga na plecach dwudziestolitrowy pojemnik na mleko, z pewnością pełny, bo stopy niosącego zapadały się w bagnie. Obcy podszedł do pozostawionej na grzędawisku kadzi, postawił obok drugą, odetchnął, ale natychmiast zarzucił sobie na plecy przyniesiony wcześniej stary zbiornik. Huttunen zamienił lornetkę na sztucer, odbezpieczył broń i czekał na rozwój wydarzeń. Wszystko wskazywało na to, że obcy zmierzał właśnie na to wzgórze, na którym znajdował się obserwujący go młynarz. Huttunen wycofał się więc za świerki, trzymając broń gotową do strzału. Nie wiedział, jakie zamiary ma wobec niego ten dziwny tragarz kadzi.

Rozpoznał obcego dopiero wtedy, kiedy ten wszedł na Puukkokumpu. Dźwigającym kadź był urzędnik pocztowy z miejscowości Asemakyla - listonosz Piittisjarvi! Znał go równie dobrze jak wszyscy inni mieszkańcy wsi. Sympatyczny gość, chociaż straszny pijak. Ale czy to pierwszy raz porządny człowiek doprowadza się przez wódkę do ruiny? Huttunen ucieszył się ogromnie. Miał przed sobą mieszkańca Puukkokumpu, który na pewno nie przenosi tych ciężarów, żeby pomagać naczelnikowi Jaatili. Piittisjarvi miał pięćdziesiąt lat. Żona umarła mu jeszcze przed wojną. Był biedny. Utrzymywał się z małej pensji listonosza, ale lubił swoje zajęcie. Wesoły facet, trochę zaniedbany, nigdy nie miał pieniędzy na nic, ale na wódkę - często. Wielokrotnie roznosił listy całkiem pijany albo przekazywał paczki w żalonym stanie odurzenia. Na trzeźwo był potulny i cichy, ale podпиты stawiał się wielu ważnym mieszkańcom wsi. Wódka dodawała mu odwagi i pozwalała mówić prawdę ludziom, których los obdarował szczerzej niż jego.

Ciężko dysząc, Piittisjarvi wszedł na wzgórze. Umieścił okopconą kadź i kilka rurek na kępie traw. Pot z niego parował jak z zagonionego konia, ręce drżały mu z wielkiego wysiłku. Na spoconej i pooranej zmarszczkami twarzy malowało się cierpienie. Otarł ją brudnym rękawem i przez chwilę trzymał rękę w okolicy serca. Od rozgrzanego upałem bagna nadleciał w jego stronę gęsty rój komarów. Listonosz był jednak tak wyczerpany, że nie miał siły się opędzać od latających krwiopijców. Zawrócił na grzędawisko, żeby przynieść stamtąd pozostawiony pojemnik.

Kiedy udało mu się zgromadzić wszystko na zboczu wzgórza, uspokoił się wreszcie, usiadł na pokrywie kadzi na mleko i sięgnął po papierosa. Ponieważ był strasznie zmęczony, zapalił go dopiero za trzecim razem, bo palce trzęsły mu się tak, że zapalki gasły natychmiast.

- A żeby to wszyscy diabli...

Był wyczerpany i zły, czemu Huttunen się nie dziwił, bo przeniesienie takich ciężarów przez bagna - nie wiadomo z jak daleka - mogło wyprowadzić z równowagi nawet kogoś spokojniejszego. Młynarz wyszedł zza świerków z bronią w ręce.

- Czołem, Piittisjarvi!

Listonosz w pierwszej chwili przestraszył się okropnie, aż papieros wypadł mu z ust na pokrytą mchem ziemię. Ale kiedy rozpoznał Huttunena, ochłonął. Zmęczony uśmiech rozjaśnił porytą bruzdami twarz drobnego mężczyzny.

- Kunnari, do jasnej cholery! Ty też tu przyszedłeś?

Podniósł z ziemi tłący się papieros i poczęstował Huttunena nowym. Ten zapytał o sprawy, jakie listonosz ma do załatwienia tutaj, w Puukkokumpu i co za naczynia, u diabła, przywłókł do lasu.

- Nie poznajesz fabryczki do robienia wódki? Piittisjarvi opowiedział, jak to poprzednio postawił bimbrownię w bardzo dobrym miejscu na zboczu Reutuvaary. Zacier już fermentował. Dzisiaj rano można by było zacząć destylację. Ale przed południem w lesie zrobiło się niespokojnie. Uzbrojeni w strzelby ludzie kręcili się tu i ówdzie, w pobliżu wzgórza. Psy szczekały, wywoływano Huttunena. Strzały ostrzegawcze słychać było tak wyraźnie, że cała okolica drżała.

- Rozumiesz chyba, że musiałem się szybko zbierać. Trzeba było wynieść i zabezpieczyć fabryczkę. Dźwigałem ją przez cały dzień po lesie: najpierw ze wschodniego lasu do Kemijoki, a potem łódką przez rzekę. Cholera! Łódź mało co nie zatonąła przez to wszystko. Potem znad rzeki wlokłem kadzie tutaj, wciąż w pośpiechu. Żeby to diabli wzięli! Po wschodniej stronie lasu nie ma w ogóle ani trochę spokoju. Mówię ci, jeszcze nigdy w życiu nie zmęczyłem się tak okropnie.

Piittisjarvi wciągnął dym do płuc. Patrzył na kadź z zacierem, zbiornik na gotową wódkę, rurki - i uśmiechał się uszczęśliwiony.

- No i udało mi się wyrwać fabryczkę ze szponów gończych psów! Na wojnie, podczas odwrotu miałem podobną sytuację. Z kilkoma kumplami zostaliśmy na Przylądku Karelskim jako ostatni z karabinem maszynowym. Kiedy trzeba było ruszać, to mieliśmy, cholera, co dźwigać pod gradem kul. Ale co tu dużo mówić, przeniesienie fabryczki kosztowało mnie więcej. Musiałem przez cały dzień chyłkiem uciekać przed strzelcami.

Huttunen wyraził żal z powodu smutnego losu Piittisjarwiego. Powiedział, że naprawdę nie chciał, żeby listonosz przez niego musiał dźwigać tak straszne ciężary. Ten machnął ręką wspaniałomyślnie:

- Nie martw się niepotrzebnie, Kunnari. Nie mam do ciebie pretensji, to naczelnik urządził taką zabawę w Reutuvaarze. Zapal sobie jeszcze papierosa!

28

Tej samej nocy obaj postawili w gęstwinie nad rzeką należący do listonosza osprzęt do

pędzenia wódki. Piittisjand ledwo mógł wytrzymać i od razu chciał zabrać się do przygotowywania napoju, bo zacier fermentował już wystarczająco. Biedaka suszyło okropnie. Noc jednak była księżycowa i za jasna. Dym unoszący się znad potoku mógł zdradzić lokalizację bimbrowni. Dopiero rano, kiedy zaczęło wiać, mężczyźni rozpalili pod kotłem równo palący się ogień z suchych drewn i zaczęli nakładać zacier cuchnący mocnym alkoholem. Huttunen przyniósł w pustej kadzi po zacierze zimnej wody z potoku potrzebnej do chłodzenia cieczy i wlał do koryta. Gdy tylko opary alkoholu dostały się do rurek, rozpoczęła się kondensacja i pierwsze krople wódki zaczęły kapać do podstawionego naczynia.,

Piittisjand wypił na próbę tylko raz destylowany samogon, wyjaśniał ze szczęścia i podał kubek Huttunenowi. Młynarz nie spróbował jednak i oznajmił, że teraz interesuje go bardziej idea trzeźwości.

- Jak nie chcesz bimbrowu, no to chyba jesteś wariat - dziwił się pijak-listonosz. Ale po chwili, przemyślawszy wszystkie korzyści płynące z zasad zachowania trzeźwej głowy przez towarzysza, przestał namawiać go do wódki.

- Nawet lepiej, będzie więcej dla mnie.

Huttunen postanowił zarzucić wędkę z muchą do potoku. Przed odejściem przyniósł jeszcze raz bimbrownikowi pełną kadź świeżej, zimnej wody.

Wróciwszy do fabryczki z dwiema trociami, zastał listonosza nieźle już podchmielonego. Ten zaproponował Kunnariemu, żeby - jako trzeźwiejszy - wziął odpowiedzialność za pędzenie, wtedy on sam będzie miał czas na porządne picie.

Huttunen upiekł najpierw ryby w płomieniach ogniska palącego się pod kotłem z wódką. Piittisjand miał przy sobie sól, chleb i kawałek solonego boczku. Jedli więc różowe mięso, szarpiąc je palcami, posypując jeszcze gorące płaty solą i zagryzając chlebem. Huttunen wyznał, że od dłuższego czasu, od chwili kiedy zniszczono mu obóz w Reutuaapie, nie miał w ustach nic porządnego. Piittisjand jadł też ostatnio dwa dni temu, kiedy to poszedł na pocztę, żeby zabrać gazety i listy. Latem prawie nigdy nie miał czasu na posiłek, bo musiał roznosić przesyłki i pędzić bimber.

- Zimą jem więcej, bo nie ma takiego pośpiechu. Wtedy, chociaż jestem samotny, gotuję sobie prawie codziennie.

Piittisjarvi zaproponował Huttunenowi korzystną współpracę. Popilnuje funkcjonowania fabryczki wtedy, kiedy on będzie zajęty obowiązkami listonosza. Piittisjarvi bowiem przez trzy dni w tygodniu roznosił listy w Asemakylu i w dwóch sąsiednich wsiach. W wolne dni nie bardzo też nadążał z pędzeniem bimbrowu, bo musiał rezerwować sobie czas na chłanie. W zamian za przysługę listonosz obiecał zająć się pocztą Huttunena. Młynarz nie

bardzo wiedział, jaką to pocztę mógłby dostawać tutaj, na tym pustkowiu.

- No, zamówimy na przykład gazetę *Pohjolan Sanomat*! Załóż się dla ciebie skrzynkę pocztową w lesie, w pobliżu Asemakylä. Będę ci przynosił gazety i listy, jak wszystkim innym obywatelom. Sam też mógłbyś pisać do różnych ludzi, a ja dostarczałbym twoje listy. Napisz na przykład do tej nowej instruktorki. Mówią, że bardzo cię lubi.

Huttunen rozważał propozycję. Rzeczywiście, powinien napisać do Sanelmy, to miało sens. Gazet też nie czytał od czasu, kiedy zawieziono go do szpitala psychiatrycznego w Oulu.

Omówili więc warunki współpracy, zastanawiając się na jak długo warto by zamówić *Pohjolan Sanomat*, i doszli do wniosku, że całoroczna prenumerata to wyrzucanie pieniędzy, bo życie Huttunena było obecnie w pewnym sensie niestabilne. Młynarz opłacił więc u listonosza prenumeratę za kwartał, a Piittisjarvi obiecał zamówić gazety, jak tylko będzie we wsi.

Huttunen skreślił kilka słów do Sanelmy Kayramó. Za papier listowy posłużył mu otrzymany w banku kwit, który znalazł w portfelu, ale ponieważ brakowało mu pióra, nagryzmolił treść zwęglonym kawałkiem patyka.

Młynarz rozpostarł przed przyjacielem mapy Ervinena. Razem ustalili, gdzie Huttunen zbuduje stały obóz i dokąd przeniosą fabryczkę bimbru. Wybrali małe wzniesienie, leżące około trzech kilometrów od górnego biegu Puukkopuro, za którym rozciągały się bagna i wąwóz z płynącym pośrodku potokiem. Rano Huttunen wybrał się na ryby i poszukał wybranego miejsca. Uznaj, że jest to pewniejsza kryjówka niż wzgórze, na którego zboczu pędzili teraz wódkę.

Obaj uzgodnili jeszcze dokładnie, gdzie Piittisjarvi postawi dla Huttunena skrzynkę pocztową, z której będzie on mógł trzy razy w tygodniu wybierać przesyłki. W dni świąteczne, a czasem i w tygodniu, Piittisjarvi będzie przychodził do obozu, żeby się napić bimbru.

- W święta i dni wolne przyniosę pocztę tutaj. W końcu tygodnia nie będziesz więc musiał chodzić po gazety.

Huttunen poprosił listonosza, żeby przyniósł mu także trochę soli, cukru, kawy i solonego boczku. I oczywiście papierosy. Na to wszystko dał koledze pieniądze.

Po posiłku Piittisjarvi zamierzał wyruszyć do wsi, ponieważ dzisiaj znowu był dzień roznoszenia poczty. Umył w potoku usmoloną twarz, wypłukał usta, żeby pozbyć się chociaż trochę zapachu bimbru. Przed odejściem powiedział Huttunenowi, co powinien zrobić, kiedy zacier zagrzeje się za bardzo albo z jakiegoś powodu bimber przestanie się skraplać.

- Najgorzej pozwolić na to, żeby zacier przywarło do dna kadzi. Przydarzyło mi się to latem w 1939. Rok wcześniej jesienią umarła mi żona i zamyśliłem się przy robocie, jak by tu

najlepiej spędzić wolny czas, no i zacier się przypalił. Straciłem kilka dni na szorowanie kotła, żeby doprowadzić go do porządku. Koledzy, którzy pili przypalony bimber, pochorowali się, a jeden o mało nie umarł. Ten sam chłopak, kiedy jesienią wybuchła wojna zimowa, zginął od razu, w pierwszym tygodniu - widocznie tak było pisane.

Piittisjand zostawił Huttunena, powierzając mu fabryczkę, i odszedł. Lekkim krokiem przemierzył szerokie trzęsawisko, wesoło podśpiewując, przeszedł przez las i pomaszerował prosto do urzędu pocztowego, gdzie najpierw zaprenumerował gazetę na trzy miesiące. Dla pewności zamówienie złożył na własne nazwisko.

Wieczorem, po rozniesieniu przesyłek, poszedł do mieszkania po piłę, młotek, gwoździe oraz kilka desek i kawałek papy. Załadował wszystko do torby na listy i mijając Asemakylę, pojechał na niezamieszkały teren przy lesie. Zostawił rower między drzewami i poszedł w ustalone miejsce, żeby zbudować skrzynkę pocztową dla samotnego młynarza. Do jej umocowania wybrał odpowiednią, potężną sosnę.

Praca szła mu sprawnie, jak na urzędnika pocztowego przystało. Piittisjarvi wykonał najpierw konstrukcję z kilku palików, obił ją listwami i przymocował skrzynkę do pnia sosny, a potem uciął jeszcze odpowiedni kawałek papy na daszek chroniący przed deszczem.

- Jak gazeta *Pohjolan Sanomat* zmoknie, to dużej szkody nie będzie, ale z przesyłką wartościową trzeba obchodzić się ostrożnie.

Piittisjarvi odciął ze swojego skórzanego paska dwa kawałki, z których zrobił zawiasy do pokrywy na skrzynkę. Pozostała część wystarczyłaby jeszcze na kilka takich kawałków. Posmutniał, kiedy przypomniał sobie, że kupił pasek podczas podróży zaręczynowej do Kemi. Wtedy był jeszcze okazałym mężczyzną. Po śmierci żony musiał robić w pasku coraz to nowe dziurki.

- Miałem dobrą kondycję tak długo, jak żyła Hilda - wspomniał ją listonosz i gardło mu się ścisnęło.

Skrzynka pocztowa była prawie na ukończeniu, należało ją tylko pomalować. Piittisjand zastanawiał się, czy to rozsądne malować ją na żółto zgodnie z ustawą o poczcie i z przepisami Urzędu Telegraficznego. Nawet jeśli teraz latem nie będzie widoczna z szosy, to zimą kolor żółty może zdradzić jej miejsce.

Piittisjarvi zrezygnował więc z malowania, chociaż zbierało mu się na wymioty, kiedy musiał wkładać przesyłki do szarych i zaniedbanych skrzynek. Raz, lekko zawiany, przyniósł listy Siponenowi i gdy zobaczył jego okropną skrzynkę, to zaczął narzekać:

- Mógłbyś pomalować sobie chociaż skrzynkę pocztową. Czuję się, jakbym wrzucał gazety do ubikacji! Wprawdzie to wszystko jedno, gdzie twoja baba trzyma gazetkę *Nyyrikit*,

ale są jakieś granice!

Na przodzie skrzynki wyskrobał jednak dla zasady znak trąbki pocztowej, a pod nią nazwisko właściciela: Kunnari Huttunen. Na koniec wrzucił przyniesioną przez siebie gazetę *Pohjolan Sanomat*, jakby chciał wypróbować swoje dzieło. Teraz Kunnari może już przychodzić po pocztę - pomyślał zadowolony.

29

I znowu Huttunen musiał zabrać się do budowania obozu od podstaw. Z trudem przeniósł wszystkie swoje rzeczy i fabryczkę bimbru Piittisjarvi na brzeg potoku Puukkopuro, pod niskie, piaszczyste wzgórze. Nazwał to miejsce Obozem przy Drodze. Najpierw zrobił szałas, a dopiero potem ustawił należące do listonosza zbiorniki do produkcji wódki. W pokrytym porostami zboczku wzgórza wykopał piec ziemny i w pewnej odległości od niego - dół służący za piwnicę, do którego włożył narzędzia, plecak, zestaw do wędkowania i sztucer. Potem zaczął pędzić bimber.

Po pierwszej destylacji w kadzi zebrało się prawie dwadzieścia litrów śmierdzącej wódki. Huttunen uznał, że jeśli przedestyluje samogon jeszcze raz, to zyska dodatkowe siedem litrów. Wiedział, że gdyby teraz zajmował się tym sam Piittisjarvi, to wypiłby otrzymaną ciecz bez zastanowienia, nie zwracając sobie głowy destylacją. No, ale skoro zajęcie to przypadło młynarzowi - a był on człowiekiem niepijącym i pracowitym - to zagrzeł płyn ponownie. Zebrał do kadzi prawie sześć litrów przezroczystego alkoholu, przejrzystego jak jesienny lód i mocnego jak spirytus Endnena. Spróbował odrobinę i poczuł palenie w gardle, więc wypluł resztki z obrzydzeniem.

- Nie powinienem pić, bo znowu stracę rozum.

Schował kadź z bimbrem na trzęsawisku, rozebrał fabryczkę i ukrył wszystko wśród świerków rosnących przy rowie. Potem zarzucił karabin na ramię, wziął sprzęt do łowienia ryb i poszedł uzupełnić zapasy żywności. Skierował się zgodnie z wskazówką kompasu na północny wschód, na te same bagna, na których zeszłej zimy strzelał do ptaków z policjantem Portimą. Z przyjemnością wspominał tamtą wyprawę. Upolowali wtedy sporo ptactwa, chociaż nawet nie mieli psa. Portimo zostawił w domu swoje posiwiśle, szkolone na niedźwiedzie psisko, które nie umiało wystawiać ptaków. Huttunen pomyślał, że gdyby tamtego lata wydarzenia potoczyły się inaczej, to nie musiałyby teraz wędrować w samotności i Portimo polowałby razem z nim. Policjant miał jednak teraz obowiązków aż za dużo.

- Straci najlepszy kawałek lata przez to, że musi tak na mnie polować. Pewnie przykro mu, kiedy go zmuszają do nagonki na przyjaciela.

Huttunen oddał celne strzały do dzikich ptaków. Strącił kilka sztuk, a w drodze

powrotnej złowił w potoku parę okazałych ryb. Przed przyjsciem do obozu zebrał jeszcze koszyczek czarnych jagód.

Chociaz odczuwal samotnosc, zycie wydawalo mu sie przyjemne. Nie musial kryc sie w lesie, wypatroszone ptactwo zwisalo z galęzi drzewa, ryby byly zasolone, owinięte korą brzoową i zakopane w zimnym jak lód tręszawisku. Dla zabicia czasu postanowil pójsc po pocztę. Czy Piittisj arvi zdązył mu zrobic skrzynkę?,

Odnalazl ją z latwością w umówionym miejscu w lesie niedaleko Asemakyl. Przez chwile krązył w poblizu, zeby sie upewnic, czy ktos obok nie zorganizowal zasadzki albo nie chcial go zaskoczyc. Wokól bylo pusto i cicho, wiec młynarz odwaznie podszedl do skrzynki, na której widnialo jego nazwisko.

Ogarnelo go cieple uczucie radości. Mial swoje miejsce na tym swiecie: przybita do sosny niepomalowana, koslawą skrzynkę. Piittisjarvi wykonal zadanie, tak jak sie umowili.

Ale czy byly jakies listy do niego? Huttunen bal sie to sprawdzic. Jesli ich nie ma, to trudno mu bedzie zniesc w samotności rozczarowanie.

Kiedy' zdecydowal sie zajrzec do środka, zdziwil sie. W skrzynce znajdowaly sie dwie gazety i gruba koperta, na której kobiecą ręką bylo wypisane jego nazwisko. Huttunen poznal charakter pisma - to instruktorka Sanelma Kayramo przyslala mu list.

Poszedl sto metrow dalej, do gęstego zagajnika sosnowego i tam otworzył koperte. Byl w niej piekny list miłosny. Huttunen przeczytal go, czerwieniac sie ze szczęscia. W głowie zaczelo mu dziwnie szumiec, do oczu naplynely łzy, az rzędy liter zlaly sie ze soba, ręce mu drzaly, serce walilo. Mial ochote zawyc po prostu z radości i uniesienia.

Wraz z listem przysla mala broszura. Na jej okladce byl napis: Szkoła Korespondencyjna Towarzystwa Edukacji Narodowej, Dzial Handlowy.

Sanelma Kayramo dolaczyla do przesyłki prospekt reklamowy tej szkoły i poprosila, zeby kochany odbiorca „nie wyrzucal zeszytu, tylko zapoznal sie z nim i zdecydowal rozpoczac nauke korespondencyjnie, bo ma teraz dosyc czasu, a poza tym czlowiek nie powinien nigdy stac w miejscu i nawet jesli ma klopoty, musi sie ciagle rozwijac. Tylko w ten sposob kazdy Fin moze osiagnac szczęscie i sukces, które słuza takze dobru ojczyzny”.

Huttunen pobiegł do obozu i chociaz droga przez bagnisko miala okolo dwudziestu kilometrow, dotarl tam w poltorej godziny. Wpadl do szalasu i ponownie zaczel czytac miłosny list od Sanelmy Kayramo. Przeczytal go dokladnie kilka razy, jakby chcial sie nauczyć na pamiec. Dopiero pózniej udalo mu sie zajac lekturą gazet.

Byly w nich wiadomosci o wojnie w Korei. Daleko, w lasach azjatyckich prowadzono skomplikowane dzialania wojenne, które wraz z uplywem lata przekształcily sie w wojnę

pozycyjną. Huttunen przypomniał sobie, jak zeszłej zimy szala zwycięstwa przechylała się kolejno na stronę Amerykanów, Koreańczyków i Chińczyków. Teraz front ustabilizował się na 38. równoleżniku, a Związek Radziecki proponował podjęcie negocjacji na temat zawieszenia broni. W gazecie było zdjęcie wojskowego dżipa wypełnionego oficerami, a w tle znajdowała się artyleria i góry. Podpis informował, że oddziały ONZ patrolują drogi dojazdowe, żeby uniemożliwić zakładanie pułapek. Za błotnikiem dżipa zatknięta była jednak flaga Stanów Zjednoczonych. Huttunen miał nadzieję, że w tej wojnie strony dojdą do porozumienia. Zaraz jak nastanie pokój, cena drewna w Finlandii spadnie na łeb na szyję. A to z kolei sprawi, że wielcy gospodarze, zwłaszcza Siponen i Vittavaara, nie będą się już bogacić na krwi Koreańczyków.

W prasie były też drobne informacje na temat olimpiady. Wyglądało na to, że odbędzie się ona w przyszłym roku w Helsinkach. Swego czasu Huttunen skoczył o tyczce osikowej na wysokość 3,90 metra i chciał nawet wziąć udział w igrzyskach. Ale potem wybuchła wojna zimowa i olimpiada w Helsinkach została odwołana. Teraz nie miał nawet żadnych szans, żeby obserwować zawody, chociaż wojna się skończyła. Gdyby wyszedł z lasu, to zaraz Jyy go złapali.

W gazecie pisano, że po raz pierwszy w olimpiadzie chce uczestniczyć Związek Radziecki.

- A czemu nie? - pomyślał Huttunen. Na pewno mają tam silnych miotaczy młotem. W Syvari rzucali granatami ręcznymi dość daleko - wspominał. - W maratonie mają szanse na medale, ale w kolarstwie fińscy jeźdźcy są od nich szybsi. Jeśli w ogóle na olimpiadzie będzie kolarstwo!

Przeczytawszy gazety, Huttunen zaczął przeglądać broszurę Towarzystwa Edukacji. Reklamowano w niej na różne sposoby zalety korespondencyjnego toku nauczania. Twierdzono, że „energiczni i zdolni ludzie interesu - zarówno mężczyźni, jak i kobiety - mają szanse awansować w biznesie szybciej i łatwiej aniżeli w innych dziedzinach”.

Huttunen zastanowił się nad swoim zawodem. Rzeczywiście to prawda, że na chleb łatwiej zarobić w biznesie niż w starym młynie w Suuskoski, gdzie nie każdego roku można liczyć na to, że przywiozą ziarno na mąkę, bo na przykład przymrozki zwarzyły całe zboże. Z hebla i z gontów się wyżyje, owszem, ale nie ma za to perspektyw rozwoju. Pieniądzy na założenie tartaku Huttunen nie posiada. Mówi się zresztą teraz o nowych młynach napędzanych elektrycznością, które miały zboże, nawet jeśli w pobliżu nie ma ani śladu potoku. A więc zmiana zawodu byłaby w przypadku młynarza uzasadniona. Ale przeanalizował swoją sytuację i stwierdził, że nie ma co szukać swojego miejsca w biznesie, skoro jest pariasem i boi się nawet

uruchomić własny młyn.

Z drugiej strony nauka może być dobrym sposobem na zabicie czasu - myślał Huttunen. Organizatorzy zapewniali, że kursy w ich szkole prowadzone są wyłącznie korespondencyjnie: „Każda osoba, bez względu na wiek, która skończyła szkołę podstawową, może studiować w swoim miejscu zamieszkania, w zależności od czasu, jakim dysponuje. Adres nie ma znaczenia, ważne jest, żeby poczta docierała regularnie. Osoby zainteresowane mogą uczyć się wtedy, kiedy same tego chcą i mają czas po wypełnieniu innych obowiązków”.

Wyglądało na to, że taka nauka została wymyślona specjalnie dla Huttunena w jego obecnej sytuacji. Jakie to ma znaczenie, gdzie człowiek się uczy: w lesie czy w młynie? Wprawdzie Piittisjand będzie nosił listy do lasu, ale dyrektorzy ze szkoły korespondencyjnej nie muszą o tym wiedzieć.

Wieczorem Huttunen zjadł ze smakiem połówkę cietrzewia przyprawioną żurawinami. Potem położył się na gałęziach sosnowych, kładąc strzelbę na wszelki wypadek w zasięgu ręki. Przed zaśnięciem przeczytał ponownie list od instruktorki.

- Życie zmieni się jeszcze na lepsze, jeżeli Sanelma pisze do mnie w tak gorących słowach - pomyślał pełen nadziei i zasnął na posłaniu z pachnących żywicą gałązek.

30

W niedzielę przyszli odwiedzić samotnika w Obozie przy Drodze listonosz Piittisjand i instruktorka Sanelma Kayramó. Przodem kroczył drobny roznosiciel listów, który dźwigał ciężki plecak. Wokół latał gęsty rój komarów. Za pocziwcem podążała pulchna i różowa Sanelma. Oboje byli zmęczeni długą drogą, konsultantka miała nawet zawroty głowy. Ale kiedy zobaczyła Huttunena, zmęczenie znikło i rzuciła się ukochanemu na szyję. Młynarza ogarnęła taka radość, że nie mógł się powstrzymać i aż zawył ze szczęścia.

Piittisjand czekał z niecierpliwością, aż skończą się uściski i skowyty. Potem chrząknął porozumiewawczo i zaczął wypytywać:

- No i co, Kunnari, pędziłeś?

Huttunen zaprowadził go na trzęsawisko, wyciągnął z chłodnych czeluści ziemi kadz z bimbrem, otworzył pokrywę i pozwolił poczmistrzowi powąchać. Listonosz wcisnął drobną głowę do wnętrza kotła. Wkrótce rozległ się stamtąd wesoły pomruk. Pełen wdzięczności Piittisjand oznajmił, że on też ma coś dla młynarza, a są to rzeczy równie ważne dla przeżycia jak bimber.

- Chodź zrobić inwentaryzację!

Wrócili więc do obozu, gdzie Sanelma Kayramó zaparzyła kawę. Piittisjani wyrzucił zawartość plecaka na podłogę szałas pokrytą gałęziami sosnowymi. Huttunen miał już

produkty bardzo mu potrzebne: duże ilości soli i cukru, paczkę kawy, torebkę mąki, kaszę, kilo słoniny, dwa kilo masła... W końcu na gałęzie wypadła główka kapusty, kilka pęczków marchewki i rzepy, strączki grochu, buraki, seler, brukselka, parę kilo młodych ziemniaków!

Huttunen popatrzył ciepło na szczęśliwą Sanelmę, która uśmiechała się wstydliwie.

- Pamiętaj, Gunnarze, żebyś zjadł te warzywa... Najlepsze są, jak się je utrze. Wszystko to z twojego własnego ogródka, poza kapustą i selerem.

- Jak ja się wam odwdzięczę - mamrotał Huttunen. Patrzył na skromną sylwetkę Piittisjandego i wielką górę jedzenia, którą listonosz przywłókł od kościoła aż tutaj, do lasu.

- Musiałeś się, Piittisjand, strasznie spocić, kiedy dźwigałeś to wszystko - powiedział do doręczyciela, który po męsku starał się umniejszyć swój wysiłek:

- Co tam jeden plecak, jakaś główka kapusty... Przypomnij sobie ten dzień, kiedy pędziłem z kadzią i zacierem, cholera, ze wschodniej części lasu do Puukkokumpu... Miałem co dźwigać, jak na jednego człowieka. Gdyby to nie była moja fabryczka, to wszystko bym zostawił w Reutukairze, żeby się naczelnik udławił, uwierz mi!

W kieszeni plecaka młynarz znalazł jeszcze papier listowy i koperty, ołówki i gumkę, maszynkę do ostrzenia ołówków, linijkę, zeszyty i kilka książek oraz parę broszur do nauki w szkole korespondencyjnej. Huttunen dziękował wylewnie za te dary i układał je w swoim plecaku.

Dostał także pocztę: gazetę *Pohjolan Sanomat* i rachunek, który wysłał sklep żelazny z Kemi. Rachunek dotyczył zakupu zamówionego wiosną pasa transmisyjnego. Dość drogi towar - stwierdził Huttunen i wrzucił papierek do ogniska.

- Chyba zostawię was, zakochanych, sam na sam - powiedział Piittisjand. Wyszedł na bardzo delikatnego, lecz tak naprawdę to chciał się wyrwać i znaleźć jedynie w towarzystwie kadzi z bimbrem. Ale właśnie zagotowała się woda, więc listonosz musiał jeszcze pozostać. Sanelma Kayramó nasypała szczerze kawy *Vaalea Johanna* do dzbanka. Piittisjarvi wypił swoją porcję, nie zaczekawszy, aż ostygnie. Nie chciał też dolewki. Wydmuchując gorącą parę ustami, wyszedł z szałasu, zapowiadając, że przez kilka następnych godzin nie należy się go spodziewać.

- Róbcie, co chcecie, nie będę zaglądał.

Ta niedziela była pełna szczęścia. Chłodny wiatr kończącego się lata wywiał na bagna komary z porośniętego porostami wzniesienia. Słońce świeciło, potok Puukkopuro szumiał usypiająco, mocna woń unosząca się nad trzęsawiskiem zalała okolicę. Instruktor i Huttunen mówili na przemian, bez przerwy, planowali przyszłe życie, wdychali, całowali się. Mężczyzna posunąłby się dalej, ale Sanelma nie pozwoliła. Huttunen zrozumiał, że kobieta się

boi, że zajdzie w ciążę i że dziecko będzie od urodzenia upośledzone umysłowo. Sanelma przyznała, że chciałyby wyjść za niego za mąż, kiedyś później, kiedy wszystko się ułoży. Ale teraz nie ma odwagi zabierać się do robienia dzieci...

Wyobrażała sobie, że urodzi dziecko Huttunenowi dopiero wtedy, kiedy on wyzdrowieje... A uczyni wszystko, żeby Gunnar wyszedł z choroby. Potem mogą mieć dzieci, nawet kilkoro! Ale jeśli on nie wróci do zdrowia, to ona chyba nie odważy się rodzić.

- Wtedy zaadoptujemy dziecko, jedno albo dwa. Wybierzemy sobie zdrowe niemowlęta. W szpitalu położniczym w Kemi dają dzieci od ręki i nawet nie trzeba matkom nic płacić. Oddają je kobiety biedne, które nie mogą wykarmić swojego potomstwa.

Huttunen starał się zrozumieć. No pewnie, to byłoby straszne, gdyby człowiek już od niemowlęctwa musiał żyć z papierami wariata...

Zaczął planować sprzedaż młyna. W tej sprawie postanowił napisać do Happoli, do Oulu. Może uda mu się znaleźć kupca. Teraz jest już koniec lata, Happola chyba wyszedł ze szpitala, bo przecież upłynęło już dziesięć lat od wybuchu wojny kontynuacyjnej.

Huttunen podyktował Sanelmie list do Happoli. Dawał mu wolną rękę w załatwianiu sprawy. Na kopercie nakleili znaczek pocztowy.

Po południu zjedli posiłek. Instruktorka ugotowała zupę jarzynową, zrobiła kanapki ze słoniną, przygotowała też świeże sałatki. W koszyczkach z kory podała rozgniecione jagody i tarte warzywa.

- Bardzo smaczne - wychwalali posiłek mężczyźni. Sanelma poczerwieniła z zadowolenia, od czasu do czasu odgarniając z czoła opadające loki. Huttunen nie odrywał od niej oczu.

Był tak zakochany, że aż drżały mu ręce i nogi. Z trudem wytrzymał na miejscu. Unoszony miłością, miał ochotę krążyć wokół ogniska.

Po jedzeniu goście musieli wracać do wsi, bo droga była daleka, a Piittisjand był mocno pijany. Huttunen poszedł ich odprowadzić. Na szczęście nie mieli nic do niesienia. Sanelma Kayramó zmęczyła się pod koniec drogi, nieprzyzwyczajona do długich wędrówek przez pustkowia. Piittisjand także był zmęczony ale z innego powodu. Huttunen prowadził więc oboje pod rękę.

Listonosz mówił i śmiał się bez przerwy, instruktorka zaś przytuliła się czule do ramienia młynarza. Tak doszli aż do szosy, gdzie Huttunen i Sanelma pożegnali się gorąco. Kto wie, kiedy będzie okazja do ponownego spotkania! Oboje obiecali sobie, że będą często do siebie pisać. Piittisjarvi przysięgał, że dostarczy listy do adresata bez opłaty pocztowej.

- Po co je wysyłać przez pocztę, pieczętować na darmo! Nie warto lizać znaczków na

koperty, ja nie podniosę krzyku z tego powodu... Popatrzę przez palce! Urząd Telegraficzny nie zbiednieje, jak ty, Kunnari, nie nalepisz znaczka na list!

Kiedy Huttunen został sam, udał się nad Kemijoki, zabrał czyjąś łódź i przepłynął rzekę. Przeszedł przez wschodnią część lasu do Reutuvaary i zaczekał, aż zapadnie noc.

Koło północy zaczął wyć. Skowytał wysokim tonem i tak donośnie, żeby na pewno słyhać go było aż we wsi. Od czasu do czasu zapalał papierosa. Pomyślał, że jak mieszkańcy wsi usłyszą go wyjącego z tego miejsca, to będą szukali właśnie tutaj, w Reutuavaarze i w lasach Sivakkajoki.

- Muszę sobie wyciem zabezpieczyć tyły. Wypaliwszy papierosa, Huttunen wył dalej. Zawodził i skarżył się jeszcze długo, czasem groźnie i głucho jak dręczone zwierzę. Dostał od tego zadyszki, ale mu ulżyło. Właściwie sprawiło mu to nawet przyjemność, bo przecież wiele dni musiał się powstrzymywać od wycia.

Kiedy miał już dpsyc, uciszył się i zaczął nasłuchiwał odgłosów. Psy we wsi usłyszały wezwanie i skomlały chórem. Tej nocy żadna dusza nie zmruży oka.

Wykonawszy tak ciężką pracę, Huttunen opuścił Reutuvaarę. W obozie, w zachodniej części bagien przy Kemijoki znalazł się dopiero nad ranem. Odpoczywał zmęczony w szałasie i zastanawiał się nad swoim losem. Musiał przewędrować prawie cztery mile, dwa razy ukraść łódź i dwa razy przepłynąć rzekę.

Całą noc na nogach, sam, wszystko po to, żeby sobie zawyc.

31

Pogoda zmieniła się, nastały deszcze i chłody. Samotne życie w szałasie zaczęło się dawać Huttunenowi we znaki. Nocami było zimno i mglisto, w ciągu dnia śmiertelnie nudno. Jedyną dobrą stroną zmiany pogody było to, że ryby zaczęły brać porządnie. Pod koniec lata rozpoczął się najlepszy okres na wędkowanie. Huttunenowi brakowało beczek, w których mógłby zasolić nadmiar złapanych ryb, więc ograniczał łowienie.

Z powodu ciągłego deszczu dach szałas zbudowany z gałęzi sosnowych zaczął przeciekać. By poprawić sobie warunki mieszkaniowe, Huttunen ściągnął z grubych pni brzożowych szerokie płyty kory, ułożył je na wzór rybich łusek, podobnie jak kładzie się gonty na dach stodoły. Dzięki temu woda przestała się lać do wnętrza, a od kiedy nawet za dnia podtrzymywał ogień w ognisku przed wejściem, czuł się prawie jak w domu. Mimo to czas upływał mu powoli. Na dłuższą metę Huttunenowi nie uśmiechało się spędzanie dni jedynie na rozmyślaniu, zwłaszcza że do głowy przychodziły mu same niedorzeczne myśli.

Zabrał się więc do czytania przyniesionych przez instruktorkę książek i broszur szkoły korespondencyjnej. Najpierw wziął do ręki rozprawę medyczną napisaną przez H. Fabritiusa,

zatytułowaną „Zdenerwowanie i choroby układu nerwowego”. Na tylnej stronie okładki reklamowano ją jako najważniejsze dzieło w tej dziedzinie, napisane do tej pory w Finlandii. Zaintrygowany Huttunen zaczął szukać wyjaśnienia swojej choroby. Z pozoru pasowało do niego sporo opisów różnych przypadłości. Na przykład w rozdziale „Osoby nadwrażliwe i łatwo się irytujące” przedstawiono wiele znanych mu objawów. Natomiast w rozdziale, w którym omawiano zaburzenia funkcjonowania organów płciowych wynikające z napięcia nerwowego, nie znalazł niczego, co by do niego pasowało. Jego organy pracowały bez zarzutu! Jedyną przeszkodą na drodze do zaspokojenia popędu płciowego był lęk instruktorki Sanelmy Kayramó przed szalonymi niemowlętami.

W książce opisywano pacjentów, których dręczyły „obsesyjne myśli, czyli tak zwane neurozy obsesyjne i psychostenia”. Huttunen musiał przyznać, że i on miał opisane objawy, choć właściwie nie czuł się psychostenikiem. Ogólnie rzecz biorąc, książka nie spełniła jego oczekiwań, bo nie dowiedział się wcale, jaka to choroba psychiczna go dręczy. Poza tym dzieło było ciekawe, a nawet zabawne. Szczególnie podobały się Huttunenowi fragmenty, w których opowiadano o osobach psychopatycznych. Najbardziej przypadł mu do gustu przypadek numer 14:

„Mężczyzna w średnim wieku, który nigdy nie wyjeżdżał poza granice Niemiec, twierdził, że podróżował po krajach i kontynentach, wygłaszając tam odczyty. Mówił, że urodził się w Pretorii, stolicy Transwalu, leżącego w Południowej Afryce. W czasie wojny burskiej dokonywał niezwykłych i bohaterskich czynów, między innymi wziął udział w czterdziestu dwóch bitwach i za swoje zasługi otrzymał od prezydenta Krugera tytuł i godność wolnego pana. Podczas odczytów sprzedawał kartki pocztowe ze swoją podobizną w mundurze wojskowym (zdjęcie 3)”.

Fotografia przedstawiała ubranego we wspaniały mundur oficerski, sympatycznie wyglądającego mężczyznę, który od razu spodobał się Huttunenowi. Wpadł więc w furję, kiedy przeczytał, jak Niemcy potraktowali jego bratnią duszę. W książce twierdzono mianowicie, że „w historię tę wmieszała się policja, która dowiozła mężczyznę do szpitala psychiatrycznego na badania lekarskie, a tam uznano go za psychopatę oraz zaliczono do grupy kłamców i awanturników”. Fabritius scharakteryzował przypadek z fińskiego punktu widzenia. Uznał, że chociaż owego mężczyzny „nie można napiętnować jako przestępcy, to w dobrze zorganizowanym społeczeństwie nie sposób pozwolić, żeby obywatel utrzymywał się z wygłaszania publicznych odczytów na tematy wzięte z kapelusza, nawet jeżeli są one bardzo ekscytujące i wyraźnie bawią słuchaczy”.

Wzburzony Huttunen odrzucił książkę. Mógł sobie wyobrazić, co przeżył ten biedak w

psychiatryku w tamtych okropnych czasach. Niemieckie szpitale były na pewno znacznie gorsze niż wariatkowo w Oulu, które jest zresztą - mówiąc szczerze - piekłem bez możliwości wyjścia.

Przez następne dni Huttunen uczył się z zapalem. Zgodnie z poleceniami wykonywał ćwiczenia z zakresu sporządzania pisemnej relacji, czytał zdania główne i poboczne, które wydawały mu się dziwne, zwłaszcza jeżeli chodziło o przykłady zdań współrzędnie i podrzędnie złożonych:

Pilność pokona nawet najgorsze przeciwności losu, pilność powstrzyma senność.

Jedziemy na wycieczkę i będziemy tam cały dzień.

Pojedziemy na wycieczkę tylko wtedy, gdy będzie ciepło.

Treść zdań interesowała go bardziej niż ich forma gramatyczna. Przypomniał sobie wyprawę do lasu i stwierdził poirytowany, że on musiał często jeździć w lecie na wycieczki niezależnie od pogody. Zatroszczył się o to naczelnik Jaatila!

Huttunen zapoznał się też z nosową głoską *ting*. Bawiło go, że dorośli ludzie trują się tworzeniem reguł dotyczących spraw tak oczywistych. Bardziej zrozumiał był dla niego rozdział o końcówce szczątkowej, czyli aspiracji. Przez chwilę starał się mówić na głos bez aspiracji. Rozbawiło go to i miał aż łzy w oczach ze śmiechu, słysząc, co sam wygaduje. Na szczęście nikogo przy tym nie było.

Handel i prawo zainteresowały młynarza bardziej niż sztuka sporządzania relacji na piśmie. Najpierw zabrał się do wypożyczonego przez Sanelmę Kayramó podręcznika, który napisali I. V. Kaitila oraz Esa Kaitila. Czyżby autorzy byli spokrewnieni? A może małżeństwo?

Tekst okazał się trochę suchy, niemniej problematykę przedstawiono w sposób jasny i zrozumiały. Z poleceń zawartych w liście od szkoły wynikało, że należy przeczytać tylko dwadzieścia pierwszych stron, ale ponieważ ciągle padało, Huttunen przerobił cały podręcznik od deski do deski. Potem zaczął odpowiadać na pytania z dołączonego testu.

W jednym z zadań zachęcano studenta do porównania metod stosowanych w handlu hurtowym i detalicznym. Huttunen pomyślał o Terroli. Pod koniec swojej odpowiedzi dopisał uwagę: „Tutaj, u nas we wsi, kupiec Tervola nie chce sprzedawać jedzenia choremu psychicznie, dopóki ten nie pogrozi mu siekierą. Łatwiej dostać towar w hurtowni niż u niego”.

Interesujące było też pytanie dotyczące wypłacania przez Bank Fiński odsetek od lokat. W oparciu o tezy Kaitilów Huttunen scharakteryzował w odpowiedzi bank jako centralną instytucję finansową. Pomyślał, że mógłby zamieścić jeszcze uwagę o dyrektorze Huhtamoinenie, który nie wszystkim klientom wypłaca odsetki, nie mówiąc już nawet o zaoszczędzonym kapitale, a więc działa bardziej apodyktycznie niż Bank Fiński. Zrezygnował

jednak z dopisku. Czemu oni tam, w Towarzystwie Edukacji Narodowej mieliby się przejmować osobistymi kłopotami finansowymi Huttunena? Najważniejsza jest nauka, a nie metody pracy w gminnym banku.

„Co to jest akredytywa? Co oznacza obligacja?”

Zdaniem Huttunena terminologia handlowa była fascynująca i zabawna. Dobrze się ją zapamiętywało. Żałował, że za młodu nie zabrał się do studiowania ekonomii. Studia są zaskakująco łatwe, a poza tym mogą przynieść życiowe korzyści. Jak bogaty biznesmen zawyje, to szybciej zostanie mu to wybaczone niż młynarzowi... W każdym razie nawet człowiek w jego wieku zdąży się jeszcze czegoś nauczyć.

Huttunen już teraz cieszył się na myśl, że szkoła korespondencyjna przyśle mu kiedyś zaświadczenie o ukończeniu kursu w dziedzinie ekonomii. Może stanie się to jeszcze przed świętami? W końcu nauka to łatwa sprawa. Jeżeli w lesie skończy szkołę handlową, to nikt nie będzie mógł go już uważać za byle jakiego wariata. A jak zapłaci naczelnikowi kilka mandatów, które dostał od niego za wycie, to kto wie, może jeszcze pewnego dnia zostanie księgowym w magazynie jakiejś hurtowni! Dodatkowo mógłby też zajmować się młynem, jeśli taki znajdzie się w pobliżu.

Uświadomił sobie jednak, że nie dostanie świadectwa na własne nazwisko. Ze względów bezpieczeństwa kurs został przecież zamówiony na Piittisjarwiego, no i oczywiście świadectwo też zostanie wypisane na listonosza. Huttunenowi pozostanie jedynie wiedza na temat handlu. Bez urzędowego papierka wydawało mu się to jednak bardzo skromnym osiągnięciem.

Z drugiej strony, jeżeli weźmie się pod uwagę sytuację Piittisjarwego, to studia młynarza przyniosą listonoszowi konkretne korzyści. Nie musi robić nic specjalnego, tylko roznosić listy i popijać bimbler, a dostanie do ręki dokumenty ukończenia szkoły handlowej. Jeśli będzie postępował umiejętnie, to prędzej czy później awansuje na naczelnika poczty we wsi. Podobno obecny naczelnik nie ma skończonej szkoły handlowej. Huttunen próbował wyobrazić sobie Piittisjarwiego w roli kierującego pocztą. Zasiądzie za szerokim biurkiem z bryłami na nosie i od czasu do czasu będzie przybijał urzędowe pieczęcie na przesyłkach wartościowych.

Obrazek ten ucieszył go tak bardzo, że zaczął powtarzać nauki zaczerpnięte z podręcznika Kaitilów.

- W końcu to wszystko jedno, który z nas będzie panem, Piittisjarvi czy ja - pomyślał Huttunen i sprawdził swoje wiadomości z zakresu księgowania kosztów.

W piątek pogoda się nieco poprawiła, niebo było lekko zachmurzone. Huttunen włożył

wypełnione testy do koperty i nakleił znaczki. Napisał też list do instruktorki. Potem poszedł zanieść przesyłkę do swojej skrzynki pocztowej. Powinny być w niej gazety, pewnie z kilku dni. A może coś jeszcze. List od Sanelmy Kayramo?

Huttunen dotarł do skrzynki pod wieczór. Zbliżył się ukradkiem, ale nie zauważył żadnej zasadzki. Miejsce nadal pozostawało tajemnicą. W skrzynce znalazł gazety i list od Sanelmy, pełen miłosnych wyznań. Kobieta donosiła też, że duża i silna grupa ludzi szuka go znowu po zachodniej stronie Kemijoki. Naczelnik policji wpadł podobno we wściekłość i zrugął Portimę brzydkimi słowami, bo nie udało mu się przez całe lato złapać Huttunena.

WPohjolan Sanomat było ogłoszenie na temat organizowanych przez gminę zawodów lekkoatletycznych, które odbędą się na boisku sportowym we wsi w przyszłą niedzielę. Sam gubernator obiecał objąć zawody swoim patronatem, ponieważ wybiera się do gminy na wizytację. W ogłoszeniu podano program imprezy i trasę podróży dostojnika.

Huttunen postanowił pójść i popatrzeć na zawody. Może uda mu się pooglądać je z jakiegoś wysokiego pagórka. Mógłby się wdrapać na drzewo i obserwować zmagania sportowców przez lornetkę Ervinena. Z daleka nie usłyszy zapowiedzi i ogłoszonych wyników, ale to nie ma znaczenia. Najważniejsze, że zobaczy imprezę oraz gubernatora.

-I nie muszę płacić za wstęp.

32

Huttunen wyruszył z Obozu przy Drodze w niedzielę nad ranem. Chciał dotrzeć pod kościół, zanim obudzą się ludzie. Z przyzwyczajenia ukradł znad Kemijoki łódź i przepłynął się przez rzekę. Wieś spała. Było chłodno i szaro, panowała już prawie jesienna pogoda. Huttunen przystąpił do szukania dogodnego pagórka, z którego mógłby - niezauważony - przyglądać się gminnym zawodom lekkoatletycznym.

W pobliżu wsi znajdowały się dwa wysokie wzniesienia. Żadne jednak nie nadawało się na taras widokowy, bo z jednego widać było gontowy dach nowego kościoła i dzwonicę, a panorama rozpościerająca się z drugiego została prawie całkiem zasłonięta przez wieżę remizy. Wchodziła jeszcze w grę obserwacja zawodów z daleka, ze szczytu Reutuvaary, ale odległość okazała się za duża. Nawet przez znakomitą lornetkę Ervinena nie udałoby się zobaczyć, jakie wyniki osiągają zawodnicy.

Najwygodniej byłoby oglądać zmagania sportowców z wieży remizy strażackiej. Ale nie mógł się tam wspiąć, bo na parterze mieszkał brygadzysta z urzędu robót drogowych. Pozostała więc jedna szansa obserwacji rozgrywek: z dzwownicy nowego kościoła. Może by się dostać właśnie tam?

Huttunen przeszedł chyłkiem przez pusty cmentarz i sprawdził drzwi kościoła.

Wszystkie były zamknięte, podobnie jak wejście do kościelnej piwnicy, które znajdowało się za zakrystią. Obok zauważył okno. Otworzyło się do środka, jak tylko je popchnął. Wczołgał się więc do piwnicy, pociągając za sobą skrzydło okienne.

W ciemnym pomieszczeniu panowała woń stęchłej ziemi. W świetle zapalki Huttunen zobaczył wielkie klepisko zamiast podłogi. Czy przechowywano tu wino mszalne? A może natknę się na kości zmarłych niegdyś ludzi? Chociaż zapalał coraz to nowe zapalki, nie dostrzegł ani butelki wina, ani też szkieletu ludzkiego. Natomiast na klepisku leżał stos pokrytych pleśnią cegieł. Były tam też taczki i betoniarka. Pomieszczenie wykorzystywano więc na magazyn materiałów budowlanych. Ludzi nie chowano tu pewnie nigdy, bo kościół został zbudowany już na początku tego stulecia.

W piwnicy były schody prowadzące ku górze do drzwi, które okazały się otwarte. Huttunen dotarł przez nie do zakrystii. Stamtąd mógł przejść swobodnie do ogromnej nawy kościelnej, której ściany wyłożono drewnianymi deskami i pomalowano na szaroniebieski kolor. W mroku widać było, że farba mocno odłazi, w niektórych miejscach nawet całymi płatami, i spada na podłogę. Dawni włodarze wsi ogarnięci manią wielkości zbudowali w swoim czasie za duży kościół, a ich synowie nie radzili już sobie z utrzymaniem budynku w dobrym stanie. Huttunen nie wiedział, czy wynikało to z braku wiary czy pieniędzy.

Nie mógł się powstrzymać i wszedł na ambonę. Przybrał postawę pastora i zawył nieśmiało. Echo, które odbiło się o wysokie ściany kościoła, zabrzmiało tak ostro, że Huttunen przestraszył się i zbiegł szybko w dół. Przeszedł na galerię. Za organami kryły się spiralne schodki prowadzące na dzwonnice.

Miały one siedem pełnych zakrętów i kończyły się na górze wieży, w małym, sześciokątnym pomieszczeniu. Z sufitu zwisały dwa dzwony: jeden większy, drugi mniejszy. Pomieszczenie miało okrągłe, nieoszlone okna wychodzące na wszystkie strony świata po to oczywiście, by dźwięk dzwonów rozlegać się mógł daleko po okolicy. Huttunen spojrzął w dół z otworu okiennego i aż zakręciło mu się w głowie, tak wysoko się wdrapał.

Z oszłamiającej wysokości dzwonnicy roztaczał się wspaniały widok na całą wieś i błękitne pasma dalekich wzgórz. Najlepiej widoczne było boisko sportowe: leżało tuż przed oczami młynarza, jakby podane na tacy. Z łatwością można było obserwować wszystkie rozgrywki sportowe. Lepszego miejsca do ich oglądania Huttunen na pewno by nie znalazł. Skierował lornetkę w stronę piaszczystego boiska i wyregulował ostrość. Jeżeli chodziło o niego, to zawody mogły się już zaczynać.

W końcu nastał ranek. Była dziesiąta. Rozgrywki powinny się rozpocząć za godzinę. Huttunen analizował program wyrwany z gazety *Pohjolan Sanomat*. Zawodnicy przystąpią do

rywalizacji w dyscyplinach rozgrywanych na boisku zaraz po wystąpieniu gubernatora. Odbędzie się bieg na trzy kilometry oraz bieg przez płotki na czterysta i na sto metrów. Huttunen trenował właśnie bieg przez płotki na czterysta metrów. W czasie wojny na Syvari zdobył mistrzostwo dywizji w tej dyscyplinie. W nagrodę dostał pięć dni dodatkowego urlopu. Spędził go w Sortavali. Podczas tamtej wyprawy zgubił buty z kolcami, a w zamian złapał złośliwe mendy.

Z dołu od strony cmentarza dobiegły go głosy. Okazało się, że nadchodził pastor z organistą. Dopiero teraz Huttunen uświadomił sobie, że przecież jest niedziela i czas na mszę. To nic. On posiedzi sobie bezpiecznie tutaj, na wieży, bo nie musi przecież schodzić na dół. Stąd usłyszy psalmy i dla zabicia czasu może też zaśpiewać. A zaraz po nabożeństwie odbędzie się wydarzenie dnia numer jeden - gminne zawody sportowe.

Huttunen słyszał rozmaite dźwięki dochodzące z dołu kościoła. Trzaskały drzwi, skrzypiały deski podłogi. Organista zagrał kilka nut na organach. Wtem młynarz usłyszał, jak ktoś wspina się po schodach prowadzących na wieżę. Czy to pastor? Jaką to sprawę może mieć do załatwienia w dzwonnicy? Huttunen podszedł do schodów i nadstawił uszu. Nie było wątpliwości, ktoś wdrapywał się na górę.

Nagle młynarz zrozumiał, że może to być pomocnik pastora, który przychodzi rozkołysać dzwony!

Sytuacja stała się niebezpieczna. Huttunen nie miał pojęcia, gdzie można by się schować w tym ciasnym pomieszczeniu. Ze schodów słychać było odgłos kroków zbliżającego się dzwonnika. Ucieczka przez okno nie wchodziła w grę.

Po stromych schodach wspinał się parobek Launola, który niczego się nie spodziewał. Kiedy stanął w drzwiach dzwonnicy, Huttunen uderzył go pięścią w głowę. Launola mało nie spadł na dół. Młynarz pochwycił go za ramiona, zawłókł pod dzwony i w ten sposób zdążył uratować chłopaka od śmierci. Parobek był nieprzytomny, ale oddychał równo. Serce biło mu mocno, więc na pewno nie stało się nic strasznego. Huttunen związał mu ręce paskiem na plecach. Potem ściągnął z niego koszulę i zakneblował usta, przez co pozbawił go możliwości chodzenia i mówienia. Następnie podciągnął chłopaka pod okno, żeby otrzeźwiał. Pod wpływem porannego wiatru Launola prędko doszedł do siebie.

- To ty, diabelskie nasienie, robisz tu za pomocnika pastora? - rzucił Huttunen ostro do parobka, który przez chwilę gapił się przerażony na młynarza, a potem kiwnął głową.

- A gdzie etatowy pomocnik? Launola zrobił minę chorego człowieka.

- Przyszedłeś uderzyć w dzwony? Chłopak przytaknął.

Huttunen wyciągnął zegarek kieszonkowy. Niech to diabli wezmą! Wkrótce zacnie się

nabożeństwo. Teraz nadszedł czas wprawienia dzwonów w ruch. Nie mógł pozwolić, żeby to Launola chwycił za sznury, bo zaraz zacząłby bić na alarm i ludzie z kościoła wpadliby tutaj natychmiast sprawdzić, co się z nim stało.

Huttunen próbował przypomnieć sobie, w jakim rytmie zwykle kołysały się dzwony. Pamiętał tylko, że w rzadkich odstępach. Czy wygrywały jakąś specjalną melodię? Nie miał zielonego pojęcia. Najlepiej będzie, jak się postara utrzymać stałe tempo.

Chwycił sznur mniejszego dzwonu i pociągnął mocno. Dzwon zakołysał się, przechylił na bok i opadł z powrotem. Huttunen pociągnął drugi raz i dzwon wychylił się do skrajnej pozycji. Wracając, zadzwieczał, aż dzwonnikowi mało nie popękały bębunki. Drugą ręką młynarz pochwycił sznur przyczepiony do serca większego z dzwonów. Ten zagrział jeszcze potężniej. Huttunen szarpał sznury na zmianę, a dzwony grały przepięknie. Stwierdził, że udało mu się wydobyć z nich całkiem znośne zaproszenie dla bogobojnych wiernych wybierających się do kościoła.

Zastanawiał się, jak długo jeszcze musi dzwonić, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Dziesięć minut, a może więcej? Miał z tym dużo roboty, bo jednocześnie obserwował parobka Launolę, który siedział przy oknie gotów do ucieczki.

Huttunen, zlany potem, pociągał za sznury. Przejmujący dźwięk wstrząsał kościołem. Młynarz był pewien, że gromkie tony rozchodzą się daleko i docierają aż do odległych miejscowości. Dobrze, że w Rovaniemi nie słyszą, jak w tej bogobojnej wsi wzywa się chrześcijan do modlitwy.

Zadyszany zerknął na zegarek: była za minutę dziesiąta. Postanowił zakończyć granie równo o dziesiątej. Uznał, że tak będzie dobrze, no bo przecież duchowny też musi mieć czas do rozpoczęcia swojej części. Potwornie głośne uderzenia dzwonów spowodowały, że Huttunenowi całkiem zatkało uszy.

O dziesiątej wypuścił sznury z rąk. Mały dzwon uderzył jeszcze kilka razy, a większy raz. W dzwonnicy zapanowała niebiańska cisza.

Po pewnym czasie z dołu, z nawy kościelnej dał się słyszeć pobożny śpiew. Widocznie ludzie nie zauważyli niczego dziwnego w dźwiękach dzwonów rozkołysanych przez młynarza. Wprawdzie Huttunen nie zrozumiał kazania, które wygłosił pastor, ale na koniec nie mógł się powstrzymać i przyłączył się do śpiewających psalm. Po zakończeniu nabożeństwa naród wyległ z kościoła, kierując się prosto na boisko sportowe. Tej niedzieli nikt nie zbierał datków, bo pomocnik pastora chorował, a jego zastępca związany i zakneblowany siedział w dzwonnicy. Żaden parafianin nie był jednak z tego powodu zasmucony. Huttunen poczuł ukłucie w sercu - to przez niego dzieci w jakimś pogańskim kraju zostaną pozbawione pomocy

z misji parafialnej. Postanowił, że kiedyś, gdy będzie już bogatym biznesmenem, wynagrodzi wyrządzone szkody tak parafii, jak i misjonarzom.

Na boisku odezwały się mocne głośniki. Huttunen przysunął się do okna i przystawił lornetkę Endnena do oczu. Zobaczył grupę zawodników w ubraniach sportowych i około setki ludzi na widowni. W drugim końcu boiska, obok mety znajdował się osobny płot zrobiony z desek, przy którym postawiono kilka foteli. Na przodzie siedział gubernator, a za nim najważniejsze osoby we wsi: naczelnik policji, przewodniczący Rady, lekarz Ervinen, pastor ijtiklu gospodarzy, między innymi Vittavaara i Siponen. Pierwszy przybył na miejsce wraz z żoną, a drugi uświetniał imprezę w pojedynkę.

Huttunen szukał przez lornetkę instruktorki Sanelmy Kayramó. Cierpliwie przeglądał szeregi widzów. W końcu zauważył konsultantkę, która stała poza boiskiem, na małym, porośniętym sosnami pagórku obok cmentarza. Oprócz niej były tam też inne młode kobiety w kolorowych chustach i spódnicach. Huttunen ucieszył się na widok Sanelmy tak bardzo, że o mało nie powitał jej wyciem.

Właśnie przemawiał gubernator. Głośniki ustawiono w taki sposób, że wystąpienie dostojnika słychać było w dzwonnicy podwójnie. Huttunenowi wydawało się więc, że gubernator naśladuje sam siebie. Mówca podkreślił uskrzydlający i podniosły wpływ sportu oraz zachęcił obywateli do uczestniczenia w zawodach, jak tylko będą mieli okazję. Nawiązał do odszkodowań wojennych, które Finlandia musi zapłacić, i wspomniał, że wypełnienie tego zobowiązania zależy od wielkiego, sportowego wysiłku całego narodu.

- Wystarczy, że pociąg z odszkodowaniem przybędzie na granicę państwa opóźniony o jedną sekundę albo jedną dziesiątą sekundy, a odbiorca zażąda natychmiast olbrzymich odsetek karnych. Niech to będzie dobitny przykład dla młodzieży naszego kraju, że nie warto się spóźniać na metę.

Gubernator nawiązał też do olimpiady mającej się odbyć następnego lata w Helsinkach. Wyraził nadzieję, że sportowcy z tej wsi także wezmą w niej udział i przywiozą do Laponii wiele złotych i srebrnych medali.

Po przemowie gubernatora rozpoczęto zawody. Parobek Launola przywłókł się na czworakach do Huttunena. Grymasem twarzy dał do zrozumienia, że też chciałby oglądać zmagania sportowe. I chociaż młynarz nie lubił chłopaka, to zrobił mu miejsce przy oknie. Wdzięczny zastępca pomocnika pastora, który nie wykonał zadania, zaczął oglądać rzucanie oszczepem. Jakiś zawodnik z Kantojarvi rzucił nim właśnie w stronę łoży gubernatora. Został zdyskwalifikowany natychmiast, chociaż do tej pory prowadził.

W skokach wykorzystywano nowoczesne i giętkie tyczki bambusowe. Huttunen

spodziewał się dobrego wyniku, ale mocno się rozczarował, bo zwycięzca uzyskał zaledwie 3,45 metra. Kiedy wręczono mu nagrodę - srebrną tyczkę - Huttunen nie mógł się pohamować i krzyknął z wieży:

- Palant!

Jego krzyk przeciął niebo nad boiskiem. Publiczność i zaproszeni goście spojrzeli na chmury, skąd doszedł ich głos. Właśnie w tej chwili nadleciały znad cmentarza dwa kołyszące się gawrony i pofrunęły dalej, głośno skrzecząc. Gubernator i pozostali widzowie powrócili do zawodów.

Bieg przez płotki na czterysta metrów Huttunen oglądał z wielkim zaciekawieniem. Brało w nim udział tylko trzech zawodników oraz fotograf gazety *Pohjolan Sanomat*, który biegł obok w rozwianym płaszczu w kratkę, robiąc zdjęcia. Według Huttunena to właśnie on wygrał ten trudny wyścig, bo zawodnik, który pierwszy dotarł na metę, uderzył kolaniem w płotek tak poważnie, że trzeba go było zanieść do łoża zaproszonych gości, gdzie siedział doktor. Ervinen uklonił się grzecznie gubernatorowi, ściągnął zawodnikowi spodnie i uderzył go kantem dłoni w kolano. Powietrze przeszył okrzyk bólu.

W ten to sposób Huttunen i parobek Launola oglądali zawody aż do samego końca. Częściej jednak niż zwycięskim sportowcom młynarz przyglądał się przez lornetkę instruktorce Sanelmie Kayramó, której jasne włosy ślicznie rozwiewał ciepły, letni wiatr.

33

Po oficjalnym programie sportowym gubernator gościł u naczelnika Jaatili. Czekala na niego gorąca sauna na brzegu Kemijoki. Na werandę wniesiono słone przekąski i podano kawę. Świta gubernatora składała się - poza naczelnikiem - z Ervinena, pastora, przewodniczącego Rady Gminnej i dyrektora banku Huhtamoinena. Nauczyciela nie zaproszono, ale przyszedł za to Viittavaara, bo miał dość duże gospodarstwo, a dobra koniunktura w związku z wojną koreańską przysporzyła mu jeszcze bogactwa.

Zebrani, dyskutowali na temat wojny w Korei, olimpiady, odszkodowań wojennych, uprzemysłowienia Laponii oraz wycinki w lesie, która rozpoczęła się teraz także na terenach państwowych.

- Dzięki temu nasz naród urośnie w siłę - powiedział nagi gubernator, wychodząc mozolnie na brzeg z zimnej wody Kemijoki.

Kiedy dostojne towarzystwo wróciło z sauny i udało się do zacisznego saloniku, otworzono butelkę koniaku i wzniesiono toast. Niestety, tylko jeden, bo gubernator był zwolennikiem trzeźwości.

- A propos, zmieniając temat... Aż w Rovaniemi opowiadają jakieś historie o tym, że

mieliście tu we wsi szalonego człowieka, który za nic nie chciał pojechać na leczenie do szpitala w Oulu. Ludzie mówią, że czasem wyje sobie wieczorami dla rozrywki.

Naczelnik chrząknął. Próbował zbagatelizować całą sprawę, mówiąc, że takich wariatów spotyka się w każdej wsi.

Ale Ervinen i Vittavaara z czerwonymi od wypitego koniaku policzkami zaczęli opowiadać gubernatorowi o dziwactwach Gunnara Huttunena. Wyliczyli wszystkie grzechy młynarza. Twierdzili, że jest niebezpieczny, uzbrojony, że trzyma całą wieś w strachu. I że nic mu nie można zrobić.

Naczelnik starał się łagodzić wydzwięk tych opowieści. Powiedział, że młynarz właściwie nie jest groźny. To prosty człowiek, tylko trochę szalony i nie warto brać go na poważnie.

- Scharakteryzowałbym Huttunena jako w gruncie rzeczy dobrodusznego wariata... Owszem, jest niespokojny, ale nieszkodliwy i z pewnością można się z nim dogadać.

Gubernator usłyszał jednak wystarczająco dużo.

- Nie ma mowy, żeby w moim okręgu biegał na wolności po lasach uzbrojony, chory umysłowo i - jak wszystko na to wskazuje - niezwykle niebezpieczny człowiek. Naczelniku Jaatila! Powinien pan nasilić poszukiwania. Mężczyzna ten musi być bez zwłoki odstawiony do szpitala. Dla tego rodzaju jednostek w naszym społeczeństwie są przeznaczone całkiem inne miejsca.

Właśnie wtedy od strony Reutuvaary rozległ się z daleka smutny skowyt. Ponieważ okno w saloniku było tylko uchylone, więc gubernator otworzył je szeroko, żeby lepiej słyszeć. Jego twarz pojaśniała z ekscytacji.

- Wilk? Czy to nie jest wycie wilka?

Naczelnik podszedł do okna i udawał, że nasłuchuje. Po chwili chciał zamknąć okno, mówiąc jednocześnie:

- Oczywiście wilk... Jakiś samotny wilk, pewnie przywędrował zza granicy. Jest nieszkodliwy o tej porze roku.

Gubernator nie pozwolił jednak zamknąć okna. Stwierdził, że po raz pierwszy ma okazję posłuchać wycia prawdziwego, dzikiego wilka.

- To jedno z najwspanialszych doświadczeń w moim życiu!

Niech pan, naczelniku, naleje jeszcze wyjątkowo trochę koniaku!

Ervinen wyrwał, go z zachwytu, stwierdzając ironicznie:

- To nie żaden wilk, już ja znam głos mojego pacjenta. Ty, Jaatila, też na pewno go poznałeś.

Naczelnik musiał przyznać, że teraz słyszy lepiej i że to chyba Huttunen tam wyje. Gubernator wybuchnął:

- To jest niepojęte. Pozwala się człowiekowi terroryzować wieś wedle upodobania! Dlaczego nikt nie rusza natychmiast, żeby go schwytać?

Naczelnik wyjaśnił, że nie da się złapać młynarza teraz, kiedy jest ciepło. Potrzeba do tego dużo ludzi, psów gończych, no i szczęścia... Wieś ma tylko jednego policjanta, Portimę, który nie radzi sobie dobrze i pozwolił uciec młynarzowi już kilka razy. Niech sobie Huttunen wyje teraz, ile dusza zapragnie... Ale jesienią, zaraz jak tylko spadnie pierwszy śnieg, naczelnik położy kres tym zawodzeniom. Teraz nic nie można zrobić.

Gubernator był innego zdania:

- Załatwimy to inaczej: z kompanii przygranicznej w Rovaniemi przyślą jęgrów i psy gończe. O, tak! Jestem przekonany, że można znaleźć jednego człowieka ukrywającego się w lasach. Jeżeli pan, naczelniku Jaatila, nie ma wystarczająco dużo ludzi i psów, to ja osobiście zatroszczę się o ich sprowadzenie.

Okno zostało zamknięte, a gubernatorowi nalano kawy. Jaatila siedział poirytowany w swoim fotelu. Właśnie skrytykowano ostro sposób, w jaki wypełnia swoje obowiązki urzędowe, a winnymi tego stanu rzeczy są gadatliwy Ervinen i wolno myślący Vittavaara... No i oczywiście główny winowajca, przeklęty Huttunen.

Po chwili naczelnik zaproponował gubernatorowi rozpoczęcie negocjacji pokojowych z młynarzem w celu zawarcia ugody.

- Czy tego człowieka nie można by jakoś ułaskawić? Dostarczy mu się wiadomość, że może już wyjść z lasu. Obieca się też, że nie wniesiemy oskarżenia z powodu popełnionych przestępstw ani nawet nie odtransportujemy do szpitala... Jestem przekonany, że wyjdzie do ludzi, usatkuje się. Moglibyśmy zażądać od niego zobowiązania na piśmie, że już nigdy nie będzie wył głośno. Tutejsza instruktorka kółka rolniczego twierdzi, że podobno ma z nim kontakt. W ten sposób udałoby się nam zakończyć tę przykrą sprawę.

Gubernator zastanowił się nad propozycją, ale ostatecznie podjął odmowną decyzję:

- Nie. Coś takiego nie wchodzi w grę. Przestępcę można jeszcze ułaskawić i tutaj nic nie stoi na przeszkodzie. Ale jak można ułaskawić chorego psychicznie? Nie leży to w gestii władz. Sprawa wygląda następująco: tego osobnika należy zawieźć natychmiast do szpitala psychiatrycznego, bo tam jest jego miejsce. Nie pozwolę, żeby człowiek wył w lasach mojego okręgu.

Wtem z przedpokoju dały się słyszeć głosy. Po chwili weszła służąca i doniosła naczelnikowi, że niejaki Launola chce z nim mówić. Jaatila wyszedł na spotkanie z parobkiem.

Gubernator wyłowił ze słów wypowiedzianych w podnieceniu za ścianą nazwisko Huttunena. Poprosił naczelnika i parobka do saloniku.

- Niech pan opowie, młody człowieku, co pan wie na temat młynarza Huttunena.

Launola uklonił się i zaczął wyjaśniać, jak to przyjął zastępstwo od pomocnika pastora, który zachorował.

- Ma rozedmnę płuc i leży w łóżku, bo lekarstwa nie pomagają... a nie ma pieniędzy na innego lekarza niż ten... no, Ervinen.

Doktor powiedział ze złością:

- Przejdź, Launola, do rzeczy, gubernator nie chce słuchać o zaflegmionych płucach pomocnika pastora.

Parobek oznajmił, że kiedy dzisiaj rano wszedł na wieżę kościelną uderzyć w dzwony, to czał się tam już na niego Huttunen.

- Kunnari pobił mnie na amen i związał, żebym nie mógł uciec ani zawołać pomocy. Potem sam bił w dzwony, a po nabożeństwie oglądaliśmy zawody sportowe. Widzieliśmy też i pana gubernatora.

Launola twierdził, że był więźniem Huttunena przez cały dzień. Dopiero wieczorem młynarz zszedł z nim do piwnicy i zamknął go. Parobkowi udało się uciec stamtąd dopiero niedawno.

- I to wszystko, o czym chciałem powiedzieć.

Pozwolono mu odejść, a kiedy drzwi się za nim zamknęły, gubernator ogłosił surowo:

- Ponieważ człowiek ten postępuje niewłaściwie i jest wyjątkowo bezczelny, trzeba go natychmiast aresztować, nawet przy pomocy sił zbrojnych. Czy można sobie wyobrazić większą obrazę uczuć religijnych? Szaleniec bije w dzwony kościelne na wieży domu Pana!

Gubernator otworzył jeszcze raz okno saloniku. Wszyscy nasłuchiwali w milczeniu. Ale w okolicach Reutuvaary było cicho. Huttunen znajdował się właśnie w drodze do swojego obozu położonego w zachodnich lasach.

34

Minęło kilka dni. W Obozie przy Drodze pojawił się znajomy Huttunena, Happola. Młynarz leżał sobie w szalasiu i czytał „Podstawy ekonomii” autorstwa Kaitilów, kiedy z dachu poderwały się do lotu sójki, odrywając go od lektury. Huttunen wyszedł na spotkanie gościa ze sztucerem w ręku. Ale kiedy rozpoznał towarzysza niedoli ze szpitala psychiatrycznego, zapytał od razu:

- Jak tu trafiłeś?

- Przecież sam mi to napisałeś. Długo się tu idzie! Mieszkasz teraz stanowczo za daleko.

Ale opisałeś to miejsce dość dokładnie. Nie udało mi się tylko znaleźć skrzynki pocztowej.

Happola był wesoły i pełen wigoru. Ubrał się w nową, skórzaną bluzę i bryczesy ze skórzanymi łatami naszytymi na siedzenie. Na nogach miał nowe buty do konnej jazdy. Huttunen zawiesił imbryk z kawą na gałęzi nad ogniskiem i ukroił gościowi chleba i słoniny.

Kiedy wypili po kubku kawy, Happola przystąpił do rzeczy. Powiedział, że kilka dni temu wyjechał z Oulu, spędził noc w Kemi i przyjrzał się młynowi w Suuskoski.

- Oglądałem ten twój młyn wczoraj i dzisiaj.

- No i jak ci się podoba? Prawda, że wszystko jest w dobrym stanie? - pytał Huttunen niecierpliwie.

Happola przyznał, że młyn wygląda porządnie, przynajmniej z zewnątrz. Ściany są świeżo pomalowane, rynna sprawia wrażenie solidnej, koła wodne też ujdą. Nie miał tylko pewności co do pasów transmisyjnych. Huttunen zapewnił, że wiosną zamówił całkiem nowe pasy na kamienie do mielenia mąki. Są w magazynie, trzeba tylko zapłacić rachunek w sklepie żelaznym w Kemi.

- Nie znam się za bardzo na młynach - powiedział Happola - ale kamienie do kaszy wyglądają na nowsze niż kamienie do mąki. A jak pewnie wiesz, teraz nie warto używać kamieni do kaszy.

- Ależ można ich używać do mielenia jeszcze wiele lat - twierdził Huttunen.

- Największy problem w tym młynie to dolne belki budynku. Są spróchniałe. Po południowej stronie trzeba by wymienić co najmniej trzy rzędy. Taką samą próchnicę widziałem w dolnej części rynny wodnej. Kiedy poskrobałem belki czubkiem noża, to ostrze wpadło aż do końca, chociaż przytrzymałem je lewą ręką - opowiadał Happola, pokazując, jak głęboko sięgał nóż. Huttunen przyznał, że może trzeba będzie wymienić w przyszłości kilka rzędów w ścianie od strony koła wodnego. A ponieważ młyn został zbudowany na palach, ich wstawienie nie powinno być trudne.

- Wystarczy wyciągnąć podnośnikiem belki przy palach, ociosać nowe, wstawić na miejsce, a potem dopasować dom z powrotem i będzie dobrze. Stolarz potrzebuje na taką robotę dzień albo dwa.

- Ale wpływa to na cenę. I weź też pod uwagę, że właściwie nie potrzebuję młyna. Nigdy nie robiłem interesów w branży zbożowej.

Mimo wszystko Happola złożył ofertę kupna. Podał niską cenę. Można było kupić za nią jedynie mały domek letni albo parę koni pociągowych z uprzężą i wozem. Huttunen musiał jednak się zgodzić, bo nie mógł się spodziewać na tym pustkowiu lepszych propozycji. Mężczyźni przybili sobie dłonie i kwestie finansowe zostały załatwione. Happola powiedział,

że wyśle pieniądze natychmiast, jak tylko notariusz zatwierdzi dokumenty. Obiecał, że papiery przygotuje zaraz po powrocie do wsi.

- Przypadkiem znam notariusza w Kemi. Trzeba tylko sprawdzić, czy nieruchomości nie jest obciążona, chociaż oczywiście mam do ciebie zaufanie - powiedział Happola sprawiający wrażenie bardzo zadowolonego z zakupu pierwszego w swoim życiu młyna.

Zaczęli rozmawiać na temat wspólnie spędzonych dni w szpitalu psychiatrycznym. Huttunen wypytywał, jak Happola się stamtąd wydostał.

Twarz gościa wydłużyła się mocno, kiedy rozmowa zeszła na ten temat.

- Cholera, przez te wyglupy zmarnowałem szmat życia. Tkwiłem w wariatkowie przez ostatnie pięć lat zupełnie bez sensu.

Opowiedział, że gdy minęło dziesięć lat od zachorowania, poszedł natychmiast do lekarza i oznajmił, że jest właściwie całkiem zdrowy. Przedstawił całą historię. Początkowo nie uwierzono mu, ale w końcu, kiedy zdradził szczegóły pobytów w mieście, dano wiarę jego słowom. Niechętnie uznano go za zdrowego i postawiono warunki, na jakich miał wyjść ze szpitala.

- Do diabła! Gdy nie mogli już wymyślić nic innego, poprosili dyrektora do spraw gospodarczych, a ten powiedział, że szpital nie utrzymuje zdrowych ludzi za darmo.

- Podstawił mi pod nos rachunek za pięć lat i zagroził, że jak nie zapłacę, to nie wyjdę. Wrzucili mnie do izolatki, do takiej celi dla niespokojnych i postraszyli, że założą mi kaftan bezpieczeństwa, jeśli nie dostaną pieniędzy.

Happola chciał się dowiedzieć, jakim prawem żądano od niego opłat szpitalnych, czyli kosztów wyżywienia i leczenia za pięć lat. Dowiedział się, że właściwie to powinien zapłacić za utrzymanie przez dziesięć lat, ale opłaty za jedzenie i łóżko z pierwszych lat już się przedawniły. No więc musiał w końcu wyłożyć pieniądze na pokrycie kosztów opieki szpitalnej.

- Ten rachunek został sporządzony w diabelski sposób. Dyrektor do spraw gospodarczych to chciwy i skąpy człowiek. Jedzenie kosztowało prawie tyle samo co w restauracji. Napisali, że jadłem obiady i kolacje i że miałem różne zabiegi lecznicze. A czynsz! Zupełnie jakbym leżał pięć lat w hotelu! I to wszystko trzeba było uiścić za jednym zamachem. Zaraz jak tylko wyszedłem, pogałem z rachunkiem do adwokata i teraz zimą będzie sprawa w sądzie. Tak czy owak musiałem zapłacić.

Happola był rozgoryczony. Przypomniał Huttunenowi, jakie to wyżywienie mieli w szpitalu.

- Jadłem owsiankę przez dziesięć lat. Tobie ona nie smakowała, ale ja jadłem. Pomyśl,

ile za nią zapłaciłem! Niech to szlag trafi!

- Fakt, żarcie nie było wykwintne - przyznał Huttunen. Przypomniał sobie codzienne szpitalne posiłki - gęstą zupę mleczną, ugotowaną z kaszy przeznaczonej na paszę, pełną grud i przeważnie zimną. Często znajdował w niej źdźbła zboża.

- To prawda, człowiek jest okradany przez państwo - narzekał Happola. - Na szczęście wojna w Korei jeszcze się nie skończyła. Sprzedałem szesnaście hektarów lasów w Kiiminki i z zysku pokryłem rachunek ze szpitala. Pieniądzy zostało mi jeszcze na tyle, żeby pomóc ci z młynem. Mam w Kajaani kupca. Bo przecież nie biorę młyna po to, żeby sobie stał.

Huttunen zapytał o innych, którzy leżeli w tej samej sali szpitalnej. Happola potrząsnął głową.

- Wszystko u nich bez zmian. Tylko Rahkonen zmarł na początku lipca. To ten facet, co od rana do wieczora siedział w kącie ze zmarszczonym czołem. Pewnego wieczoru wstał i umarł. Nic nie powiedział, tylko przewrócił się i już było po nim. Jego łóżko zajął weselszy wariat, ten którego wszystko śmieszy. Taki dzieciak, pamiętasz go jeszcze? Biedak przejął się bardzo twoją ucieczką. Przez kilka tygodni pytał, kiedy wrócisz. A salowa, co tak głośno mówi? Przenieśli ją na oddział kobiecy, ale ponieważ ciągle krzyczała na te zwariowane baby, to któregoś dnia się zebrały i ją pobiły. Miała złamaną nogę, więc jest teraz u diakonis. Baby przetrąciły jej nogę tak sprytnie, że nie wróci przez Bożym Narodzeniem. A my dostaliśmy nowego salowego. Leniwy pacan. Nic nie mówi, ale i nic nie robi.

- A lekarz?

Happola powiedział, że lekarz oddziałowy przeciera okulary jak dawniej.

- Raz tylko wybuchnął, kiedy poszedłem mu powiedzieć, że jestem zdrowy i że go żegnam. Zaczął wrzeszczeć i nie mógł się uspokoić tak długo, dopóki nie przyszedł pielęgniarka i nie postraszył go kaftanem bezpieczeństwa. To był dla niego silny cios. Nic dziwnego, bo kiedy się leczy kogoś przez dziesięć lat, a ten nagle przychodzi i mówi, że jest zdrowy...

- Ten lekarz sam jest psychicznie chory.

- Szkoda gadać. Najbardziej zwariowany lekarz w Finlandii.

Huttunen pokazał Happoli swój obóz, rzeczy zabrane Ervinenowi, broń i fabryczkę bimbru Piittisjarviego. Opowiedział o swoich przygodach i o tym, co udało mu się zrobić. Przyznał, że biorąc pod uwagę okoliczności, prowadzi dość wygodne życie. Jednak na dłuższą metę taki żywot samotnika nie wchodzi w grę. Zimą trudno by mu było przeżyć. Jak spadnie pierwszy śnieg, to władze mogą odkryć obóz. Powiedział o planach budowy domu położonego dalej w puszczy. Gdyby tylko stanął finansowo na nogi!

- Życie pustelnika jest raczej surowe.

Huttunen wyznał też, że zaczął się uczyć ekonomii. Pokazał broszury ze szkoły korespondencyjnej i rzucił terminami ze świata biznesu. Happola słuchał z zainteresowaniem.

- Gdybyś tymczasowo i oficjalnie nie był wariatem, to moglibyśmy stworzyć całkiem dobraną parę. Ja całe życie pracuję w biznesie. Interesuje mnie handel hurtowy. Skończ najpierw szkołę handlową, a potem zobaczymy. Możemy przecież założyć hurtownię w Oulu lub Kemi. Ja wyjeżdżałbym w interesach, a ty zajmowałbyś się dokumentami firmy i sprawami bieżącymi.

Huttunen poczęstował Happolę solonym łososiem. Po posiłku odprowadził przyjaciela do drogi. Kiedy się rozstawali, Happola pożegnał go mocnym uściskiem ręki.

- Jutro wyślę natychmiast list w sprawie sprzedaży młyna. Pieniądze dostaniesz zaraz, jak tylko papiery zostaną podpisane. Tego możesz być pewien na sto procent.

Huttunen wracał do obozu zadowolony. Pierwszy raz od dłuższego czasu poczuł się o wiele bezpieczniej. Po wielu miesiącach przyszłość rysowała mu się wreszcie w jaśniejszych barwach. Nauka szła dobrze... Może wkrótce pojedzie z Sanelma Kayramó za granicę rozpocząć nowe życie?

35

Następnego tygodnia Piittisjand znowu przydzwigał do obozu Huttunena pocztę i warzywa. W liście instruktorka Sanelma Kayramó ostrzegła Gunnara przed wyciem, bo podobno sam gubernator zagroził wysłaniem armii, żeby go aresztować, jeśli skowoty i działania destrukcyjne się nie skończą. Na koniec Sanelma napisała też, że kocha go gorąco, i podkreśliła znaczenie studiowania ekonomii. Zachęciła Gunnara do posiekania i zjedzenia przyniesionych przez Piittisjarviego warzyw sałatkowych.

Huttunen dostał też drugi list - od Happoli. Otworzył przesyłkę z uczuciem zwycięstwa, przekonany, że sprawa sprzedaży młyna jest już załatwiona. Teraz pewnie wystarczy tylko podpisać dokumenty i odebrać pieniądze od Happoli.

Doznał jednak okropnego rozczarowania. Okazało się, że Happola nie może nabyć młyna, bo został on zarekwirowany przez gminną Radę Społeczną. Huttunena uznano za niepczytalnego i pozbawiono prawa sprzedaży i zastawu własnego majątku.

„W związku z tym z transakcji nic nie będzie. Postaraj się obalić tę decyzję o przepadku mienia, to wtedy kupię od Ciebie młyn. Trzymaj się. Happola”.

Huttunen chwycił sztucer, wepchnął sobie lufę do ust i postanowił od razu się zastrzelić. Piittisjarvi próbował go uspokoić, mówiąc, że byłby szalony, gdyby się teraz zabił.

- To dopiero by się spodobało tym wiejskim panom. Młynarz przemyślał słowa listonosza i przyznał mu rację.

- Spalę, cholera, cały ten młyn i będzie koniec! Zarzucił strzelbę na ramię i ruszył od razu w stronę wsi.

Piittisjarvi starał się dotrzymać Huttunenowi kroku, ale ustał już na środku bagna Puukkosuo. Młynarz zniknął pod osłoną lasu. Listonosz pomyślał sobie, że kiedy Gunnar zjawi się we wsi w takim stanie ducha, to dopiero zrobi się awantura.

-1 do tego z bronią...

Było popołudnie. Trzęsawisko zapadało się pod stopami biegnącego Gunnara, a błoto rozpryskiwało się aż na szosę. Minął Asemakylę, przepłynął łodzią Kemijoki i poszedł na skróty do Suuskoski. Po drodze narwał pełno gałęzi brzoźowych. Spocony przybiegł do młyna. Oderwał przybite drzwi i wpadł do izby.

Nabrał z drewnianej skrzynki stojącej obok kominka suchych polan i mocnymi uderzeniami naciął szczap. Potem przeniósł drewno oraz podpałkę na dół i pomiędzy kamieniami do mielenia mąki i kaszy przygotował ognisko. Ułożył drewno w stos, włożył do środka gałęzie brzoźowe i szczapy, a potem wyciągnął z kieszeni pudełko zapalek. Potarł jedną z nich, ale był tak zdenerwowany, że płomyk zgasł mu w drżącej od gniewu ręce.

Rozejrzał się dokoła. Wszystko było znajome, w dobrym stanie: kamienie, belki, z których zbudowano ściany, sąsieki, lejki na mąkę. Zdawało się, że całe otoczenie błaga gospodarza o litość i woła: - Nie podpalaj!

Huttunen odrzucił drugą zapalną. Zebrał drewno przygotowane na ognisko, poprawił sztucer na plecach i wyszedł z młyna. Przywiązał polana i podpałkę do ramy roweru, potem wskoczył na niego jak strzelec ruszający do ataku.

- Niech mnie diabli wezmą, spalę całą wieś - powiedział stłumionym głosem. I ruszył w tamtym kierunku. Kolba strzelby uderzała z łoskotem o ramę roweru. Przemknął obok domów Vittavaary i Siponena, a potem podjechał pod sklep i zwolnił, zastanawiając się chwilę, czy nie podłożyć ognia u kupca Tervoli. Doszedł jednak do wniosku, że byłoby *to zbyt* małe zwycięstwo. Ogarnięty pragnieniem zemsty chciał większego zadośćuczynienia. Zatrzymał się dopiero przy remizie strażackiej i pomyślał, że ją mógłby spalić na początek.

Wtedy wzrok jego padł na najwspanialszy budynek we wsi - stojący pośrodku cmentarza nowy kościół. W młynarzu zawrzało:

- Jak go zniszczę, to wreszcie dam im nauczkę! Podjechał przez cmentarz pod główną bramę. W pobliżu nie zobaczył nikogo, ale drzwi były otwarte. Wniósł drewno i podpałkę. Zaczął budować stos w środkowej nawie kościoła, przed ołtarzem. Ilekroć kucał przy polanach, kolba sztucera odbijała się od desek podłogi, a dźwięk rozlegał się głośnie echem w okazałej świątyni.

Kiedy ułożył drewno, wyprostował się i zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu zapalek. Rozglądał się po wspaniałej nawie pełen złości i żądy zemsty. Jego wzrok padł na ołtarz, na którym znajdowała się rzeźba ukrzyżowanego Chrystusa. Huttunen zacisnął pięści i rzucił w stronę figury:

- Ty też jesteś dobry! Dlaczego zrobiłeś ze mnie takiego wariata?

Nagle wydało mu się, że Chrystus spojrział na niego z ołtarza surowym wzrokiem. Ból na twarzy Zbawiciela zmienił się najpierw w zdumienie, a potem oblicze Ukrzyżowanego nabrało wyrazu ciepłego rozbawienia. Jezus otworzył usta i odezwał się. Kiedy przemawiał do młynarza, jego słowa dźwięczały głośno:

- Nie bluźnij, Huttunen. Z twoim umysłem jest wszystko w porządku. Szkoła korespondencyjna Narodowego Towarzystwa Edukacji wystawiła ci dobre oceny. Masz więcej rozumu niż Vittavaara i Siponen razem wzięci, a o wiele więcej niż pastor, który miał przecież okazję kształcić się na uniwersytecie. Nigdy go nie lubiłem. Jak się mu dobrze przyjrzeć, to żaden z niego duchowny. Obłeśny typ.

Huttunen słuchał oniemiały. Chyba naprawdę oszalał, skoro słyszy, że ołtarz przemawia do niego.

Jezus mówił dalej łagodnym, ale donośnym głosem:

- Posłuchaj, Huttunen! Każdy z nas musi dźwigać swój krzyż, zarówno ty, jak i ja.

Młynarz zebrał się na odwagę i zaoponował:

- Czy to nie przesada, przynajmniej jeśli chodzi o mnie? To cholerne polowanie trwa już pół roku! Musiałem marznąć w lesie tygodniami, a przedtem odstawili mnie nawet do szpitala w Oulu... Nie można było mi oszczędzić chociaż trochę?

Jezus pokiwał głową współczująco. Potem zaczął mówić o swoich doświadczeniach życiowych:

- Małe są, Huttunen, twoje kłopoty w porównaniu z tym, co ludzie mnie uczynili swego czasu.

Twarz Chrystusa stężała, kiedy wspominał swój los.

- Prześladowano mnie aż do śmierci... W końcu przybito żywcem do krzyża. Wiesz, ile musiałem wycierpieć? Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jaki to ból, kiedy wbijają w ręce i stopy pięciocalowe gwoździe. Na głowę wkładają opaskę z krzewu ciernistego, a potem stawiają krzyż. Najgorzej jest jednak, kiedy się już zawiesznie. Człowiek nie może wyobrazić sobie tego ogromu udręczenia, jeśli sam tego nie doświadczy.

Jezus patrzył z powagą na Huttunena.

- Jestem człowiekiem, który wiele w życiu wycierpiał.

Huttunen odwrócił głowę od ołtarza, w ręce obracał nerwowo pudełko zapalek. Nie wiedział za bardzo, co ma odpowiedzieć Chrystusowi, który mówił:

- Widzę, że naprawdę postanowiłeś spalić kościół, więc jeśli o mnie chodzi, niech będzie! Nie podobał mi się on od początku. O wiele bardziej lubię stary kościółek, ten tam, nad urwiskiem. Gospodarze mieli manię wielkości i dlatego zbudowali tak wielką świątynię. Tylko nie rozpalaj ognia blisko ołtarza. Idź do zakrystii albo do przedsionka, stamtąd pożar też się rozprzestrzeni, to całkiem suchy budynek. I zabierz tę strzelbę... nie wypada pakować się tu z bronią na ramieniu i z rękami pełnymi drewna na rozpalkę. Mimo wszystko to jest kościół.

Huttunen uklonił się zawstydzony przez obrazem Jezusa, zabrał drewno sprzed ołtarza i wyniósł do przedsionka. Tam prędko podpalił polana, szczapy i gałązki, które żwawo zajęły się ogniem. We wnętrzu kościoła zaczął zbierać się gęsty dym.

Przedsionek także wypełnił się błyskawicznie dymem i Huttunen musiał otworzyć drzwi. Nie zważając na nic, wycofał się do środka. Usiadł w ławce i przecierał oczy. Nigdy by nie przypuszczał, że mały ogień może spowodować tak duże zadymienie. To chyba dlatego, że w kościele nie było przeciągów.

Chmura dymu wypłynęła przez główną bramę, rozsnuła się nad cmentarzem i dalej nad wsią aż pod remizę. Ludzie zaczęli się zbiegać z wiadrami, żeby gasić pożar. W tym czasie Huttunen próbował rozniecić ognisko w przedsionku. Chuchał w żarzące się drewno, które wreszcie zajęło się ogniem i płomienie uderzyły wysoko. Co jakiś czas młynarz musiał wycofywać się przed dymem w głąb kościoła.

Na dworze słychać już było nawoływania ludzi gaszących pożar, którzy wlewali wodę do przedsionka. To spowodowało, że gęstniejący dym zaczął dostawać się do nawy. Płomienie znowu opadły, rozpalone polana syczały.

Huttunen nie widział gaszących, ale po wrzawie ocenił, że była ich spora grupka. Musiał więc uciekać. Wiedział, że nie poradzi sobie z dużą gromadą, nawet grożąc bronią. Wciągnął oddech, wybiegł do korytarza. Oczy mu łzawiły. Przeskoczył syczące ognisko i ze strzelbą na ramieniu wypadł prosto z kościoła w jasność dnia. Zaskoczeni ludzie zrobili mu miejsce. Oślepiiony światłem Huttunen odzyskał nieco wzrok i popędził przez cmentarz. Przemknął między nagrobkami, przeskokzył przez ogrodzenie i zniknął w lesie.

Na miejsce zdarzenia przybył naczelnik policji Jaatila. Stwierdził, że pożar został opanowany, a kiedy powiedziano mu, że młynarz Gunnar Huttunen próbował spalić kościół, ogłosił zdecydowanym tonem:

- Zaraz z rana zaczynamy wielki pościg. Dzwonię do Rovaniemi po żołnierzy i psy bojowe.

Rano na stacji zatrzymał się pociąg towarowy, co nie zdarzało się często. Na samym końcu składu znajdował się wagon bydłocy. Rozsunięto drzwi i ze środka wyskoczyło na peron pół oddziału jegrów pogranicznych w hełmach. Mieli ze sobą namiot wojskowy, kuchnię polową, dwa bojowe psy i pistolety maszynowe. Sierżanci kazali żołnierzom ustawić się w szeregu. Dowódca oddziału, młody, zahartowany w bojach porucznik zameldował się u naczelnika.

- Witajcie, jegrzy! - powiedział Jaatila. - Macie przed sobą trudne i niebezpieczne zadanie, ale ja w was wierzę, a szczególne zaufanie mam do waszych psów.

Poczęstował porucznika papierosem. Sierżanci wydali komendę do wymarszu. Przytupując, oddział wyruszył w stronę promu stojącego przy brzegu rzeki. Konia Vittavaary zaprzężono do kuchni polowej. Psy bojowe i porucznik jechali samochodem naczelnika. Zwierzęta nie stanowiły zagrożenia, bo na pyskach miały kagańce. Były to duże, ponure, porośnięte gęstą sierścią owczarki niemieckie, trochę zdenerwowane. Porucznik poklepał jednego z nich i rzucił:

- Ten nazywa się Postrach Granic, a ten to Groźny Pysk. Chłopcy nie mają poczucia humoru.

Z promu żołnierze pomaszerowali na wiejskie boisko sportowe, gdzie zgromadziła się już duża grupa cywilów z dubeltówkami i plecakami. Gdyby wliczyć w to kobiety i dzieci, które też przyszły, zebrało się tam więcej ludzi niż podczas okręgowych zawodów sportowych.

Naczelnik przekazywał ścigającym wskazówki, korzystając z megafonu. Rozdano prowiant i mapy. Mężczyźni utworzyli dziesięcioosobowe grupy. Słońce grzało, nadeszła odpowiednia chwila na rozpoczęcie wielkiego pościgu. Mieszkańcom wsi przydzielono naboje do dubeltówek. Pogranicznicy załadowali magazynki pistoletów.

- Jeszcze może się z tego zrobić paskudna sprawa - ocenił jeden z jegrów.

- A według mnie polowanie na człowieka jest fajniejsze niż gaszenie płonących lasów. W zeszłym roku *m Juhannus* straciliśmy z tego powodu aż dwa tygodnie z rzędu. Kiedy wróciliśmy do domu, mieliśmy całe twarze w sadzy.

- Na wojnie kilka razy brałem udział w szukaniu desantu. Pościg za tym wariatem może być trochę podobny.

- Na szczęście dostaliśmy hełmy na wyprawę - powiedział inny żołnierz. - Ten szaleniec ma podobno broń. Jak nie strzeli prosto w twarz, to nabój odbije się od hełmu.

Porucznik wydał rozkaz zachowania ciszy i słuchania wskazówek naczelnika policji. Jaatila zakończył słowami:

- Podkreślam, że poszukiwany jest uzbrojony i niezwykle niebezpieczny. Jeśli nie

podda się na pierwsze wezwanie, to należy użyć siły. Rozumiecie chyba, co mam na myśli.

Porucznikowi naczelnik powiedział:

- A tak nieoficjalnie... Właściwie Huttunena można zastrzelić od razu, jak tylko pojawi się w polu widzenia.

- Zrozumiałem.

Ścigający podzielili się na dwie grupy: około dwudziestu cywilów wysłano na przeczesywanie lasów po wschodniej stronie Kemijoki, natomiast główne oddziały przewieziono promem przez rzekę, gdzie dostały rozkaz przeszukania puszczy po stronie zachodniej. Naczelnik stworzył stanowisko dowodzenia w Asemakylu.

Kiedy roznosiciel listów Piittisjarvi dowiedział się o tym wszystkim, pospieszył ratować fabryczkę bimbrową. Wskoczył na rower, minął ścigających i podjechał pod skrzynkę pocztową Huttunena. Schował pojazd w lesie i popędził dalej, żeby zabrać kadzie i jednocześnie ostrzec młynarza. Dotarł do Obozu przy Drodze, ale nie zastał nikogo. Pohukiwał cicho, jednak nikt mu nie odpowiadał. Widocznie młynarz wybrał się nad rzekę łowić ryby, bo z obozu zniknęła strzelba i sprzęt do wędkowania.

Piittisjarvi rozebrał na części urządzenie do pędzenia bimbrowego i schował je w gęstwinie lasu. Z trzęsawiska wyciągnął pojemnik, w którym znajdowało się jeszcze dobre pięć litrów samogonu.

Na plecaku Huttunena zostawił wiadomość ostrzegawczą:

„Wysłano za Tobą żołnierzy, Gunnar. Bierz nogi za pas, pozdrowienia - Piittisjarvi”.

Zarzucił sobie pojemnik z bimbrem na plecy i opuścił Obóz przy Drodze. Pomyślał, że zdąży dojść bezpiecznie do drogi, zanim ścigający przeczeszą okolice. Spieszyło mu się tak bardzo, że nie miał nawet czasu na papierosa. Dobrze, że chociaż mógł pociągnąć sobie kilka łyków bimbrowego z pojemnika.

To już drugi raz tego lata Piittisjarvi musiał ewakuować swoją fabryczkę. O ile już poprzednio działał w prawdziwym pośpiechu i panice, to teraz przeżywał istne katusze. Biegł przez zapadające się bagno i gęste lasy, myśląc wyłącznie o jednym: o dotarciu na drugą stronę drogi, nim puszcza zapełni się żołnierzami.

Ale jeźdźcy z kompanii przygranicznej uformowali łańcuch szybko i sprawnie. Szli przez las, nie robiąc hałasu, dlatego też drobny, spocony listonosz wpadł prosto w ich ręce. Pies bojowy zawarczał i rozszarpałby biedaka na strzępy, gdyby nie przyszedł mu z pomocą trener, zakładając zwierzęciu kaganiec.

Piittisjarvi został przewieziony z pojemnikiem bimbrowym do Asemakylu, na stanowisko dowodzenia naczelnika policji. Jaatila przesłuchał go krótko i Portimo dostał polecenie

odprowadzenia listonosza do aresztu. Bimber wylano bezlitośnie na ziemię. Oczy pocztowego roznosiciela wypełniły się łzami.

Pogranicznicy znaleźli obóz Huttunena po południu. Zniszczyli go, a naczelnikowi przywieźli ostrzeżenie zostawione tam przez Piittisjarvięgo. Jaatila udał się prosto do aresztu i wygrzmocił mocno listonosza ołowianą pałką. Ten płakał, krzyczał, prosił o litość, ale na próżno. Naczelnik domagał się informacji o Huttunenie, lecz Piittisjarvi nic nie powiedział. Jaatila pokazał mu korespondencję prowadzoną przez młynarza: testy szkoły korespondencyjnej, kilka listów miłosnych i ostatnią wiadomość od Happoli. Chciał się dowiedzieć, w jaki sposób Huttunen dostawał przesyłki. Pokryty siniakami Piittisjarvi bronił się dzielnie:

- Nawet jakbyś mnie miał zabić, to nie wydam przyjaciela.

Milczał jak zakłęty, choć naczelnik sprzął go po raz drugi. Kiedy Jaatila wyszedł wściekły z celi, Piittisjarvi krzyknął za nim:

- Takiemu bydłakowi nie zdradzę tajemnicy korespondencji!

Naczelnik odnalazł Sanelmę Kayramó i przesłuchał ją z całą surowością. Konsultatka nie przyznała się do niczego, chociaż Jaatila zagroził jej gniewem Klubu Rolniczego i gubernatora. Dziewczyna wybuchnęła płaczem i błagała o litość dla Huttunena. Powiedziała, że gdyby dano mu szansę złożenia wyjaśnień, to wyszedłby z puszczy dobrowolnie. Naczelnik zanotował to sobie w pamięci. Z pogardą rzucił konsultantce:

- Czy mam powiedzieć, jakie kobiety ukrywają wariatów? Gorsze niż dziwki!

Do Obozu przy Drodze wpuszczono psy bojowe, żeby złapały ślad Huttunena. Wymachując ogonami, bestie pobiegły przed siebie, prowadząc żołnierzy w stronę górnego biegu Puukkopuro. Złapały tam świeży zapach, który tak je podniecił, że aż rosnąca przy brzegu trzcina furczała, kiedy pędziły przed siebie. Od czasu do czasu warczały i szczekały, choć trenerzy próbowali je uciszać.

Huttunen zarzucił wędkę na brzegu Puukkopuro, przy krańcu bagna. Złapał kilka lipieni i już miał wracać do obozu. Zapalił papierosa i wpatrywał się apatycznie w wody płynącego powoli potoku. Dzień zbliżał się ku końcowi. Pomyślał, że powinien napisać list do Sanelmy Kayramó i opowiedzieć jej o ostatnich wydarzeniach. Teraz, kiedy nie może sprzedać młyna, chyba będzie dla niego lepiej przenieść się w lasy położone dalej na północ, postawić sobie w głuszy dom i przezimować w nim. Trzeba zrobić narty, przygotować beczki, zebrać jagody i upolować kilka ptaków. Dobrze by było uwędzić na zimę mięso renifera.

Jego wyczulone ucho wyłowiło szczekanie psów dochodzące od strony dolnego biegu potoku. Wyteżywszy słuch, rozpoznał niskie głosy mężczyzn. Podniósł lornetkę do oczu i

przyjrzał się przeciwległemu brzegowi bagna. W świetle popołudniowego słońca zobaczył żołnierzy w hełmach i szarych mundurach. Dwa duże psy biegły wzdłuż potoku w stronę miejsca, gdzie się znajdował.” Odgadł, że polują na niego. Załadował strzelbę, zostawił wędkę oraz ryby na brzegu i ruszył w wielkim pośpiechu, kierując się na niewielkie wzgórze położone po drugiej stronie bagna.

Psy od razu znalazły stanowisko wędkarskie Huttunena. Rzuciły się na ryby leżące na ziemi i zaczęły je rozszarpywać. Młynarz wziął jednego z nich na cel i strzelił. Zwierzę zawył i padło nieżywe. Jęgrzy zajęli natychmiast pozycje na ziemi. Drugi pies popędził przez bagno w stronę wzgórza, na którym leżał Gunnar ze strzelbą przy policzku.

Gdy zwierzę znalazło się w odległości pięćdziesięciu metrów, Huttunen strzelił. Bestia przewróciła się i zamarła bez ruchu. Jęgrzy uformowali łańcuch i rozpoczęli szturm na wzgórze. Jeden z nich puścił krótką serię z pistoletu.

Huttunen uciekał ze wzgórza na północ. Biegł tak szybko, ile tylko miał sił w nogach. Pomyślał, że jeśli chcą go wziąć żywcem, to muszą posłać za nim naprawdę twardych ludzi.

Jęgrzy z pogranicza kręcili się po puszczy przez całą noc. Po Huttunenie nie było nawet śladu. Nad ranem zgromadzono wszystkich w Obozie przy Drodze, dokąd Vittavaara przywiózł kuchnię polową na noszach przymocowanych do wozu. Postawiono tam też namiot wojskowy. Zmęczeni żołnierze i mieszkańcy wsi przyszli, żeby się pożywić i wyspać.

Zabite psy bojowe przywiązano za łapy do żerdzi, a czterech ludzi zaniósło je do wsi. Kiedy zmęczony orszak przybył na stanowisko dowodzenia naczelnika, Jaatila, wskazując na zwierzęta, burknął:

- Chcecie pochować tę padlinę na poświęconej ziemi?

Porucznik kompanii przygranicznej się zdenerwował:

- Nie pieprz! Znaleźliśmy przecież obóz tego wariata. Rozkazał pogrzebać psy. Jęgrzy wykopali zwierzętom dół obok transformatora przy rozdrożu w Asemakylu. W pobliżu znajdował się dom gospodarza Rastiego. Zebrało się tam się tego dnia kółko parafialne i słychać było ciche psalmy. Porucznik przeklinał.

- Zakopać psy, tylko żwawo. Niech to diabli wezmą, jeszcze psalmy śpiewają do tego. Co za okolica!

W domu parafialnym świecki kaznodzieja Leskela przemawiał i modlił się za Huttunena:

- Dobry Boże, weź młynarza jak najszybciej do siebie, do Nieba, albo pozwól, żeby wpadł w ręce żołnierzy, w imię Jezusa Chrystusa, amen!

Żołnierze i ochotnicy ze wsi przeszukiwali pustkowia trzy dni i nocę - bez skutku. Gospodarze powracali w milczeniu do domów, wieszali strzelby na ścianie i zabierali się z powrotem do prac w polu. Jęgrzy z pogranicza złożyli namiot, zawieźli kuchnię polową na stację i załadowali sprzęt do wagonu bydłowego, który doczepiono bez zbędnych formalności do pociągu towarowego jadącego na Północ. Lokomotywa parowa zagwizdała, żołnierze odjechali.

Na pamiątkę po wielkim pościgu pozostał jedynie wzgórek przy rozdrożu w Asemakylu. Pod ziemią spoczywały dwa dzielne psy bojowe. Tej jesieni małe dzieci przychodziły tam w każdą niedzielę i śpiewały te same pieśni, które kaznodzieja Leskela intonował podczas wieczorków parafialnych w ich domach.

Raz dziennie naczelnik Jaatila zachodził do aresztu, żeby dać wycisk listonoszowi Piittisjarviemu, ale trzymał się na darmo. Uparty pracownik pocztowy dzielnie wytrzymywał baty, odwołując się do przysięgi zachowania tajemnicy korespondencji.

Ponieważ Huttunena nie można było złapać ani siłą, ani w zorganizowany sposób, naczelnik postanowił uciec się do wybiegu. Spotkał się z instruktorką Sanelmą Kayramó, której powiedział, że władze postanowiły w końcu ułaskawić młynarza pod warunkiem, że wyjdzie z lasu.

- Chodźmy do aresztu powiedzieć Piittisjarviemu, żeby zaniósł Huttunenowi ode mnie list z ułaskawieniem, który załatwi ostatecznie sprawę. Przysięgam, że zatuszujemy ciemne sprawki pani ukochanego. Wymierzy mu się tylko niewielki mandat i na tym koniec.

Jaatila napisał do Huttunena list. Instruktorka dołączyła swoją karteczkę, w której prosiła Gunnara, żeby przyszedł do wsi i poddał się. Wszystkie poprzednie uczynki zostaną mu wybaczone.

Naczelnik, zabierając oba listy, poszedł namawiać listonosza, żeby doręczył przesyłkę.

Początkowo Piittisjand podejrzewał pułapkę, ale kiedy zobaczył przybitą na liście z ułaskawieniem oficjalną pieczęć i roztopiony lak na odwrocie koperty, uwierzył w końcu, że sprawiedliwość zwyciężyła i obiecał dostarczyć wiadomość Huttunenowi. Oznajmił jednak, że zrobi to sam, by nikt nie wiedział, dokąd się udaje.

Naczelnik zgodził się potulnie na warunek. Do aresztu przyniesiono błyskawicznie głęboki talerz parującego rosółu. Piittisjand dostał też paczkę papierosów marki Saimaa, a po posiłku wiejski masażysta Asikainen natarł mu plecy maścią. Łopatki biedaka pokryte były ciemnymi, twardymi guzami od razów zadanych ołowianą pałką naczelnika. Wieczorem, po zapadnięciu zmroku, otworzono drzwi aresztu i Piittisjarvi mógł wyjść na wolność, żeby dostarczyć powierzoną mu przesyłkę.

Naczelnik zapewnił listonoszowi skuteczny ogon: w ślad za nim ruszyli parobek Launola, Vittavaara oraz on sam. Szli najpierw do Asemakyl, a potem - zachowując ciszę - przemykali się przez lasy. Piittisjarvi obrał kierunek na skrzynkę pocztową Huttunena. Zerkał za siebie, sprawdzał, czy nikt mu nie towarzyszy, ale nie zauważył nikogo. W końcu włożył listy do skrzynki i jak gdyby nigdy nic, wrócił na drogę.

Natychmiast kiedy tylko ujawnił lokalizację skrzynki, został zatrzymany. Siłą odprowadzono go z powrotem do aresztu. Nie pomogły żadne sprzeciwy. Tym razem nie dostał jednak lania, bo naczelnik spieszył się, żeby zorganizować zasadzkę przy skrzynce pocztowej.

Jaatila i mieszkańcy wsi czatowali tam półtora dnia, zanim ofiara wpadła w pułapkę. Mocno wygłodzony Huttunen przyszedł o piątej nad ranem sprawdzić, czy czegoś w skrzynce nie ma. Stojący na czatach parobek Launola zawiadomił natychmiast naczelnika.

Huttunen zbliżył się ostrożnie, a ponieważ las był pusty, więc zebrał się na odwagę i otworzył skrzynkę. Przeczytał kilka razy listy od naczelnika i konsultantki. Kiedy zrozumiał, jak wspaniałą ofertę zawierają, jego napięcie minęło; uspokoił się i chociaż był kompletnie wykończony, wydawało się, że wraca mu wiara w życie i odzyskuje siły. Tak to Huttunen wpadł w zasadzkę. Myśliwi mogli przystąpić do ataku.

Młynarz wcisnął listy do kieszeni i skierował się ku drodze. Chciał dotrzeć do przystani promu, ale nie zdążył zrobić nawet kilku kroków, kiedy z obu stron wyskoczyli napastnicy. Całkiem zaskoczonego Huttunena doprowadzono do szosy, a tam związano mu porządnie ręce i nogi. Naczelnik przeciągnął kilka razy pałą po plecach Gunnara, aż mu kości chrupnęły. Vittavaara przyprowadził konia i wkrótce stary wałach popędził do promu, stukając kopytami po drodze. Huttunen leżał nawozie, a naczelnik i Vittavaara siedzieli na nim, zacinając konia. Kiedy dojechali nad rzekę, zwierzę było spienione i buchało parą po długim galopie. Młynarz pozostawał bez ruchu, patrzył smutny w niebo i nic nie mówił.

Wieść o jego zatrzymaniu rozeszła się i dotarła do wsi. Kiedy prom dobił do brzegu, na przystani czekała już spora grupa ludzi. Rozradowani mieszkańcy wsi patrzyli z ulgą na niebezpieczny ładunek w wozie. Pytali Huttunena, czy ma jeszcze ochotę na wycie. A może chciałby zadzwonić sobie kościelnymi dzwonami? Czy młynarz przypląnął znowu podpalić świątynię albo obrabować bank - teraz już fachowo, na koniu?

Nauczyciel i kierownik szkoły podstawowej Tanhumaki przyniósł aparat fotograficzny. Zatrzymał konia, by zrobić zdjęcie. Rozepchnął gawiedź i poprosił Jaatilę, żeby pochwycił lejce. Chciał mieć na fotografii naczelnika, konia, wóz i ładunek obwiązany sznurem. Huttunen odwrócił głowę, ale parobek Launola przekrzywił mu siłą twarz w kierunku obiektywu. Młynarz zamknął oczy, kiedy usłyszał trzask aparatu. Po zakończeniu sesji fotograficznej

naczelnik oddał lejce Vittavaarze, który zaciął konia.

Młynarz został zaniesiony do aresztu. Naczelnik wydał Portimie rozkaz udania się do celi, gdzie na betonowej ławce posadzono go razem z Huttunenem. Jaatila założył kajdanki na lewą rękę Portimy i na prawą młynarza. Dopiero potem zdjął sznur z rąk i nóg więźnia, a następnie wyszedł. Portimo i Huttunen zostali sami, siedząc do siebie bokiem. Naczelnik zerknął przez wizjer do środka i powiedział do policjanta:

- Masz tu uważać na tego wariata.

Zazgrzytał klucz, a na korytarzu rozległy się kroki Jaatili, który udał się do kancelarii.

Portimo powiedział ze smutkiem:

- No i wpadłeś, Kunnari.

- Wypadki chodzą po ludziach.

Rano Jaatila wezwał więźnia i jego strażnika do kancelarii. Na miejsce przybyli także Siponen, Vittavaara i Ervinen. Naczelnik wręczył Portimie delegację wypisaną przez lekarza. Zawierała ona skierowanie do szpitala psychiatrycznego w Oulu. Przekazał mu też bezpłatne bilety na pociąg. Portimo odebrał dokumenty, ale nie mógł się powstrzymać, żeby nie powiedzieć:

- Powinien pan, naczelniku, dotrzymać słowa. To nie w porządku, że znowu odwozi się Kunnariego do Oulu.

- Milczeć! Obietnice dane umysłowo chorym nie są dla władzy wiążące. Trzymaj, Portimo, mordę na kłódkę i rób, co do ciebie należy. Pociąg odjeżdża o jedenastej. Przedtem damy jeść Huttunenowi. Pojedziecie w przedziale konduktora. Jesteś za niego odpowiedzialny.

Ervinen popatrzył na Huttunena ironicznie.

- To było długie i wesołe lato, Huttunen. Ale teraz się skończyło. Jako lekarz mogę przysiąc, że już nigdy nie będziesz miał okazji błaznować w gminie. W tym dokumencie zostało napisane, że jesteś nieuleczalnie chory umysłowo, aż do śmierci. Skończyło się twoje wycie, Huttunen.

Młynarz nagle zawarczał i pokazał zęby. Pochylił głowę, popatrzył z ukosa na znajdujących się w kancelarii ludzi. Gospodarze i lekarz wycofali się na korytarz, a naczelnik wyciągnął z szuflady pistolet. Z gardła młynarza wydostał się głęboki pomruk, zęby załśniły. Portimo uspokajał Gunnara i wreszcie z wielkim trudem udało mu się opanować jego wzburzenie. Jednak jeszcze długo Huttunen powarkiwał jak zagoniony do nory wilk, a oczy błyszczały mu od tłumionej wściekłości.

Młynarz i policjant zostali odwiezieni samochodem do domu Portimy, gdzie Gunnarowi podano ostatni posiłek. Żona policjanta usmażyła rybę. Na stole znajdowało się

zimne kwaśne mleko, świeżo zapiekany ser oraz prawdziwe masło. Na deser były naleśniki. Huttunen i Portimo jedli, siedząc obok siebie - jeden posługiwał się lewą, drugi prawą ręką. Naczelnik przyglądał się uczcie zniecierpliwiony.

- No, kończcie już! A cóż ta kobieta wyprawia? Choremu psychicznie więźniowi smażyć naleśniki! Zupełnie niepotrzebnie. Musimy zdążyć na pociąg. Trzeba jak najszybciej zakończyć tę sprawę.

Do domu weszła instruktorka Sanelma Kayramó. Przeplakała całą noc. Nic nie mówiąc, podeszła do Huttunena i położyła rękę na jego ramieniu. Odwróciwszy się do naczelnika, powiedziała łamiącym się głosem:

- I ja, wariatka, uwierzyłam zdrajcy.

Zakłopotany Jaatila odchrząknął oficjalnie i powiedział, że czas już jechać. Portimo i Huttunen wstali od stołu, młynarz uściśnął lewą ręką dłoń Sanelmy, popatrzył jej w oczy i wyszedł w ślad za Portimą.

Na podwórku policjant pożegnał się z żoną. Potem poprowadził Huttunena do zabudowań gospodarczych i zagwizdał na psa. Posiwałe zwierzę szkolone do polowań na niedźwiedzie przybiegło, piszcząc, do pana, skoczyło mu do twarzy i polizało jęzorem. Dostało się przy tym Huttunenowi, który pociągnięty kajdankami, musiał przykucnąć.

- Do diabła, jeszcze się z psami żegnają - narzekał zdenerwowany naczelnik.

Portimo i Huttunen wsiedli do samochodu. Zamknięto drzwi i pojazd ruszył. Kiedy dotarli do promu, na miejscu byli już co szybsi rowerzyści. Na stacji kolejowej czekało też spore grono gapiów. Cała gmina chciała zobaczyć, jak Huttunen udaje się w ostatnią podróż do Oulu.

Naczelnik zapytał kierownika stacji, czy pociąg jedzie zgodnie z rozkładem. Otrzymał twierdzącą odpowiedź.

- No to dlaczego nie ma go jeszcze tutaj? - zaperzył się Jaatila.

- Przecież kolej nigdy nie jeździ bardzo punktualnie - odpowiedział kierownik.

Wreszcie pociąg nadjechał. Ciężka lokomotywa parowa zatrzymała się na stacji. Huttunena i Portimę odprowadzono do wagonu konduktora. Weszli jednocześnie. Pociąg zagwizdał i ruszył. Huttunen stał w otwartych drzwiach, za nim majaczyła postać policjanta Portimy. Wagony minęły grupę stojącą na mostku. Huttunen otworzył usta i w powietrze uleciał przepiękny skowyt. Wszyscy podskoczyli. W porównaniu do tego głosu gwizdek pociągu brzmiał jak marne popiskiwanie.

Pociąg przejechał obok patrzących. Drzwi zostały zamknięte, na drugim końcu szyn zazgrzytała zwrotnica i wagony zniknęły w oddali. Dopiero kiedy stukot kół umilkł całkowicie,

ludzie zaczęli się rozchodzić. Osobno opuściła stację żona policjanta Portimy, która podtrzymywała płaczącą Sanelmę Kayramó. Naczelnik wsiadł do samochodu i odjechał. Kierownik stacji zwinął zieloną chorągiewkę sygnalizacyjną i mruknął do siebie:

- Więcej ludzi przyszło odprowadzić Huttunena niż gubernatora.

Okazało się, że Huttunen i Portimo nigdy nie zgłosili się do szpitala psychiatrycznego. Naczelnik Jaatila rozesłał za nimi listy gończe po całym kraju, ale nie udało się zdobyć żadnych informacji. Interpol także nic nie wiedział o losie obu mężczyzn. Tej jesieni instruktorka Sanelma Kayramó wynajęła pokój od żony Portimy. Obie kobiety zaczęły prowadzić wspólne gospodarstwo, a ponieważ warzywa były tanie, wiodło im się znośnie. Najcięższe prace w obejściu wykonywał Piittisjarvi, który miał teraz dość czasu, bo stracił posadę listonosza.

W październiku uciekł posiwiasty pies Portimy. Poszedł w las. Kiedy spadł pierwszy śnieg, zobaczono jego ślady w Reutuaapie. Zwierzę nie wędrowało po puszczy w samotności. Dołączył do niego ogromny wilk - sądząc po śladach - samotny samiec. Podczas mroźnych nocy zimowych słychać było w Reutuvaarze przejmujące wycie. Ludziom wydawało się czasem, jakby szkolony na niedźwiedzie pies Portimy zaszczekał smutno.

We wsi mówiono, że zwierzęta podchodziły nocą pod zabudowania wiejskie. Uważano, że instruktorka i żona policjanta karmiły je w tajemnicy.

Przed świętami Bożego Narodzenia wilk i pies prawdopodobnie wpadły do kurnika Siponena. Wszystkie kury - dwadzieścia sztuk - zostały zabite.

Kiedy w adwencie Vittavaara zarznął tłustą świnie i po oczyszczeniu zawiesił ją na belce w stodole, okazało się, że zniknęła nocą. Chociaż w pobliżu znaleziono świeże ślady wilka i psa, świni nie odzyskano.

Zimą kosmate stwory zaskoczyły Jaatilę i Ervinena na pokrytym lodem jeziorze Reutulampi. Naczelnik i lekarz łowili właśnie ryby w przeręblu, kiedy z lasu wypadły wilk i pies, rzucając się na nich. Skończyłoby się to źle dla Jaatili i Ervinena, gdyby nie udało im się wdrapać na rosnące przy brzegu sosny. Panował ostry mróz. Zwierzęta, warcząc groźnie, nie pozwoliły im się stamtąd ruszyć przez półtora dnia. Zjadły przyniesiony w plecaku prowiant, a termosy poturlały do przerębla. Naczelnik odmroził sobie prawą rękę aż do łokcia, a doktor - nos. Siedząc na oblodzonych sosnach, mało nie postradali życia. Z ciężkiej sytuacji wyratował ich pewien dobrotliwy leśnik.

Siponenowa zaczęła się pojawiać. Ponieważ nadal uważała się za sparaliżowaną, parobek Launola musiał za każdym razem zaprzęgać konia do wozu. Gospodynię przenoszono w pozycji leżącej z sań wprost na ławkę kościelną. Zajmowała przez to miejsce pięciu parafian, ale godzono się na to ze względu na jej ciężki stan inwalidzki.

Podczas jednej z takich wypraw na podróżujących, którzy jechali właśnie po zamrożonej rzece Kemijoki, napadł chudy wilk i kosmaty pies. Spłoszony koń zerwał się z uprzęży, sanie się przewróciły, a parobek uciekł na grzbiecie wałacha. Gruba Siponenowa wpadła w zaspę śnieżną i została na łasce włochatych napastników. Nie wyszłaby z tego nieszczęśliwego wypadku żywa, gdyby nie pobiegła na swoich tłustych nogach i nie skryła się w budynku na przystani promu. Ślady ucieczki sparaliżowanej kobiety po pokrytej lodem rzece wzbudziły powszechny zachwyty, zwłaszcza wśród zwolenników sportu.

Mężczyźni mieszkający w gminie próbowali na wszelkie sposoby upolować wilka i psa, ale nigdy im się to nie udało, bo zwierzęta były sprytne. Stanowiły dziką i budzącą grozę parę, działającą sprawnie i bezczelnie.

W zimie, podczas mroźnych nocy, w okolicach Reutuvaary słychać było przenikliwe wycie wilka, a ludzie powiadali wówczas:

- Huttunen wył jakoś bardziej po ludzku.